

De. II. 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 150.

—*—

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

Kwiecień.

TOM II. — ZESZYT I.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—*—

Ukończono druk dnia 4 kwietnia 1878 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Dwa wspomnienia pośmiertne. Pius IX.	1
II. Wykład nauk historycznych dla naszej młodzieży. Rozwa- żył Edw. Zdz. Grabowski.	12
III. Syn marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII-go wieku. Przez J. I. Kraszewskiego.	31
IV. Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . .	59
V. Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w pięciu aktach Hen- ryka Spicera. Przełożył z angielskiego Feliks Jezierski (Dokończenie). .	80
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. <i>Życie i śmierć geniuszu greckiego</i> , ostatnia praca Edgara Quineta.— <i>Wiedzi i życie wiedeńskie</i> , przez Wiktora Tissota: Sacher Masoch, Kulczycki, założyciel kawiarni w Wiedniu.— <i>Wspomnienia</i> hr. d'Haussonville.— <i>Nabab</i> , powieść Alfonsa Daudet.— <i>Pocziwy biędak</i> , obrazek drama- tyczny.— <i>Les Bourgeois du Pont Arcis</i> , dramat Wiktoryna Sardou.— <i>Rozbitek</i> , poemacik Franciszka Copée.—Zwłoki Krzysztofa Kolumba odkryte w San Domingo.—Zmarli członkowie Akademii Nauk: Becque- rel, Wiktor Regnault, Claude Bernard.—Obchód dwusetletni połącze- nia Flandryi z Francją.—Rękopisy pozostałe po Thiersie.— <i>Discu- ren</i> .—Noworocznik wiedeński: <i>Dziady</i> .—Dziennikarstwo u różnych lu- dów Europy.	119
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Obrazki geograficzne. Napisał L. Tatomir. Lwów, 1878 r. W 8-ce, str. 392. Nakładem K. Wilda. Przez A. Waleckiego. . . .	146
Dwutygodnik Naukowy poświęcony archeologii, historii i lingwistyce. Numera: 1, 2, 3, 4, 5. Kraków. W drukarni Wł. L. Anczyca. 1878 r. Przez S.	150
Wykaz zabytków przedhistorycznych na ziemiach polskich. Zeszyt I. Porzecha Wańty i Baryczy zestawił I. N. Sadowski. W War- szawie. 1877 r., (w 8-ce, str. 60). Przez R.	153
Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg. Serya XI. W. Księstwo Poznańskie. Część trzecia. Kra- ków 1877 r. (w 8-ce str. 246). Przez W.	158
VIII. Korrespondencya. Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.	
I, II.	160, 161.
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne . . .	162
X. Nekrologia.	172

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 150.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

— 35 —

Tom drugi.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1878.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Марта 1878 г.

Dwa wspomnienia pośmiertne.

Kreśląc na tych kartkach dzieje niemal współczesne zakończonych żywotów papieża i potomka dynastji sabaudzkiej, w tej społeczności mamy jeden z powodów połączenia w jednym tytule dwu imion, które tak w biegu czasu rozdzieliły wypadki i drogi działania. Drugi powód tkwi w zasadzie, która pierwsze lata rządów na stolicy rzymskiej Piusa IX wiodła ku tym samym celom, jakie ziścił dom sabaudzki, ale docierając do nich przez ruiny licznych tronów. W tych środkach ujawniła się różnica charakteru politycznego stolicy papieżkiej i zwykłego świeckiego państwa Sardynii.

Za tą jedną staje druga, jeszcze gruntowniejsza różnica między osobami a zarazem symbolami historycznymi, które dopiero śmierć połączyła, stawiając obie przed trybunałem Boga i historii. Różnicę drugą tych osób symboli stanowią idee, których są reprezentantami. Pius IX i Wiktor Emanuel, tylko jako monarchowie, zmierzali do jednych celów, i ztąd do siebie podobni lub różni być mogą.

Obok tego pierwszy potrójną, całego świata katolickiego, dźwigał na głowie tyarę; był naczelnikiem widzialnym kościoła powszechnego; jego tedy wymagania i potrzeby, jego dobro i chwałę musiał mieć na celu. W tej sferze porównanie być może jedynie między zgasłym papieżem a jego poprzednikami; ocena zaś należy do historyków kościoła. Naszą rzeczą jako wiernych synów kościoła rzymskiego, jedynie zarejestrować czyny jego niedawnego naczelnika, i przyjąć z należytą czcią i posłuszeństwem onego zdania i rozporządzenia, nie wchodząc w ich rozbiór.

Dziejowa praca Wiktora Emanuela, lubo wplątała się w bieg doniosłych zajęć Piusa IX i nie małym była cierniem w doczesnej jego wędrówce, prócz tego jednego punktu styczności, cała wchodzi w zakres sądów zwykłego historyka. Ze względu też na ową styczność ma największą trudność przed sobą do pokonania. Co mu dolega, jako synowi kościoła, to niemal mimowoli jawi mu się w barwach takich, jakimi miłość dla Włoch jednolitych i niezależnych może osładzać dla ich syna spełnienie życzeń jego. Bolejąc nad rozdwojeniem stolicy papieżkiej i królestwa włoskiego, którego pierwszym monarchą jest potomek Krasiński i Karola księcia kurlandzkiego syna króla Rzeczypospolitej polskiej, zarazem żałuje, że to królestwo nie chciało czy nie umiało, czy nie mogło przywieść do zgody interesów papieżstwa, z zasadą jedności i autonomii półwyspu włoskiego.

I.

PIUS IX.

Papież obecnie zmarły (7 lutego 1878 r.) urodził się d. 13 maja 1792 w Sinigaglii, jako siódme dziecko a czwarty syn hr. Hieronima Mastai Ferreti († 1833 r.) i Katarzyny hr. Solezzi († 1842), i nosił imię Jana Maryi. Przez upadek do wody, 1797 r. nabawił się chłopięciem febry, która w końcu jego pobytu od r. 1802—1808 w szkole pijarskiej w Wolaterze, zamieniła się na epilepsyą. Niemoc ta nie dozwoliła pójść Mastajemu za popędem serca i na polu rycerskiem bronić papieżstwa. W r. 1809 wstąpił do stanu duchownego a gdy odrzuciwszy 1811 propozycyą służenia w gwardyi honorowój Napoleona, chciał zaciągnąć się w szeregi gwardyi Piusa VII w r. 1816, choroba gwałtownie naraz wybuchająca położyła kres odnowionym tym wojowniczym zamiarom. W pierwszych dniach stycznia 1817 r. przyjął cztery niższe święcenia w Sinigaglii, a przybywszy do Rzymu na nauki teologiczne, jednocześnie objął obowiązki w domu sierot Tata Giovanni.

Zakład ten, powstały z niczego przez zabiegi ubogiego mularza, Jana Borgi (ur. r. 1732, † 1798), mieścił się w zakupionym przez Piusa VI pałacu Ruggia. Tu zrazu jako nauczyciel przychodni, a od r. 1817 hr. Jan Mastai stale zamieszkał, i na żądanie dotychczasowego kierownika księdza kanonika Storace, został mu przez papieża Piusa VII dodany za pomocnika i współdyrektora. „Jak syn hrabiowski został następcą biédnego mularza, tak kiedyś miał zostać w nagrodę za swą pokorę następcą rybaka galilejskiego.” W tym téż zakładzie odbył i pierwszą swą mszę, jako ksiądz (wyświęcony 10 kwietnia 1819 r.), ze względu na dawną chorobę, z początku warunkowo tylko do odprawiania Sakramentu ołtarza przypuszczony.

1823 r. jako audytor przy legacie papieżkim arcybiskupie Muzi, wysłanym dla ułożenia i uregulowania stosunków kościelnych w Chili, ksiądz Mastai zmuszony był wyjechać do Ameryki, i porzucić swe dotychczasowe stanowisko, na którym szczerą miłość i pamięć swych wychowanków umiał być zjednać. Po dwuletniej przerwie, młody audytor wrócił do obowiązku opiekuna podobnego lubo obszerniejszego zakładu jak Tata Giovanni. Był to szpital apostolski św. Michała w Rzymie, prócz sierot obojga płci, będący domem poprawy dla kobiet upadłych i młodych zbrodniarzy, oraz więzieniem dla przestępców politycznych. Tak różnorodne pierwiastki w ład wprawić, od ruiny finansowój, przez brak porządku wywołanej zasłonić; powiększyć bez uszczerbku fundusze dawane opuszczającym zakład: nie wymagało długiego czasu dla zacnego już teraz kanonika od Panny Maryi na *via lata*. Gdy go powołano 3 czerwca 1827 r. na biskupstwo społec-

kie, założył nowy pasterz w nowej swęj stolicy podobny do Tata Giovanni zakład.

Ta ciąga troska o opuszczonych, bezsilnych, prześladowanych, nie opuściła biskupa Spoletu i w r. 1831, gdy powstanie w granicach *patrimonium S. Petri* wybuchło. Nieuciekając się do oręża austriackiego, biskup Mastai wyrobił odwołanie delegatów świeckich Grzegorza XVI, zbyt surowo postępujących, a otrzymawszy administracyą swęj prowincyi sprawował ją łagodnie przy pomocy zwołanej przez się rady obywatelskiej. Tak było w lutym owego roku; w lipcu zaś wymową powstrzymał wojska austriackie od pościgu rewolucjonistów włoskich szukających przytułku w murach samego Spoletu. Wówczas z dwu synów króla holenderskiego Ludwika, i Hortensyi ukochanej piasierbicy Napoleona I, jeden umarł z ran w Forli; drugi, szukał ratunku u biskupa Spoletu, który aż w Rzymie kołatał o pomoc dla zbiega. Był tym zbiegiem późniejszy Napoleon III, naonczas Carbonaro, jeden z najgorliwszych zapaśników wolności nietylko włoskiej ale każdej.

Wzburzona Romania, pełna *went* rewolucjonistowskich, mimo uspokojenia zewnętrznego, dopiero przez nominacyą hr. Mastai na biskupa Imoli zaczęła doznawać podobnie opiekuńczych rządów, jak dawna jego dycezya. W przeciwieństwie do energicznego Grzegorza XVI i jego sekretarzu stanu, kardynała Lambruschini, nowy dostojnik tak postępował, że ściągnął na się podejrzenie tego ostatniego, iż zbytecznie sprzyja nowemu duchowi czasu. Przynajmniej wyrażenie się Lambruschiniego: „w domu Mastai nawet koty są liberalne“ (*nella casa di Mastai anche i gatti sono liberali*) okazuje, że uznając wysokie zalety serca i umysłu biskupa, i wynagradzając je coraz wyższemi godnościami, (1839—1840 kardynałem został) niekoniecznie na ich praktykę polityczną zgadzano się.

Pomijamy prace hr. Mastai w Imoli napiętnowane tym samym duchem co zajęcia w Tata Giovanni i Rzymie; dla których do pomocy sprowadził sobie 1845 r. do Imoli Siostry Dobrego Pasterza z Angers. Milsze może będą anegdotyczne rysy z życia owoczesnego kardynała.

Pewnego razu marszałek dworu skarży się przed biskupem Imoli, że zginęły z kredensu sztuce srebrne, pamiątka po hrabinie Mastai matce biskupa. Gorliwy ofycalista wyraża domysł, że kradzieży tej dopuścił się złodziej jakiś domowy. Na to mu odpowiada poszkodowany dostojnik kościoła: masz racyą, to był domowy złodziej, szczęściem że zarazem i właściciel przedmiotów skradzionych.

Okazało się mianowicie, że tego dnia kardynał rozporządził całą swą gotówką, wedle zwyczaju, między potrzebnych. Jakaś biedna kobiecina, która przyszła zapóźno, byłaby odeszła bez żadnej pomocy, gdyby nie świetna myśl... oddania pamiątki po ukochanej matce nędzarce z poleceniem, by sztuce zastawiła za wskazaną sumę w lombardzie, a kwit oddała biskupowi.

Innym razem, srebrne lichtarze poszły na sprzedaż dla poratowania jakiegoś rzemieślnika z rodziną. Ocalały tylko przez to, że złotnik do którego zaniósł je obdarowany, po stwierdzeniu zkaąd i w jaki sposób dostały się do sprzedającego, z własnej kieszeni zastąpił dar kardynalski.

Ze łzami téż żegnano kardynała, gdy w 1846 r., w liczbie przez śmierć papieża powołanych elektorów na konklawe, i on udawał się do Rzymu. W Fossombrone, przy zmianie koni, jak (opowiadają), gołąb' siadł na karecie ks. Mastai, i mimo okrzyków ludu oraz ruchu nie poruszył się aż do bram miasta. Tu dopiero wleciawszy, siadł na dachu więzienia. Na ten widok, najpiękniejsze nadzieje obudziły się w sercach widzów. Wróżono sobie, że ta przygoda z gołębiem wyprowadzi kardynała na stolicę papieżką, a jednocześnie symbol Ducha Świętego będzie godłem wolności dla licznych więźniów politycznych w państwie kościelném.

Zebrało się 51 z liczby 62 kardynałów. Prócz włoskich nie było jeszcze hiszpańskich, portugalskich, francuzkich, belgijskich i niemieckich. Zamurowano za nimi drzwi Kwirynału, które przestąpili w towarzystwie sekretarza i jednego sługi, celem dokonania wyboru.

Spodziewano się, iż elektem zostanie Lambruschini lub Gicci, lub wreszcie Falconieri, arcybiskup Rawenny. Ten ostatni, a za nim arcybiskup Palermo Pignatelli zaproponował kardynała Mastai'ego, który z dwoma innymi nieobecny podczas tych narad, pełnić miał obowiązki skrutatora, t. j. miał obliczać głosy w czasie obioru.

15 czerwca rano zaczęło się konklawe. Przy pierwszym turnie Lambruschini otrzymał głosów 15, Mastai 13; że nie było większości, dym ze spalonych karteczek, unoszący się nad Kwirynałem, dał poznać Rzymianom, że jeszcze papieża nie mają. Nie zdziwiło to nikogo, gdy nawet i wieczorem tegoż samego dnia, skoro Lambruschini dostał 13 wotów a Mastai 17, oraz 16 czerwca z rana, gdy pierwszy miał ich 11, a Mastai 27; znów dym bujał nad gmachem Konklawu. Toż tylko Grzegorz XIII 1572 r. został obrany w jednej godzinie, Grzegorz XV 1621 r. w siedmiu, a Grzegorz XVI aż w dni pięćdziesiąt został obrany.

Dopiero wieczorem 16 czerwca 36 razy rozwinął kartki pierwszy skrutator, drugi 36 razy zapisał, a kardynał Mastai przeczytał 36 razy... swe nazwisko. Wrażenie, jakiego miał doznać obrany, miało być tak wielkie, że ledwo nie zemdlał, a łzy z oczu mu się lały.

Gdy na zwykłe zapytanie, czy godność przyjmuje, po długiej modlitwie odpowiedział elekt potakująco; wszystkie baldachiny, dotąd strojące krzesła wyborców, jako jeszcze równych sobie, spadły z wyjątkiem jednego, na którym siedząc nowy papież, jako Pius IX, już przybrany w szatę swój godności nowój (białą sutannę z białym pasem o złotych żółdziach, rokiętę czyli komżę, karmazynową krótką z sobolami pelerynę t. j. mucet, białą stułę, purpurowe trzewiki z krzyżem złotym i pierścień srebrny *rybaka* Ś. Piotra) odbierał od swych nie-

dawnych kolegów pierwsze hołdy, pocałowanie krzyża na nodze i pierścienia.

O godzinie 9 rano 17 czerwca, 101 strzałów zagrzmiało z blanków Ś. Anioła, a przy ich huku padły cegły, pokrywające drzwi konklawu i w nich najstarszy dyakon ogłosił nowego papieża. Odpowiedział mu okrzyk dawnych wychowañców: niech żyje Pius IX, niech żyje ojciec biednych (*Viva Pio nono, e viva il padre dei poveri*).

Za ogłaszającym wyszli parami kardynałowie i nowo obrany. Trzykroć podniósł ręce do błogosławieństwa i dopiero po raz ostatni zdołał dokonać zamiaru. I tu wzruszenie odebrało siłę fizyczną temu, który wkładał na głowę troistą koronę, pod wróżbą *cruce de cruce* „krzyż z krzyża.”

Jak wiadomo bowiem, wróżby chodzące pod nazwą Malachiasza, przyczepiają do imienia każdego z papieży, począwszy od Celestyna II (1143 r.) zdanie, mające charakteryzować jego działalność. Ostatnim ma być Piotr Rzymianin, poczem nastąpi zburzenie Rzymu i zjawi się sędzia straszliwy, który sądzić będzie lud swój. Dla Piusa IX wypadła dewiza *cruce de cruce*, a dla 10 następnych: „światło na niebie, ogień płonący, religia spustoszona, wiara nieustraszona, pasterz anielski, pasterz i żeglarz, kwiat kwiatów, z połowy księżyca, z pracy słońca, chwata oliwy.”

Dewizę, przyczepioną do imienia Piusa IX, objaśniono: przez krzyż sabaudzki, który dla zmarłego papieża był najcięższym krzyżem. Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

W miesiąc po koronacyi, d. 17 lipca o zmroku, tajemnicze jakieś postacie, w stroju papieżkich urzędników, rozlepiały po rogach Rzymu plakaty. Zaciekawione tłumy oblegały zadrukowane arkusze. Na nich był rezultat niedawnych obrad papieża z kolegium kardynałów, a właściwiej jego decyzyi. Chodziło o rozstrzygnięcie kwestyi, czy udzielić amnestyą powstańcom owego roku, czyli też nie. Całe kolegium rzuciło czarne gałki, papież białą swą piuską nakrył wszystkie i wyrzekł: „teraz one wszystkie białe.” Próżno ambasador rakuzki przedstawiał niebezpieczeństwo takiego kroku, próżno król Neapolu i książe Łukki, Modeny i Parmy wyrazili swe obawy, a Ludwik Filip wykrzyknął: „Ten papież mnie zgubi...” Amnestyą rozlepiono po murach Rzymu, a następnej niedzieli wyprzągnięto konie z powozu Piusa IX, gdy wracał od OO. Łazarystów i lud zaciągnął swego papieża-króla do kwirynalu. Nad drzwiami więzienia w Orwieto, które opuścili powstańscy romanscy błyszczał długi napis: *Col perdono largito dal papa Pio nono, rise il sole di vita novella* („Z amnestyą papieża Piusa IX wzeszło słońce życia nowego”). A Balbo zaśpiewał: „Ach ty nas nie przeklinasz, ty jesteś dziecięciem naszego wieku, ty go rozumiesz i niesiesz pomoc. Wytrwaj i postępuj dalej! Dwa światy, wlepiwszy wzrok w ciebie, wzywają cię ku sobie.”

Takim sposobem obie wróżby, dobyte z lotu gołębia w Fossombrone, sprawdziły się. Niebawem rządy Piusa IX okazały, że lot ten

był wskazówką jeszcze jednego charakterystycznego zdarzenia w życiu ks. Mastai.

Od chwili objęcia władzy papieżkiej przez dawnego biskupa Spoletu i Imoli, jego władza odbiła się w zarządzie państwem kościelném. Najbliższym po papieżu jego kierownikiem został kardynał Gicci, znany z pokrewnych papieżowi dążeń.

Dnia 7 września 1846 r. w czasie nabożeństwa u P. Maryi del Popolo, na którym zwykle głowa kościoła bywa; w liczbie ozdób, w które przybrano świątynię, zjawiała się mapa Włoch Zjednoczonych, a obraz Piusa IX zawieszono między portretami Klemensa XIV i Giobertego. Niebawem ustanowioną została rada ministeryalna, do której weszli: sekretarz stanu, ministrowie spraw wewnętrznych i zewnętrznych, policyi, sprawiedliwości, wojny i główny podskarbi. Papież w Bononii dozwolił utworzyć gwardyę obywatelską; kardynał Lambruschini i inni uważani za stronników dawnych surowych zasad i metod rządzenia, opuścili Rzym, gdzie w październiku 1847 r. ogłoszono ordynacją miejską, nadającą wiele swobód miastu wiecznemu, a 15 października zebrało się *consulto di stato*. Zgromadzenie to, powstałe z wyborów, składało się z 24 reprezentantów prowincyi państwa kościelnego. Każda prowincya dostarczyła jednego, Bolonia 2, a Rzym 4. Na czele rady stał, jako prezydent, kardynał i jeden z prałatów jako wice-prezydent. W łonie jęj były 4 wydziały: prawodawstwa, finansów, spraw wewnętrznych, handlu i rękodzieł, oraz wojny. Zwoławszy pierwszy raz tę radę, 15 listopada 1847 r., Pius IX otworzył jęj obrady mową, której ustępnastępny określa charakter roli politycznej zmarłego papieża.

„Od chwili wstąpienia mego na tron papieżki, wszystko czyniłem, co było w mój mocy, celem zaradzenia potrzebom moich poddanych. I w przyszłości gotów jestem zrobić, co tylko można, jednakże bez uczynienia w czémkolwiek ujmy prawom papieżkim, które jak całkowicie i zupełnie od moich poprzedników odebrałem, tak również całkowicie i zupełnie następcem przekażę. Głównie, aby poznać potrzeby moich poddanych i wymaganiom służby publicznej lepiej odpowiedzieć, zgromadziłem was około siebie, jako nieustającą radę.”

Tak, z wolnością druku, szkołą rolniczą, przywilejem dla Towarzystwa kolei żelaznych, oświeceniem ulic gazem, zniszczeniem ceł: wszystko nowościami najświetszymi XIX wieku, zjawiała się i reforma polityczna w Rzymie. „Byleby religia nie poniosła szwanku—wyrzekł papież—uczynię wszystkie potrzebne reformy.“ Wówczas też miała miejsce niepamiętna od czasów Leona W. w V wieku, inowacya. Papież w Trzy Króle 1847 roku sam miał kazanie do ludu w kościele Św. Andrzeja. Była to popularyzacya niejako władzy papieżkiej, przykrojenie jęj już z miary uniwersalnej na rzymską.

Serce też króla Rzymu w tyarze nie było zamknięte dla uciśnionych innych krajów. Gdy nieurodzaje w 1846 r. sprowadziły głód w Irlandyi, w lutym 1847 r. odprawiono na jęj intencyą trzydniowe nabożeństwo. Papież na składkę dla Irlandczyków dał 1,000 skudów,

a w marcu nakazał w całym świecie odprawić nabożeństwo 40-sto-godzinne w tym celu „aby Bóg miłosierny uwolnił lud irlandzki od nieopisaną niedoli, i odwrócił nieszczęście podobne od wszystkich państw i krajów.“ O'Connell, obrońca Irlandyi, pośpieszył do Rzymu z podziękowaniem, ale zmarł 15 maja 1847 r. w Genui.

Daléj wiadomo, że Pius IX posłał marmur na posąg dla Waszyngtona, pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej (choć rzekomo wysłałby miał potępić Rzplta), posłał zasiłki protestantom niderlandzkim, dotkniętym powodzią, i schyzmatykom korynckim, zrujnowanym przez trzęsienie ziemi.

Drażliwa sprawa Sonderbundu w Szwajcaryi, — gdyż nietylko reformy krajowe, ale i tajemne organizacye „młodych Włoch“, „młodych Niemiec“... budziły wielkie wrzenie, — znalazła u Piusa IX niespodzianą ocenę. Z jednej strony Rossi, dawny poseł sejmu w Genewie, a obecnie poseł Ludwika-Filipa, żądał zniesienia od papieża w drodze kanonicznej klasztorów w Argowii i zakonu Jezuitów, co miało jedynie, zdaniem króla Francuzów, uspokoić radykalistów. Z drugiej, zakon *Societatis Jesu* wpływał na stolicę papieżką, by zapobiedz nieprzychylnemu sobie jéj wyrokowi. Nareszcie w samej Szwajcaryi, siedm kantonów uważało sprawę Jezuitów za pokrywkę usiłowań znieweczenia konstytucyi z 1833 r., i mieniło ją sprawą każdego kantonu wewnętrzną. Sonderbund inaczej sądził. I oto, lubo udało się przez nuncjusza Luquet, biskupa Hezebonu, zamienić breve na cyrkularz, faktem stało się, że *sancta sedes in hacce questione passive se habere decrevit*, że Rzym postanowił neutralnie w téj materii zachować się ¹⁾. A nuncjusz jego w 1847 roku posłany do Szwajcaryi, uspokoił umysły, ocalił mienie kościołów w Wallis, Lucernie, Fryburgu, i byłyby dokonał wszędzie zgody między kościołem i państwem, gdyby przez radykalne pisma w Szwajcaryi za kameleona, a przez ultramontanów za zwolennika kościoła narodowego i liberalistę nie został okrzyczany. W 1847 roku zawarty został z Rosyą konkordat, złożony z 32 §§, a ogłoszony 3 lipca 1848 r., to jest w chwili jak największych przewrotów we Włoszech i w Rzymie. W Nowy Rok bowiem 1848 r. zaczęto się domagać pod wodzą Angela Brunetti, zwanego Ciceronacchio, od papieża jawności obrad Rady Stanu, zastąpienia ministrów duchownych świeckimi, zniesienia sądów duchownych i części klasztorów, wydalenia Jezuitów. Dnia 27 stycznia król neapolitański nadał konstytucyą swemu narodowi, w skutek powstania w Palermo (12) i Neapolu (7 lutego). Karol-Albert ogłosił statut dla Piemontu. W dniach 24—26 lutego w Paryżu skończyło się z rządami Ludwika-Filipa. Dnia téż 12 lutego weszło do ministryum Piusa IX trzech świeckich, a 10 marca tylko Antonelli, minister skarbu, i ks. Morichini, pozostali w niém duchowni. Wreszcie 15 marca 1848 r. ogłoszono państwu kościelnemu ustanowienie dwu izb obieralnych, wyższej i niższej, mającej z papieżem stanowić

¹⁾ Cretinau Joly: *Histoire du Sonderbund*, str. 280.

prawa świeckie i stać na straży kraju. Ricotti, profesor historii wojennej Włoch w Turynie od 1845 roku, i Mazzini w 1848 r., zgodnie świadczą, że duchowieństwo było przychylne konstytucjonalizmowi, i że, byleby nie dotykać strony religijnej i materyalnej, na hasło wolności poruszy się chętnie.

Wojna rozpoczęta przez Piemont z Austryą, zmusiła papieża wysłać wojsko 22—23 marca, wszakże tylko do granic państwa kościelnego, dla obrony ich od możliwego wkroczenia Austryaków. Dowódzca armii papieżkiej Durando, wkroczył w granice Wenecyi, na rozkaz nowego ministra Piusa IX Mamianiego, który już z całym rządem świeckim miał prezydenta tytularnego w osobie kardynała Soglia. Papież w allokucyi z 29 kwietnia 1848 r. zaznaczył, że wojsko jego solidaryzując się z interesami brionemami na Północy przez Karola-Alberta, miało jedynie polecenie strzedz nietykalności rzymskich granic. Dodał przytém jednak, że walki z Niemcami prowadzić nie może, „zastępując miejsce Tego, który jest sprawcą pokoju, lubownikiem miłości, i jako Jego zastępca, mając obowiązek wszystkie plemiona, ludy i szczepy jedną pieczęcią otaczać.” Już wówczas miesiąc był, jak Jezuiści Rzym opuścili, a na pierwszym posiedzeniu izby deputowanych 9 czerwca, hr. Mamiani oświadczył, że Ojciec Święty nie będzie odtąd mieszał się w sprawy świeckie, tylko modlił, błogosławił i przebaczał. Dnia 10 czerwca pod Vicenzą pobici Rzymianie, 25 lipca Karol-Albert pod Custozzą; a gdy ten 6 sierpnia kapitulował w Medyolanie, Mamiani składa współcześnie swój urząd, który przez ręce Fabrego przechodzi do rąk Rossiego, para Francyi od 1839 r. i posła jój od 1845 do lutego 1848 roku w Rzymie. Rossi 18 września 1848 r. zostaje prezesem ministrów, oraz ministrem spraw wewnętrznych, policyi i finansów. Pius IX i jego minister nowy, spodziewali się że będą mogli przeprowadzić reformy bez obcej pomocy i bez wewnętrznej przemocy. Dnia 15 listopada padł Rossi na wschodach do sali parlamentu. Na jego grobie Pius IX położył napis zakończony: „Wybrałem go sobie na obrońcę najlepszej sprawy—Bóg ulituje się nademną!” Dnia następnego, dawny minister policyi Galotti z deputacją zażądał od papieża utworzenia ministeryum demokratycznego, ogłoszenia jedności Włoch, wypowiedzenia wojny obcym monarchiom, i zwołania parlamentu, któryby działał w duchu Mamianiego.

Zlecenie papieża, aby Galotti nowe utworzył ministeryum, przyniósł mu kardynał Soglia; inne propozycye wzięto *ad referendum*, co wywołało gwałty i napad na Kwirynał. Czerwona rewolucya wzięła górę!

Dnia 24 listopada Pius IX z postem bawarskim tajnie opuścił Rzym, za nim udał się kardynał Antonelli, a wyjazd zastępował poseł francuzki margrabia d'Harcourt. Gdy papież zajął mieszkanie w Gaecie pod opieką króla Ferdynanda, 27 listopada zaprotestował przeciw gwałtom, jakich był ofiarą, i unieważnił dotychczasowe ustępstwa dla Rzymu, gdzie władzę w zastępstwie zlecił tymczasowemu septemwira-

towi. Powstańcy tymczasem 5-go grudnia zwołali nowy parlament, a choć odezwą 1 stycznia 1849 r. papież zagroził członkom jego kłębą, parlament ten obradował, 8-go lutego pozbawił papieża władzy świeckiej i ogłosił Rzeczpospolitą rzymską. Na wezwanie papieża z 14 grudnia 1848 i 2 lutego 1849 r., by ukarano poddanych jego, Austria w maju i czerwcu zajęła Bononią i Ankone, i trzymała je do czerwca 1859 r., Hiszpania Terracinę, Neapol Velletri, Francya z Oudinotem Rzym (od 30 kwietnia do 3 lipca 1849 r.) zdobywszy, stała w nim załogą do 1867 r. W lipcu papież już ustanowił tryumwirat kardynałów dla pełnienia władzy świeckiej, 12 września w tak zwaném *Proprio motu* utworzył radę ministrów, której przewodnictwem przez lat 30 było w ręku kardynała Antonellego, i ogłosił amnestyą, z wyjątkiem powtórnych rebelizantów. Od 12 kwietnia 1850 r. z Portici przybywszy, Pius IX zamieszkał już w Watykanie, niechcąc ani postać nogą w zbęzcieszczonym Kwirynalu.

Prawo z dnia 10 września 1850 r. ustanowiło radę państwa jako legislatywę, złożoną z prezydenta kardynała, trzech duchownych i dwunastu świeckich. Dnia 28 października stanęła rada finansów państwa z 20 członków, obieranych z ziemian, kupców i profesorów przez rady prowincjonalne, a potwierdzanych, gdy się podobali, przez papieża. Nadto do niej należało sześciu członków mianowanych przez papieża. D. 22 listopada ustanowiono rady prowincjonalne, które złożone z reprezentantów powiatów, dwa razy do roku zbierając się, radziły o potrzebach swych prowincyi i przedstawiały radzie ministrów odpowiednie wnioski. Całe państwo kościelne podzielono na cztery delegacye (Romania, Marchia, Umbrya i Kampania), i okrąg przymiejski z Rzymem (*comarca*). Delegacye dzieliły się na poddelegacye, prowincye, powiaty i gminy.

Od téj reorganizacyi datuje zwrot w działalności Piusa IX. Jako monarcha świecki dotąd działając, uwydatnia teraz coraz więcej swój charakter powszechno-światowy, właściwie papieżki.

Ogłoszenie odpustu (co 25 lat przypadającego), prekonizacya 14 kardynałów, nominacya 12 biskupów w Anglii i arcybiskupa Wisemana kardynałem (1850 r.), są pierwszą niejako wskazówką tego zwrotu. W roku 1854 d. 8 grudnia ogłoszony został dogmat Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny, obmyślany już w Gaecie. W latach 1851 i 1859 z Hiszpanią zawarta została umowa (konkordat co do stosunku między kościołem a państwem). W r. 1855 z Austryą, mocą którego edukacya publiczna, prasa, małżeństwo, jurydykcyja nad duchownymi należą do kościoła. Władza świecka żadnego *placet* i *veto* nie posiada. (Tak było do 1867 r., czyli do ogłoszenia praw wyznaniowych z wniosku dr. Herbsta). Tegoż samego roku zwiększający się konflikt między kościołem a państwem w Piemencie, mianowicie zniesienie forum duchownego (jeszcze w 1850 r.), wpływu kościoła na szkoły, kasata klasztorów i zabór ich dóbr na rzecz państwa: sprowadziło 26 lipca 1855 roku ze strony Piusa IX ekskomunikę na twórców praw tych.

W 1857 roku stanął konkordat z Wirtembergiem i Badenem, w 1853, 1860, 1861 i 1862 z różnemi państwami Ameryki. W r. 1860 duńscy i bułgarscy katolicy odnowili związki z Rzymem, w chwili kiedy z państwa kościelnego został przy papieżu tylko Rzym z 214 m. kw. Od r. 1850—1861 ogłosiwszy ośmiu błogostawionych (Piotr Klawer, Marya Anna de Praxedes, Jan de Brito, Jan Grande, Paweł od Krzyża, German Cousin, Andrzej Bobola, Jan Leonardi), w r. 1862 ogłosił Pius IX pierwszą kanonizacją 25 męczenników japońskich (z 1594 r.), do której przybyła nowa w 1867 r. (Arbuesa, Józefata i innych). Dnia 8 go grudnia 1864 roku wydał papież encyklikę zaczynającą się od słów: *quanta cura*, do której dodany został wyciąg ze wszystkich mów Ojca Świętego przez ojca Bilio, później kardynała (*Syllabus*), potępiający złe i fałszywe teorye nowoczesnej tak zwanej cywilizacji i postępu.

1800 letnia rocznica śmierci św. Piotra i Pawła, w 1867 r. dała powód Piusowi IX do podniesienia myśli soboru powszechnego, który zwołano 1869. 764 duchownych stanęło na wezwanie, w ich liczbie kardynał hr. Leduchowski arcybiskup gnieźnieński, lwowski katolicki Wierchlejski, ormiański Szymonowicz, ks. Monastyrski biskup przemyski, ks. Pukalski tarnowski, ks. Gałęcki administrator krakowski, ks. Sosnowski administrator dyecezyi lubelskiej i podlaskiej, ks. biskup Strossmayer z Krocacyi i ks. biskup Popow z Bulgaryi. Na czwartém posiedzeniu soboru ogłoszono *dogmat nieomyślności papieżkiej* 18 lipca 1870 r., za którym 535 biskupów głosowało (20 października 1875 r. sobór odroczone na czas późniejszy).

20 września 1870 r. wojska Wiktora Emanuela weszły do Rzymu a 19 września wszedł papież do Watykanu, by z niego nie wyjść za życia. Tak w lat 34 spełniła się wróżba gołębia z Fossombrone który usiadł na więzieniu, w dzień odjazdu hr. Mastai do Rzymu. Więzieniem został on sam. Próżno ofiarowywano papieżowi teraz jak 1878 r. różne miejsca pobytu. Odmówił, bo wiedział, że zarówno następcy pierwszych apostołów jak i spadkobiercy praw zwierzchnictwa moralnego nad Europą po cesarzach *orbis romani* jedyném stosowném schronieniem był Rzym i Watykan.

Tu w niespełna rok po uwiezieniu swém dobrowolnóm 16 czerwca 1871 r. jedyny z 257 zwierzchników kościoła Pius IX obchodził lata Piotrowe (25 lat) rządów papieżkich, których początku doczekał się Pius VI, gdy Sylwester I, Adryan I i Pius VII dożyli tylko lat 23.

W latach 1870, 8 grudnia i 1875, 16 czerwca przypadło uznanie św. Józefa za patrona kościoła, i oddanie wszech dyecezyi opiece Najśłodszego serca Jezusa. Tegoż 1875 r. przypadek powtórny odpust dwudziestopięcioletni, 1876 r. trzydziestoletni jubileusz papieżki, 1877 r. 3 czerwca pięćdziesięcioletni jubileusz biskupi. Kulturkampf w Prusiech, suspendujący i więżący duchownych katolickich, i z wielkim wysiłkiem propagujący tak zwany *starekatolicyzm* (przedsoborowy); prześladowania w Szwajcaryi, których ofiarą między innymi padł biskup Mermillod w Genewie; obrót spraw w Paryżu od upadku Napoleo-

na III, nieprzychylny dla powagi kościoła, nie mało zakrwawiły serce namiestnika Chrystusowego. Obrót rzeczy w samych Włoszech, mimo gwarancyi danych w r. 1870 przez rząd, ale odrzuconych przez papieża, nie przyczyniał się też do zaspokojenia troski Ojca Świętego o dobro kościoła, któremu przyszło w tak ciężkich czasach przewodniczyć. Pozbawiony wszelkiego *brachium seculare*, niebezpieczny nawet w Watykanie w osobie swych kardynałów od pościgu władz świeckich zagranicznych, znalazł papież biegłego administratora Świętopietrza w Antonellim. Kapitał ztąd zebrany w ciągu lat długich uczynił stolicę papieżką niezależną finansowo, pozwalał Piusowi IX odrzucić rentę przyznaną przez rząd włoski sobie jako wydziedziczonemu władcy *Patrimonii S. Petri*. A jak materyalnie zerwał był stosunki z Włochami wiążąc się dobrowolnie w Watykanie, tak moralnie określił swój stosunek, do wszelkich układów z nowym stanem rzeczy, słowami odpowiedzi udzielonej przez Antonellego na ofiarę gwarancyi.

„Sama myśl udzielenia nam gwarancyi jest świętokradztwem, gdyż w niej mieści się przypuszczenie, że można nadawać nam prawa, nam których urząd sam Bóg ustanowił jako najwyższego tłumacza wszelkiego prawa zarówno ludzkiego jak boskiego 1).”

Mimo takiej niewzruszoności jako reprezentant pewnej idei, Pius IX pozostał tym samym ojcem duchownym, który 1846 r. 2 lipca brał w swą opiekę sierotę bez matki i ojca, ratował własnoręcznie... żyda, którego plemię dopiero jego łasce wyzwolenie z Ghetto za wdzięczało.

Stosunki osobiste Piusa IX z Wiktorem Emanuelem, jako człowiekiem *nie królem Włoch*, wreszcie postanie mu w *zastępstwie siebie*, bo dla choroby sam nie może przyjść, ostatnich Sakramentów do Kwirynału, są świadectwem wymowném dobroci duszy kapłana-papieża.

1) Tekst w *Revue politique et litteraire*, 1877 r., nr. 15, z 13 października str. 345, „à nous qui avons été institué de Dieu même comme suprême interprète de toute loi humaine aussi bien que divine.”

W Y K Ł A D
NAUK HISTORYCZNYCH
DLA NASZEJ MŁODZIEŻY.

ROZWAŻYŁ

Edw. Zdż. Grabowski.

I.

Czasy obecne odznaczają się między innymi większym niż dawniej zainteresowaniem się kwestyami, które zostają w pewnym związku z zadaniem pedagogii. Spoważniały dzisiaj wymagania względem i nauczycieli i uczących się. Ulegając nieprzewyciężonemu prądowi ducha czasu, każdy czy to ze świadomością lub bezwiednie pragnie, aby uczące się pokolenieżytkowało jak najlepiej ten wiek, w którym nabycie wiedzy jest najwłaściwsze, a nawet jedynie możliwe. Prawda, że użyteczność wykształcenia przez różnych różnie pojmowaną bywa, lecz z tem wszystkiem nikt już dzisiaj bodaj otwarcie nie zechce występować przeciw potrzebie wykształcenia i groźne miotać filipiki na naukę, która głośno zażądała powszechnego praw swych uznania.

Z drugiej znowu strony i sama pedagogia, widząc, iż pole jej działalności ustawicznie się rozszerza, pragnie, o ile można, udoskonalić środki, jakimi posługuje się przy nauczaniu, aby nie tylko ułatwić naukę, ale zarazem i spotęgować jej użyteczność. Upraszcza tedy lub zmienia metody wykładu tak, iżby uprzystępniając naukę, dozwalały zarazem jak najtrwalsze z niej osiągnąć rezultaty i najobfitsze plony.

Powtórzylibyśmy rzeczy aż nadto już dobrze znane, gdybyśmy chcieli tkómaczyć, co rozumieć należy przez owe rezultaty i plony; nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na tę okoliczność, że ważne tu stanowisko zajmuje rozwinięcie umysłu młodej generacji i że trwałość nabytków wtedy tylko jest rzeczywistą, kiedy się opiera na racjonalnych podstawach naukowych.

Dwa te względy są tak ważne, iż każda nauka liczyć się z niemi musi i lekceważyć ich bezkarnie nie może; dla nas zaś będą one nicją przewodnią przy roztrząsaniu niektórych kwestyi, dotyczących wykładu nauk historycznych.

Z liczby nauk, nie wchodzących w program najelementarniejszego wykształcenia, nie ma może żadnej, któraby tak powszechnie była wymagana, jak historia, pojęta w obszerniejszym znaczeniu. Nie tylko bowiem ogólna znajomość faktów z zakresu dziejów powszechnych

i ojczystych, ale nawet z dziejów literatury, zwłaszcza swojej, należy u nas do najważniejszych może artykułów kodeksu średniego wykształcenia. Młodzież obojęj płci pod karą nieuctwa „musi znać historią,” a wymagania te, jak dzisiaj, daleko więcej dotyczą przyszłych obywateli kraju, niż jego przyszłych obywateli. Panna z „kompletną edukacją” może nie umieć rozwiązać zadania z ułamkami, może nawet nie znać nauk przyrodniczych; ujdzie to jej bezkarnie, ale nie ujdzie nieznanomość dziejów i literatury.

Nie do nas należy tłumaczyć, z kąd to szczególne wywyższanie nauk historycznych nad inne, ani o ile jest ono objawem słusznego lub niesłusznego uznania. Zaznaczyliśmy istnienie samego faktu, który, rzecz dziwna, nie pociągnął za sobą dotychczas innego faktu, a mianowicie nie wywołał żadnych prawie usiłowań ze strony pedagogów naszych, aby poddać krytyce i ulepszyć praktykowane powszechnie metody, jakimi posługujemy się przy wykładzie nauk historycznych, którym jeżeli istotnie tak ważne wyznaczamy miejsce w programie średniego wykształcenia, to w tym samym stosunku powinniśmy stawiać i poważniejsze wymagania ¹⁾.

Rozpatrzmy tedy, czego dzisiaj wymagać możemy od nauk historycznych? Kwestyą tę może najlepiej wyjaśni nam stanowisko, na jakim stanęły dzisiaj te nauki. Historia, pojęta w ogólniejszym znaczeniu, nie przestaje już obecnie na samém nagromadzeniu większej lub mniejszej ilości faktów; zadaniem jej dzisiaj jest, że tak powiemy, zbadanie i wyłomaczenie tych przeobrażeń, jakim w czasach przebiegu ulegały różne strony życia pewnego narodu, albo też całej ludzkości; wyswietlenie wzajemnej zależności i oddziaływanie jednych objawów tego życia na drugie; określenie kierunku, jaki skutkiem współdziałania różnych czynników, został wytknięty dla funkcji całego organizmu narodowego. Co więcej, ostatnimi czasy coraz to częściej pojawiają się próbki jeszcze poważniejszego traktowania dziejów: rozpatrując całą powódź objawów ze wszystkich stron życia dziejowego z wyższego, filozoficznego stanowiska, usiłują niektórzy badacze podciągnąć tę różnorodność objawów pod pewne ogólne prawa, które nimi rządzą. Jakkolwiek nie można usiłowaniam tym przyznać bezwzględного powodzenia, z tém wszystkiém samo istnienie czegoś podobnego świadczy, co najmniej, o znaczném nagromadzeniu danych, które pozwalając badaczom zajrzeć wewnątrz organizmu narodowego, uwodzą ich ponętą nadzieją osiągnięcia tak świetnych rezultatów.

Nie biorąc wszakże pod rachubę wygłaszanych tym celem teorii historyzoficznych, możemy śmiało, bez najmniejszej przesady powiedzieć, że dzięki poważnym badaczom przeszłości, nauki historyczne stanęły dzisiaj na tój wyżynie, iż mogą łączyć w organiczną całość różnorodne

¹⁾ Znamy zaledwie dwie rozprawki, traktujące o nauczaniu historii:

1) S. Zarańskiego: *O sposobach wykładania dziejów*, Kraków, 1864; i 2) Bocylińskiego: *Jak uczyć historii*, Warszawa, 1874.

objawy dziejowe, pomimo rzekomej ich niezależności; mogą przedrzeć zewnętrzną powłokę, aby we wnętrzu, u źródła znaleźć ogniwa, nadając im pozornemu bezładowi istotną harmonijną spójność. Odkrywając w ten sposób istotę organicznej pomiędzy objawami dziejowymi łączności, mogą już dzisiaj nauki historyczne sprowadzić je do pewnych naukowych zasad, rzucić właściwsze światło na tok dziejów i wytłómaczyć całe szeregi faktów w rozleglejszym znaczeniu, które dawniej wyglądały jak sfinksy, co to choć ludzkim mówiły językiem, ale niezrozumiałym i zagadkowym.

Lecz aby osiągnąć takie rezultaty, musiały nauki historyczne poddać badaniom wszelkie objawy życia dziejowego; musiały zbadać i wyświetlić i politykę zewnętrzną i instytucje, obyczaje i zwyczaje, zatrudnienia i dobrobyt materialny, świat wyobrażeń i myśli, oświatę i religię—słowem wszystko to, co w ogólności zowie się cywilizacją. Wzajemna bowiem zależność i oddziaływanie tych stron życia takiego a nie innego wymagają traktowania, boć trudno bez krzywdy dla nauki rozrywać gwałtem to, co się w samej naturze ściśle połączyło.

Jeżeli w tych kilku zdaniach potrafilśmy określić dzisiejsze stanowisko nauk historycznych i przez to samo sformułować ich zadanie, to nie trudno będzie wytłómaczyć, jakie mianowicie znaczenie mogą i powinny mieć one w dziedzinie pedagogii.

Ważność pytania usprawiedliwi nas, jeżeli mu poświęcimy nieco więcej uwagi, niżby to może z innych względów było właściwe.

Dawniej, a poniekąd i dzisiaj historią uważają w ogólności jako zbiór wiadomości, które do pewnego stopnia mogą zaspokoić ciekawość odnośnie do wydarzeń z bliższej lub dalszej przeszłości. W szczególówem zastosowaniu była ona dla amatorów polityki kluczem do zrozumienia, dlaczego między tém i tém mocarstwem toczy się wojna o tę lub owę prowincję; dla patriotów skarbnicą pamiątek i czynów bohaterskich, któremi w razie potrzeby mogli mile głaskać uczucie dumy, lub próżności narodowej; dla moralistów i pedagogów bogatą kopalnią przykładów, za pośrednictwem których spodziewali się zaszczerpieć w młodocianych umysłach zamiłowanie cnoty i obrzydzenie szkarady moralnej. Ku ich zbudowaniu szczególniejszy nacisk kładziono na tak zwaną Nemezis historyczną, na owę niewidzialną potęgę sprawiedliwą, która w ostatecznym wypadku cnocie i prawości dawała w nagrodę zwycięstwo i karała występki. I tak np., klęska Władysława III pod Warną miała nauczyć, jak wielce niebezpiecznym jest grzechem złamanie przysięgi; cześć i sława pośmiertna Arystydesa—utrwalić zamiłowanie sprawiedliwości, gdy tymczasem zgon *wygnanego* z ojczyzny Temistoklesa przestrzegał o słuszności przysłowia: jaką bronią wojujesz, od takiej polegiesz.

Wystarcza to do zrozumienia dawniejszego pojmowania historii, jako przedmiotu, objętego programem średniego wykształcenia. Porównajmy teraz ten pogląd z dzisiejszym zadaniem téj nauki, a przekonamy się, że jest on zbyt powierzchownym, iżby mógł choć w części

odpowiadać nowszym wymaganiom. Historia była wszystkim, czém kto chciał, ale nie była sama sobą; jako przedmiot naukowy była co najwyżej probierzem pamięci i pracowitości. Czy jednak owo mniéj lub więcej mozolne przyswajanie sobie faktów z zakresu polityki zewnętrznej, mnóstwa nazwisk i dat dostarczało umysłowi ucznia jakiegóś istotnej korzyści, o tém wątpić można: bo, zdaniem naszym, wszelka nauka wtedy tylko wyda trwałe rezultaty, jeżeli nie przeniewierzy się swojemu zadaniu i oprze się na właściwych sobie podstawach naukowych. Co gorsza, podobnie rozumiany wykład dziejów nie osiągał, śmiemy twierdzić, i drugiego celu czysto pedagogicznej natury, a mianowicie nie przykładał się wcale do rozwinięcia umysłu młodzieży. Dla czego? Łatwo zrozumieć, jeżeli tylko zwrócimy uwagę na tę jedną okoliczność, że rozwijanie umysłu polega na rozświetlaniu kwestyi, przez rzucenie na nie właściwego światła, na wtajemniczaniu umysłu w wewnętrzną łączność szczegółów. Tymczasem historia była ni mniéj ni więcej, tylko nauką opisową, zbieraniną oderwanych wydarzeń, połączonych li węzłem chronologicznego porządku; to téż jako taka, podając fakta bez światła i tła wewnętrznego, dostarczała dla każdego szczegółów, które można było tłómaczyć według indywidualnego widzimisie. Rozświecanie tedy umysłu na tak niewyraźnej podstawie, jeżeli nie przypominało znanych powszechnie ćwiczeń jezuicko-scholastycznych, to mogło co najmniej, obałamucać i zamącać umysł.

Dalecy wszakże jesteśmy od czynienia zarzutów dawniejszemu pojmowaniu nauki historii; tak ją pojmowano, bo inaczej jeszcze nie można było pojmować, a uczono, jak umiano. Dzisiaj wszakże warto zastanowić się nad użytecznością takiego wykładu, zdać rachunek z osiągniętych korzyści, sprawdzić je z rzeczywistými wymaganiami nowszej nauki; zreformować w samej metodzie wykładu to, co stało się nieodpowiedniém i paraliżuje chociażby najlepsze usiłowania nauczyciela, jeżeli tylko nie zarzucił dawnego systematu i porządku wykładu.

Z tego, cośmy powyżej powiedzieli o dzisiejszém stanowisku nauk historycznych, wypływa konieczność rozpatrywania życia dziejowego w ten sposób, iżby wszystkie jego strony uwzględniane były tak samo, jak łączą się one i uzupełniają w rzeczywistości. Wyłączne zwrócenie uwagi na jedną grupę faktów, bez dostatecznego uwzględnienia innych, musi pociągnąć w następstwie niemożność dokładnego zrozumienia dziejów. Ktoby chciał np. poprzestać na znajomości dziejów politycznych, nie osiągnąłby rezultatów, przez samą naukę wymaganych. Zrozumie wprawdzie to i owo, ale daleko tu jeszcze od znajomości dziejów w ścisłym znaczeniu. Dzieje np. Rzymu, tak jednolite, jak rzadko które inne, czyż będą ostatecznie zrozumiane, jeżeli nie podciągniemy pod rachunek czegoś więcej nad to, co się zwykle w dotychczasowych podręcznikach naszych zawiera? Czyż potrafimy zrozumieć naturę tego kolosu, który obejrzany z zewnątrz, zaimponuje nam swoją potęgą i upadkiem,—zaimponuje, ale nie nauczy, nie wtajemniczy w doniosłość tych żywiołów, które go z lichéj mieściny wyniosły na stanowisko

wszechwładnego pana świata, a następnie powaliły w śmiertelną niemoc i bezwładność w obec na poły dzikich barbarzyńców? Czémże będą dla nas dzieje tego olbrzyma, jeżeli nie zagadką, która zastanowi każdego, ale klucza do jój rozwiązania sama przez się nie da? Umysł wszakże ludzki jest badawczy i rad stara się wszelkie zagadki zredukować do jakichkolwiek przyczyn; w razie braku dostatecznych danych i umiejętności szukania właściwej przyczyny, zniewolony będzie odnieść wszystko do pierwszej lepszej, która rozwiąże zagadkę mniej lub więcej zgodnie z indywidualnym przekonaniem, ale czy zgodnie z rzeczywistością i prawdą, to jeszcze kwestya, a raczej fakt niewątpliwy, że nie. Toć przecież nie trudno u nas spotkać się ze zdaniem, że upadek lub wzrost pewnego narodu zawisł od jego religijności, od jego obyczajów i t. d. Ci, którzy tak utrzymują, oczywiście mają pewien zasób faktów, nabytych w latach młodszych, a jednak pomimo przypadkowej słuszności, jakże często okazują wielką nieznamość rzeczy! Fałszywy punkt zapatrywania się w fałszywym przedstawi świetle i cały szereg faktów, na których przecież niejedni urabia swoje przekonania, a błąd ten o tyle jest smutniejszym, że pozornie wydaje się zasadą, opartą na gruncie racjonalnym, bo naukowym....

Historya jest nauczycielką narodów, powtarzamy oddawna, a oto ta mistrzyni bywa źródłem nieprzebranej ilości błędnych, opacznych, a prawie zawsze powierzchownych sądów i przekonań, których przecież nie zachowujemy w sferze najczystszej abstrakcyi, lecz stosujemy do niejednej zasady życia bądź publicznego, bądź prywatnego. I to wszystko na zasadzie tego jednostronnego i ograniczonego zasobu faktów, które wdrożono w naszą pamięć w latach młodszych, bo przecież nie każdy będzie miał czas i możność do uzupełnienia swoich historycznych wiadomości później. Któż tedy winien zapobiedz temu obłędowi, który się objawia w różnych okolicznościach życia? Łatwo odpowiedzieć, że lepsze rozumienie dziejów. Jakież to inne właściwsze może być dzisiaj pedagogiczne znaczenie nauk historycznych, jeżeli nie należyte wyjaśnienie tych wewnętrznych czynników, które nadają funkcjom organizmu społecznego pewien kierunek, przeprowadzają go przez różne fazy, modyfikują i przekształcają? Rozświetlając w ten sposób istotne tajemnice przeszłości narodów i społeczeństw, obznajmiając z rzeczywistymi warunkami, wśród których rozwijał się tok dziejów, historia może i powinna oddać wielkie przysługi, których nie wyświadczy żadna inna nauka. Przysposobi ona młode umysły do głębszego i trzeźwiejszego rozumienia życia rozleglejszego zakresu, wtajemniczy je do pewnego stopnia w istotę tego procesu, którego prąd nieprzeparty porywa każdego i czyto z wiedzą lub mimowiednie każe w nim pewną rolę odegrać. W tym rozumieniu można powiedzieć bez przesady, że historia jest nauczycielką narodów, a niemieckie: *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*, jeszcze trafniej może stanowisko nauk historycznych określa.

Usiłowaniem naszym dotychczas było wykazać, jakie zadanie pedagogiczne powinno przypaść w udziale naukom historycznym. Jednocześnie staraliśmy się uwydatnić tę myśl, że zadanie to nie zostaje w sprzeczności bynajmniej z istotą i celami samej nauki. Wprawdzie podciągaliśmy pod rozbiór głównie historią, lecz uwagi, które o niej porobiliśmy, w zupełności zastosować się dadzą i do innych nauk historycznych, objętych także programem średniego wykształcenia. Mamy tutaj na myśli historią literatury. Przedmiot ten wprawdzie znacznie rzadziej bywa wykładany; ostatniemi jednak czasy zaczyna zwracać na siebie uwagę rodziców i opiekunów, powoli czynią mu wyznaczać pewne miejsce w programie wykształcenia domowego, zwłaszcza dla pańien. Rzecz całą ściślej rozważywszy, nie można zaprzeczyć, że trafiamy na dobrą drogę i byleby dobrze i umiejętnie wykład poprowadzić, wydałby znaczne korzyści, a nawet jest koniecznym, jeżeli ściśle mamy się trzymać konsekwencji. W literaturze bowiem znajdujemy najszersze uzupełnienie tego, czego sama historia zaledwie zlekka dotyka. Głębiej bowiem rozważając, przyznać musimy, że dzieje i literatura są właściwie niczem więcej, jak dwiema stronami jednego medalu. Dzieje są rzeczywistém świadectwem życia narodu w sferze czynu; literatura świadczy tak samo o jego życiu w sferze myśli. Literatura, powiadamy, jest zwierciadłem społeczeństwa w danej chwili. Jeżeli sąd ten o literaturze jest trafny, o czém nikt zapewne wątpić nie będzie, tedy zestawwszy i porównawszy cały szereg takich obrazów, otrzymamy historyczny całokształt rozwoju myśli ludzkiej, objawiający się pod różnemi postaciami poezyi i prozy. Gdzież, jeżeli nie w spuściznie literackiej, mamy szukać niezawodnych śladów nurtowania pewnych myśli i uczuć w danym okresie życia narodowego, które mogą uzupełnić sferę dziejów, uwydatnić ich oblicze? Weźmy np. utwory Milтона. Odnajdziemy w nich rysy, znamionujące prąd dziejów angielskich w XVII wieku. Dzieje wielkiej rewolucyi francuskiej nie przestaną być dla nas przynajmniej do pewnego stopnia zagadką, jeżeli nie będziemy obznajmieni z pismami tak zwanych filozofów rewolucjonistów. I naodwrot. Ciż sami filozofowie rewolucyoniści nie będą przejmowali nas bezwarunkowém oburzeniem, jeżeli znane nam będą należycie dzieje narodu francuskiego. Bezstronność przyznać nam każe, że w dziełach tych okrzyczanych pisarzy znajdziemy więcej zasad humanitarnych, aniżeli w wielu innych pisarzach z czasów poprzednich. Dopiero przy znajomości historii potrafimy zrozumieć to ślepe zamiętanie w kreśleniu obrazów ze średniowiecznej przeszłości, które wydało Walter-Scota i innych pisarzy tego samego kierunku. Jakże więc bogaty mamy tu materyał do badania dróg, któremi kroczyła myśl, a raczej duch ludzki! Bo téż z drugiej strony odpowiednio poprowadzony wykład historii literatury, uważany sam w sobie, jako nauka samoistna, cóż innego może mieć na celu, jeżeli nie odsłonięcie przed nami tego procesu, który w toku wieków odbywał się w głębi łona ludzkości, procesu, który wskrzeszał nowe myśli

i uczucia, modyfikował je, przytłumiał, lub też całkiem zabijał? Czyż w ten sposób historia literatury nie będzie także umiejętnym obrazem rozwoju ludzkiego? nauką, która, badając objawy innej nieco niż historia grupy, zdąży jeżeli nie do tych samych, to przynajmniej do bardzo pokrewnych rezultatów. Jedna i druga wtajemnicza umysł w warunki i potrzeby życia tego organizmu, który nazywamy narodem, społeczeństwem, ludzkością, wreszcie. Tak rozumiane nauki historyczne mogą rozszerzyć nasz widnokrąg umysłowy, przygotować do trzeźwiejszego zapatrywania się na życie, jego warunki i potrzeby.

Sądzymy, że to, cośmy dotychczas powiedzieli, wystarczy do zrozumienia zadania, jakie przypaść powinno w udziale naukom historycznym na polu pedagogiki; jakie wymagania możemy i powinniśmy im stawiać dzisiaj, kiedyśmy się przekonali dostatecznie, że „upłynął wiek złoty, potrzeba się uczyć,” i kiedy powszechnie żądamy od nauki, aby nawet młodzież odnosiła z nich istotne korzyści.

Możnaby wprawdzie zarzucić, że historii literatury przyznaliśmy stanowisko zbyt wysokie. Prawda, nie dotarła ona jeszcze do tej wyżyń, na której stanęła nauka historii; niepodobna jednak zaprzeczyć, że do niej zmierza. Pierwotnie była i ona tylko skrętną zbieraniną nazwisk i tytułów; z czasem jednak zaczęła coraz bardziej rozglądać się w treści nagromadzonego materiału, zaczęła powoli wydobywać z niego pewne znamiona wewnętrzne i odkrywać prawdy, tłumaczyć je i odszukiwać ich źródła. Wprawdzie, i dzisiaj jeszcze, nie poczyniwszy należytych studyów przygotowawczych, nie może wiernie dotrzymać placu swemu założeniu, którego jeżeli nie wypowiedziała wyraźnie, niemniej jednak odczuwa i z niem się liczy. Kto się rozczytał w nowszych pracach na polu dziejów literatury, nie zarzuci nam przesady.

II.

Rozpatrzyliśmy dotychczas nauki historyczne jedynie w tym celu, aby uprzytomnić sobie dzisiejsze ich stanowisko, a przez to samo wytłumaczyć, jaką rolę im wyznaczyć należy w sferze pedagogii. Nie przeczymy bynajmniej, żeśmy tych punktów zaledwie zlekka dotknęli, nie usiłując wcale wyczerpać wszystkich stron przedmiotu. Bo też zadaniem naszym jest co innego, nie pedagogiczne znaczenie nauk historycznych. Chodzi nam głównie o to, jakich potrzeba warunków wykładu, iżby zadaniu swemu odpowiedziały w zupełności, nie uwłaczając poważnemu charakterowi samej nauki? Staraliśmy się nie bez pewnego przycisku zaznaczyć, jakich możemy spodziewać się owoców z ich wykładu, umiejętnie i trafnie poprowadzonego.

Rozpatrzenie owych warunków stanowi właśnie główny cel niniejszej pracy, jeżeli tém poważnem imieniem wolno i godzi się ochrzcić kilka dorywczych uwag, odnoszących się nie do samej metody wykładu nauk historycznych, ale do okoliczności, przy których osiągnięcie pożądaných owoców z jej zastosowania jest możliwe.

Mówić w ogólności o metodach wykładu nauk historycznych byłoby może zadaniem zbyt trudnym, a podawanie szczegółowych wskazań nawet zbyt ciężką pracą. Każdy pedagog wie, że szczegółowe zastosowanie tej lub innej metody zależy od warunków i okoliczności, którymi nie zawsze rozporządzać może. Wykładający nauki historyczne, jeżeli są dobrze obznajmieni z dzisiejszym ich stanowiskiem, wiedzą sami, jakie szczegóły i objawy dziejowe zasługują przed innymi na uwagę. Nie poprzestając na opisanie wydarzeń politycznych, na krasomówczo-moralizującym podziwianiu zewnętrznej strony przedmiotu, wprowadzają oni bez wątpienia swych słuchaczy do wnętrza tego labiryntu, zajrzą do każdego w nim zakątka, nie pominią żadnego filaru, o ile tego wymaga poznanie i zrozumienie tej całej misternej i arcyskomplikowanej budowy. Odsłonią przed umysłem młodzieży cały arsenał czynników, pracujących w ukryciu, nadających całemu organizmowi pewne kształty, mniej lub więcej trwałe, mniej lub więcej zmienne, przejściowe. Słowem, przedstawiają całokształt dziejów w całym szeregu przeobrażeń, przez które ludzkość, czy też pojedynczy naród przechodził; wytlómaczą organiczną łączność tych powolnych, ale nieuchronnych przeobrażeń; uwydatnią nawet wyraźnie to, co zwykle nazywamy postępem albo rozwojem: uczynią wreszcie wszystko, czego tylko nauka od nich wymagać może, a mimo to tych rezultatów, jakie sobie obiecują, nie osiągną!

Dlaczego?

Dwie głównie tutaj upatrujemy przeszkody, niezależne od nich; pomówmy o każdej z nich z osobna, jeżeli nie stanowczo i rozstrzygając, bo któżby dzisiaj był śmiałym na tyle, aby sobie to prawo przywłaszczać, to przynajmniej dla zwrócenia uwagi doświadczonych pedagogów i kompetentnych znawców. A najprzód wiek i, co za tem w ogólności idzie, dojrzałość umysłowa młodzieży. Zwyczaj, oddawna ustalony, zniewała rodziców i opiekunów do uczenia historii i literatury dzieci w wieku tak młodym, iż pomimo dostatecznego przygotowania w innych przedmiotach (co zresztą niezawsze bywa), nie są one w stanie nie tylko zrozumieć, ale nawet odczuć treści wykładanego przedmiotu. I zaiste, niema się czemu dziwić. Widzieliśmy, że nauki historyczne mają do czynienia z przedmiotami wielce skomplikowanej natury, wymagającymi nie tylko wielkiej przenikliwości i skupienia uwagi, ale zarazem i pewnej już znajomości samego życia, pewnego rozumienia funkcji, jakie spełnia organizm społeczny, słowem pewnego wpatrzania się, że tak powiemy, w istotę i mechanizm życia. Na to wszystko potrzeba czasu, pewnego obycia się ze światem. Dawniej, kiedy nauki historyczne zajmowały stanowisko wyłącznie opisowe, warunek ten był zbyt ciężkim, gdyż wymagały one wtenczas tylko pamięci i pewnej mechanicznej wprawy, aby pozbierane wiadomości ułożyć w jakąś całość. Tu pewna znajomość życia i jego warunków była rzeczą podrzędną wagi, gdyż niewiele ułatwiała ona spamiętanie następstwa królów, szeregu bitw, dat i innych tym podobnych historycznych

danych. Tak samo z literaturą: życiorys jakiegoś pisarza, tytuły dzieł przezeń napisanych, oraz kilka uwag estetyczno-literackich o stylu i języku pisarza, podział na okresy,—wszystko to całym ciężarem spadało prawie wyłącznie na siłę i wytrzymałość pamięci młodzieży. Dzisiaj, jakżeśmy widzieli, zmieniło się, spoważniało oblicze nauk historycznych, przeszło w nową, wyrazistszą fazę i zażądało słusznie uwzględnienia tych żywiołów, któremi wypełniło i zasiłiło dawną bladość swych rysów. Czynimy powoli zadosyć tym żądaniom, ale zapominamy, że to rozszerzenie i wypełnienie zakresu nauk historycznych wymaga zaprowadzenia pewnych zmian, któreby usunęły dysharmonią między naturą przedmiotu i gruntem, przeznaczonym na zasiew. A toć wiemy, że ziarno, rzucone w rolę nieprzygotowaną, nie wystrzeli ku słońcu zieloną łodygą i pożądanego nie wyda plonu. Napozór zdawać się to może ogólnikiem, który, jak wszystkie ogólniki, niczego nie dowodzi, a nawet rozmija się z prawdą. A jednak... czémże jest umysł 11 lub 12-letniego dziecka, uczącego się historii, jeżeli nie gruntem nieprzygotowanym? Czyż potrafi on zrozumieć całą doniosłość tego procesu, który się jemu przy wykładzie przedstawia? Weźmy przykład. Wiadomo jak wielką rolę odegrało w wiekach średnich cesarstwo, jakie czynniki składały się na jego wytworzenie. Z jednej strony pamięć o światowładnej potędze starożytnego Rzymu, podtrzymywana powagą stanu duchownego, z drugiej niebezpieczeństwo, zagrażające Chrześcijaństwu ze strony wyznawców Mahometa, i niemoc cesarstwa bizantyńskiego wytworzyły powoli to powszechne przekonanie w Europie zachodniej, że instytucja cesarska nie tylko jest potrzebna, ale i zbawienna. Włożono tedy na nią pewne obowiązki, do spełnienia których posiadała odpowiednie siły, tkwiące w samym usposobieniu ówczesnego Chrześcijaństwa zachodniego. Postarajmy się cały ten proces przedstawić przedwczesnemu adeptowi historii, zniżmy się przy wykładzie, o ile to jest możliwem, do jego umysłu. Czy zrozumie istotę rzeczy? Bynajmniej! Albo postarajmy się mu wytłómaczyć wzrost i rozległość powagi papieskiej w wiekach średnich, stopniowy jej upadek; wytłómaczymy przyczyny powstania i krzewienia się reformacyi!

Nie będziemy do znudzenia wyliczali objawów, przy wytłómaczeniu których złamać się muszą wszelkie usiłowania wykładającego. Tyle bo tutaj czynników i ogniw tak subtelną natury, iż spostrzeże je i zrozumie tylko umysł już rozświecony, przyzwyczajony do abstrakcyjnego myślenia. Przedmiot nauk historycznych nie jest doświadczalny, nie da się unaocznic za pomocą eksperymentu. Umysł ucznia musi sam odtwarzać sobie współczesne działanie i ścieranie się różnych czynników, ich oddziaływanie na układ zewnętrzny i wewnętrzny całego organizmu. Cóż, jeżeli on natury i źródła tych czynników zrozumieć jeszcze nie może? Mierząc i oceniając objawy życia dziejowego z właściwego sobie punktu widzenia, jestże on w stanie zrozumieć to, co z konieczności uchyla się zpod jego kompetencyi? Kogo nie przekonują te argumenta, nicch dla przekonania się wyłoży jakiś

ustęp z dziejów tak, jak tego wymaga nauka, i po upływie niejakiego czasu spyta swego słuchacza, a przekona się, że ów słuchać lub wreszcie słuchaczka opowie mu niedołącznie albo to, co się w podręczniku zawiera, albo też coś niepodobnego ani do Boga, ani do ludzi, jak to mówią. Tu się odślania całe niedoństwo umysłowe przedwczesnego adepta nauk historycznych i najwymowniej świadczy o potrzebie odłożenia ich wykładu na później.

Z innej strony poważamy się twierdzić, że tego wymagają i względy czysto pedagogicznej natury. Pedagogia wymaga, aby nauka interesowała umysł uczącego się, aby go pociągała ku swemu przedmiotowi, ale ostrzega zarazem, że będzie to możliwem tylko wtedy, jeżeli przedmiot nauki nie będzie obcym jego pojęciom i życiu. Zarzuci kto może, że właśnie historia należy do tych przedmiotów, które nieraz i bardzo interesują młodzież. Tak, to prawda, ale interesuje tylko ta strona dziejów, którą możnaby nazwać anegdotyczną, a nie same objawy dziejowe, ujęte w ich rzeczywistém świetle. Zresztą, nieco obszerniej o tej skłonności umysłu dziecięcego i o należytych sposobie jej zużytkowania pomówimy na inném miejscu; tutaj potrąciliśmy o nią jedynie dlatego, aby nie spotkał nas zarzut, że nie licząc się z rzeczywistością, wysnuwamy teorye abstrakcyjne, dowolne i dopominamy się dla nich uznania bez dostatecznej racji. Dla nas kwestya wieku w sprawie pożytecznego uczenia nauk historycznych jest zbyt ważną, iżbyśmy nieli poprzestać na wytknięciu niektórych niedogodności, płynących z obowiązującego powszechnie zwyczaju. Posłuchajmy wreszcie, jak małe 15-o a nawet 16-letni opowiada historią. W zwykłym biegu nauki historii przypadają na niego czasy nowsze. Umiałby on je zrozumieć dokładniej i opowiedzieć, gdyby od samego początku mógł głębiej wniknąć w istotę procesu dziejowego. Lecz nie mając wyrobionego umysłu od początku, nie może pokonać i dalszych trudności. Opowiadając więc historią, trzymać się będzie niewolniczo książki, ale nawet w tym wypadku nie potrafi samodzielnie panować nad materiałem bardzo szczupłym, rzadko kiedy wychodzącym z zakresu dziejów politycznych; uważniejsze wsłuchanie się w jego odpowiedź przekonać musi, że łączności organicznej tych wydarzeń, które opowiada, uchwycić umysłem nie może; że tok myśli jego rwie się za każdym niemal zdaniem, że nawet przy więcej zawiłym porządku opowiadania nie potrafi szczegółów umieścić we właściwem świetle. Słuszności tego twierdzenia, zdaniem naszym, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że uczeń pilny odpowie z łatwością na drobne, dorywcze pytania nauczyciela, czyli innemi słowy: wykaże zdolność pamiętania szczegółów, ale umiejętności ich organicznego łączenia nie posiada, albowiem samą teorią nabyć jej nie może, a praktyka dopiero teraz przed nim się otwiera. Tymczasem w edukacyi domowej młodzież, zwłaszcza płci żeńskiej, w 15-ym a najdalej 16-ym roku życia, zwykle kończy historyczną podróż po wszechświecie!

Druga zasada pedagogii, pogwałcana, jak się nam zdaje, przez zbyt wczesne uczenie nauk historycznych, jest ta, że nauka powinna

rozpoczynać się od przedmiotów prostych, łatwych do objęcia dla umysłu nieumiejącego jeszcze jednocześnie rozstrzelać uwagi i skupiać ją; wtajemniczać w zasady proste, nie ścierające i nie krzyżujące się nawzajem za każdym krokiem. Dlatego to nauka arytmetyki, zwłaszcza jeżeli ze sfery liczb abstrakcyjnych przeniesiona zostanie na grunt okazy, jest jedną z najodpowiedniejszych dla umysłów młodocianych. Tak samo nauka geografii, gramatyki, bo wszystkie one mają to do siebie, że traktują o przedmiotach, ulegających prawom jednej natury. Lecz jakże odmiennie muszą postępować nauki historyczne! Jak różnorodne tu nieraz ścierają się czynniki: i geograficzne, i ekonomiczne, i psychiczne w najróżnorodniejszych odcieniach składają się na wytworzenie tego lub owego objawu dziejowego. Któż nie przyzna, że nauki historyczne należą do najbardziej skomplikowanych, a więc i do najtrudniejszych do zrozumienia dla umysłów nie wyćwiczonych? Nauki przyrodnicze, traktowane na serio, poważnie, należą do znacznie łatwiejszych, głównie przez to, że dają się unaocznic za pośrednictwem doświadczeń, bo mają do czynienia z przedmiotami konkretnymi. Powiedzieliśmy już, że z naukami historycznymi uczynić tego niemożna, bo przecież niepodobna zaprzeczyć, że nawet najodpowiedniejsze do treści ryciny, mające jakoby ułatwić naukę dziejów, nie są w istocie rzeczy niczym więcej, jak tylko ilustracjami, które uplastyczniają stronę zewnętrzną dziejów i niewiele pomagają do istotnego ich zrozumienia.

Przy wykładzie dziejów literatury bywa zwykle to samo, chociaż nie tak powszechnie. Wprawdzie, ogranicza się ten przedmiot po większej części do literatury ojczystej i bywa, o ile uważamy, nieinal wyłącznie przeznaczonym ku wzbogaceniu wiedzy naszych przyszłych obywateli kraju. Ileżto razy zdarza się, że 13-to lub 14-to-letnie panienki słuchają literatury polskiej i francuskiej, jako przedmiotów bezwarunkowo obowiązujących, i biada téj, która dla jakichkolwiek przyczyn wiadomości na tém polu zaniedbała zbierać. Mniejsza o to, że wiadomości te są bardzo powierzchowne, byleby były: istota rzeczy stoi na ostatnim planie, a nawet poza planem. Jakich tedy rezultatów możemy się spodziewać? Niech osądzi każdy bezstronny. Znajomość powierzchowna dziejów literatury, czyniąc zadosyć wymaganiom kwalifikacyi towarzyskiej, nie jest jeszcze wzbogaceniem wiedzy i rozświeceniem umysłu; nie dostarcza nawet materiału do rozważania i myślenia. Może go dostarczyć obficie, w ilości nieprzebranéj, ale tylko wtedy, gdy wykład znajdzie grunt odpowiednio przygotowany. Literatura, tak samo jak i historia, ma do czynienia z tą grupą objawów życia narodu, którą w ogólności nazywamy płodami umysłowemi, albo téż utworami ducha ludzkiego. A tymczasem wymagamy, aby młodociany umysł, którego władze, zaledwie budzące się z dziecięcego uspienia, nie umieją kroczyć samodzielnie, mógł ogarnąć i zrozumieć całą głąb tych myśli i uczuć, które ozywiają przedstawicieli dążności i pragnień narodowych, które nurtując w łonie narodu, uzewnętrzniają się w skrytalizowanych formach utworów literackich w całej różnorodności swych

odcieni, nieraz tak subtelnych! Chcemy, a raczej powinniśmy chcieć, iżby, zgodnie z naukowym charakterem nauk historycznych, zrozumiał on nie tylko ducha utworów literackich, ale i ich organiczną łączność między sobą, z tokiem dziejów, a nawet doniosłość tych czynników, które złożyły się na nadanie takiego, a nie innego piętna tym pomnikom różnej wielkości i struktury. Słowem, mamy tu do czynienia znowu z przedmiotem nader skomplikowanym, bo wpływającym bezpośrednio z tajników procesu życia, a zasady pedagogii, obowiązujące przy wykładzie dziejów, również powinny obowiązywać i tutaj. Powie kto może, że wykład literatury ma tę dogodność, iż może być poparty czytaniem wyjątków, które uprzystępniają sam przedmiot. Zgoda, a nawet niepodobna wyminąć tej lektury tak, jak przy fizyce lub chemii, poprzestawać na abstrakcyjnym wykładzie bez poparcia go doświadczeniami. Nie przekonywa nas to jednak na korzyść wczesnego uczenia literatury, gdyż czytanie wyjątków nie upraszcza w żaden sposób zawikłej natury samego przedmiotu. Dla wniknięcia w ducha utworów, trzeba koniecznie zniżyć do objaśnień i komentarzy, które właśnie stanowią, że się tak wyrazimy, kwintesencją tej nauki. A więc schodzi się, bądź cobądź, na grunt dla młodocianego umysłu niezrozumiały i niewdzięczny. Najwyraźniej może słuszności naszego sądu dowodzi ta okoliczność, że sam wykład literatury raczej bawi niż interesuje, a naiwne uśmiechy najbardziej odsłaniają przedwczesny, dziecienny sposób widzenia rzeczy.

Pytamy się tedy, czy wśród takich warunków, wykład literatury może odnieść pożądane rezultaty? Śmiało twierdzimy, że nie, a nawet gotowiliśmy twierdzić, że prędzej jest szkodliwym, aniżeli pożytecznym, gdyż łatwo może przyspieszyć przedwczesną dojrzałość, która, jak wszystko, co się rozwija sztucznie, raczej złe niż dobre wydaje owoce.

III.

Druga niedogodność, tamująca osiągnięcie prawdziwych rezultatów z wykładu nauk historycznych, zależy od praktykowanego powszechnie porządku, w jakim różne ich części bywają wykładane.

Mamy tutaj na myśli mniej racjonalne, zdaniem naszym, wysunięcie na pierwszy plan dziejów i literatury ojczyźstiej, skutkiem czego zwykle bywa tak, że czy to w kursie elementarnym, czy więcej obszernym, historia Polski znacznie wyprzedza powszechną, tak iż młodzież uczy się np. dziejów Polski z XIII lub XIV wieku w tym samym czasie, kiedy z dziejów powszechnych zna zaledwie nie całe czasy starożytności. Tak samo bywa i z literaturą: poznajemy pierwój pisarzy Zygmunto-wskich, aniżeli starożytnych klasyków greckich i rzymskich; zgłębia-my naszych wieszczów XIX wieku, nie wiedząc nic zgoła o literaturze zachodniej i jej przedstawicielach z drugiej połowy zeszłego stulecia i początków bieżącego. O tych ostatnich zresztą często bardzo smutne miewamy wyobrażenie, gdyż dzieje literatury powszechnej, je-

zeli się nie mylimy, nie uzyskały jeszcze powszechnego prawa obywatelstwa w programacie domowego wykształcenia. Gdzie się jednak ta ostatnia dobiła uznania, zawsze stosunek między nią i historią literatury polskiej bywa zwykle ten sam, jaki zaznaczyliśmy przy historii. Tymczasem twierdzimy stanowczo, że stosunek powinien być odwrotny, a to z następujących względów, które tutaj pokrótce nasuwamy uwadze czytelników.

Przypomnijmy sobie, cośmy powiedzieli na początku o dzisiejszém stanowisku nauk historycznych i o wy wpływającym ztąd ich pedagogiczném znaczeniu. Zajęły one stanowisko, co najmniej, wyjaśniające istotę i łączność objawów życia dziejowego, odstaniające przed nami tajemnice procesu społecznego. Żaden tedy objaw, wzięty pojedynczo, nie może być dostatecznie zrozumiany, ani oceniony należycie, jeżeli nie uwzględni się jego antecedenicy z jednej strony, z drugiej wzajemnego oddziaływania różnych czynników między sobą. Jednym zaś z główniejszych czynników są stosunki międzynarodowe, które czy to pod postacią przyjaznych czy nieprzyjaznych starć, są czémś w rodzaju dobrych przewodników elektryczności i przelewają niedostrzegalnie napozór, ale niemniej przeto skutecznie, te zasoby cywilizacji, które wyrabiając się w pewnych miejscowościach, u pewnych narodów i wśród pewnych warunków, udzielają się mimowolnie bliższym, a następnie i dalszym sąsiadom, i sprowadzają mniej lub więcej ważne przewroty. Ztąd właśnie płynie konieczna, jak mniemamy, potrzeba posługiwania się metodą synchronistyczną przy wykładzie nauk historycznych, bo tylko tą drogą możemy zapobiedz sztucznemu rozczłonkowaniu całości, jaką w dziejach powszechnych przedstawia ludzkość cała; tą tylko drogą potrafiśmy uwydatnić tę wewnętrzną łączność, jaka wiąże pojedyncze narody i mniej więcej równomiernie zniewala je do rozwoju, a pozwalając traktować historią wszystkich narodów porównawczo, dla umysłów, dostatecznie przysposobionych do poważniejszego myślenia, dostarcza stawy tém więcej pożywnéj i nauczającéj. Lecz nie chodzi nam obecnie o metodę synchronistyczną, ani o jój obronę; uczyniliśmy pobieżną wzmiankę o niej głównie dlatego, aby jeszcze jednym argumentem poprzeć twierdzenie, któreśmy rozwinęli powyżej, że zbyt wczesne uczenie nauk historycznych nie tylko nie może wydać trwałych rezultatów, ale, co gorsza, pod pewnym nawet względem zadaje gwałt przyrodzeniu dziecka.

Zadaniem naszém, jak obecnie, jest tylko dowieść, że jest rzeczą niemożliwą wykładać zgodnie z wymaganiami nauki dzieje jakiegokolwiek pojedynczego narodu, bez poprzedniéj znajomości dziejów powszechnych. I zaiste, wielkiéj dokaże sztuki ten, kto potrafi zadawałnając wyłożyć np. dzieje Niemiec w wiekach średnich, nie potrącając o Włochy, a przez nie o cały świat zachodniego Chrześcijaństwa, a nawet o świat mahometański. Nie lepsze będzie miał warunki i ten, kto zechce ograniczyć się na historii Włoch, Francyi i t. d. Kościół i systemat feudalny, przenikający narody zachodnie do głębi, są tu główné-

mi ogniwami, których bez szwanku dla nauki i prawdy zrywać nie można. Tém trudniejsze jest zadanie dla wykładającego dzieje tych narodów, które przez naturalny, geograficzny pochod cywilizacji, skazane zostały na zajmowanie stanowiska przeważnie biernego, jak to właśnie przypadło w udziale narodom północno-wschodniej Europy. Jakkolwiek wielką znalazła opozycją i surową wywołała krytykę praca Szajnochy *Doby dziejów polskich*, w której niez mordowany ten badacz przeszłości naszej starał się dowieść, że nasze życie dziejowe rozwijało się pod przeważnym wpływem Zachodu; z tém wszystkiém bezstronniejsze rozważenie przyznać każe, iż myśląc się może w szczegółach, w ogólności historyk ten miał słusność za sobą. Nie będziemy wdawali się w obronę jego historyzoficznej teorii; zapytamy tylko, czy bez znajomości historii powszechnej, potrafi ktokolwiek wytkómaczyć wszystkie niemal wybitniejsze objawy dziejów Polski? Niech spróbuje uczynić to z całym szeregiem tych wojen, jakie nasi Bolesławowie musieli toczyć z cesarzami; niech wytkómaczy konieczność przyjęcia chrześcijaństwa i jego cywilizacyjny wpływ, działalność apostolską Polski w obec pogan-sąsiadów, potrzebę połączenia się Litwy z Polską, ruchy reformacyjne i ich stopniowe wygasanie. Za każdym krokiem, przy każdym niemal ważniejszym wypadku będzie zmuszonym cofać się i odbiegać od przedmiotu, szukając wyjaśnień poza granicami samego narodu. Ustawiczne odbieganie od wykładu, celem szukania wyjaśnień, może wprawdzie do pewnego stopnia trudności te usunąć, ale niezupełnie. Raz, nie będą takie wyjaśnienia ostatecznie dokładne, jako wyrwane z całości epizody: gdybyśmy np. dla wytkómaczenia kwestyi ulokowania Krzyżaków na skraju Mazowsza, cofnęli się do wojen krzyżowych, to jeszcze przez to nie moglibyśmy dostatecznie wytkómaczyć tego religijno-rycerskiego nastroju, który podówczas panował na Zachodzie i wypielegnował zakony rycerskie. Dla zrozumienia jego, musielibyśmy się cofnąć wstecz, aż do źródeł, a toby nas zniewoliło znowu do jeszcze dalszego cofania się i t. d. do nieskończoności. Powtóre, przez takie częste, krótsze lub dłuższe, acz zawsze niezupełnie wystarczające dygresye, traciłby sam wykład dziejów na jedności i całości, rozpadałby się na strzępy, z których wprawdzie całość sklecićby się dała, ale z jakiegoż chaosu trzeba by ją składać! A tymczasem jakże łatwo wszystkie te niedogodności usunąć!

Znajomość dziejów powszechnych, wykładanych równolegle, byłaby dla uczących się tłem ogólném, na którym z łatwością możnaby snuć nieprzerwanie wątek dziejów Polski, i to już nie powierzchownie ale z całą gruntownością, właściwą dzisiejszemu stanowisku nauk historycznych, o ile to naturalnie nie przekraczałoby granic średniego wykształcenia. Tak powtarzamy, uczmy się przedewszystkiém dziejów powszechnych, abyśmy zbrojni znajomością tajników, nurtujących od wieków w łonie całej ludzkości, mogli zabrać się do zgłębiania dziejów własnego narodu....

Zarzuci nam kto może, iż proponowana przez nas innowacja ze względów moralno-obywatelskich, nie może być przyjęta, wynosi bowiem na miejsce naczelnę znajomość tego, co jest obce, a usuwa na drugi plan to, co nas przedewszystkiem interesować powinno; że mniej naganném byłoby nie znać dziejów obcych albo literatury, niż własnych.

Zarzut tego rodzaju, sądzymy, spotkać nas może chyba tylko ze strony tego, kto nie zechce jednym ogólnym rzutem oka objąć całości naszych argumentów, na których wspiera się cała niniejsza praca. Poprosimy więc domniemanego przeciwnika o łaskawe ich uprzytomnienie, a jesteśmy pewni, że się przechyli na naszą stronę. Zresztą, ośmielamy się prosić o cierpliwość do końca.

Tak więc uczmy się przedewszystkiem poznawać dzieje powszechne, jeżeli chcemy rzeczywiście doczekać się zdrowych owoców edukacji. Odłożenie do czasu dogodniejszego nie jest jeszcze zupełném odrzuceniem, ani przeniecierstwem przeciw obowiązkom obywatelskim; przeciwnie, jest, jak w tym razie, rzeczą pożyteczną i zbawienną. Zarzuty, któreśmy tutaj włożyli w usta fikcyjnego obrońcy dotychczasowej metody, dadzą się stokroć prędzej zwrócić przeciw niemu. Chciejmy się tylko zastanowić bezstronnie nad naszą propozycją. Nie wyklucza ona, jak widzimy, znajomości dziejów ojczystych i literatury, nie ignoruje potrzeby obznajmienia się i z jedném i z drugim; przeciwnie, ułatwia nabycie wiedzy na tém polu przez odpowiednie przygotowanie i zaprawienie umysłów młodzieży do głębszego wnikania w chaotyczną płataninę czynników, pulsujących w dziejach Polski, toruje drogę do mniej omylnego rozumienia tego procesu, który wytworzył nasz stan dzisiejszy. Lecz nie na tém koniec. Większa trzeźwość poglądu i szerszy widnokrąg dziejowy uchroni nas od niejednego mylnego sądu o naszej przeszłości, usunie tę zaściankowość naszego patriotyzmu, która pozornie zakrawa na znawstwo, w gruncie zaś bywa często źródłem opacznego pojmowania wielu kwestyi dotyczących już nietylko przeszłości jako przeszłości, ale i takich, które ściślej łączą się z dzisiejszemi potrzebami społecznemi lub moralnemi. Nie słyszelibyśmy wtenczas tych przesadnych ani pochwał, ani potępiań, jakie tak często słyszeć się dają w sądach o wiekach ubiegłych Polski. Gruntowniejsza znajomość całokształtu dziejów powszechnych pozwoli nam lepiej, bezstronniej oceniać i objawy naszej cywilizacji, właściwsze im wyznaczać miejsce w całym obszarze rozwoju ludzkości. Z większą pewnością siebie, bo na racjonalnym opierając się gruncie, moglibyśmy wskazywać stanowisko Polski w dziejach ogólnoludzkich.

Takie to rezultaty są do osiągnięcia, jeżeli tylko przeprowadzimy odpowiednie reformy w wykładzie dziejów powszechnych i ojczystych. Nie jest więc to zamach na „uświęconą wiekami” przeszłość, zagrażający niebezpieczeństwem potrzebom narodowym; przeciwnie, wyrazem dążności do podania środków, ułatwiających gruntowne i trzeźwe ich pojmowanie. Co więc, taki porządek pozwala wszystko, bo całą wie-

dzę historyczną zastosować i użytkować dla poznania siebie. Starajmy się poznać naszą przeszłość, ale gruntownie, ocenić trzeźwo, zgłębić należycie, ale nie zapominajmy o tém, że najwłaściwszą, jedyną, nawet nieomylną i racjonalną drogą ku temu jest poznanie przede wszystkim tła ogólnego. Część, wyrwana z nieznanj całej, może być zrozumiałą? A przecież wszyscy pragniemy jedną z takich oderwanych części znać i rozumieć lepiej niż inne części, a nie wiemy na jakim tle ją umieścić.

Czy potrzebujemy jeszcze wystawiać na próbę cierpliwość czytelnika argumentacją w tym samym duchu odnośnie do wykładu dziejów literatury? Mamy nadzieję, że ten, kogo dotychczasowe wywody przekonały na korzyść proponowanej przez nas innowacji, sam przewiduje argumenty, jakimi mniemanie swoje poprzec zamierzamy. Nie będziemy przeto zbytnio rozszerzać się nad tą kwestyą; z drugiej jednak strony, nie możemy poprzestać na gołosłowném orzeczeniu: dlatego też wystarczy powołać się na jedną niedogodność, aby dowodzenie sprowadzić na grunt pozytywny. Kto z nas nie uczył się, albo też odwrotnie, nie wykładał dziejów literatury polskiej? Kogo między innymi nie nabawiał kłopotu tak zwany okres Zygmunowski, którego pisarze myśli i uczucia swoje przywdziewali w szaty klasycyzmu. Słuchacze nie są w stanie zrozumieć, a wykładający wytłómaczyć, co to mianowicie jest ten klasycyzm, z którym, jak z duchem niewidzialnym, biadać się muszą przez całe trzy wieki; słyszą o jego większej lub mniejszej przewadze, o większej lub mniejszej oryginalności tego lub owego pisarza, a jednak nie posiadają żadnego środka do oddzielenia obcego żywiołu od pierwiastków samorodnych. Sam Kochanowski w jak odmienném przedstawi się świetle, jeżeli znać będziemy literaturę klasyczną. Z upływem czasu wzrasta wpływ wzorów zachodnich, włoskich, francuskich; coraz częściej mówimy o ich wzrastającej przewadze, a mimo to wzorów tych nawet w przybliżeniu nie znamy. Tak więc przy obecnej metodzie uczymy się rzeczy nieznanych, zagadkowych, aby dopiero z czasem, i to nie zawsze, rzucić na tę tajemnicę jakiś promień rzeczywistego światła. Na domiar nieszczęścia światło to padnie na obraz już zbladły, którego rysy tém trudniej jest odświeżyć, ile że we właściwym czasie ślizgały się one po tle bezbarwném i martwém.

IV.

Zbliżamy się do końca. Przebiegliśmy w krótkości wszystkie te motywa, które przemawiają na korzyść zreformowania wykładu nauk historycznych, celem uczynienia go o ile można pożyteczniejszym. Z obawy, aby nie przebrać miary, umyślnie unikaliśmy częstego potrącania o drobne szczegóły, licząc na to, że je czytelnik, rozumiejący dzisiejsze wymagania nauk historycznych, a tém bardziej wykładający te nauki, sam je sobie w liczbie nieprzebranej bez wielkiego mozołu znaleźć potrafi.

Pozostaje nam jeszcze do powiedzenia słów kilka najprzód o tém, jak należałoby zużytkować dosyć powszechnie między dziećmi objawiającą się ciekawość do poznania historii, o czém już nadmieniliśmy poprzednio, następnie o ilości czasu zwykle wyznaczanej przez opiekę domową dla nauk, o których ośmieliliśmy się te kilka uwag napisać.

Punkt pierwszy głównie obchodzi nas o tyle, o ile może on dostarczyć odpowiedniego materiału do wykładu dziejów. Dzieci, okazując, że tak powiemy, ciekawość historyczną *sui generis*, mogą uzbierać pewien zasób wiadomości takich, które później zużytkować się dadzą; nie należy tedy owę skłonność dziecienną ignorować, ani przez to samo przytłumiać. Nie zdaje się nam wszakże rzeczą dobrą, mordować je systematycznym lecz zwięzłym wykładem dziejów bądźto powszechnych, bądź ojczystych. Najodpowiedniejszymi, jak mniemamy, byłyby pogawędki historyczne, składające się z barwnych obrazków, w których drobne szczegóły umiejętnie wybrane, malowałyby bądźto stan obyczajowy, bądź polityczny, bądź wewnętrzny danej chwili, lub pewnego okresu. Zadaniu temu może najlepiej odpowiedziałyby podręcznik w rodzaju wypisów historycznych, ułożony według pewnego planu z oderwanych epizodów, któreby w sposób łatwy i zajmujący traktowały o mniej zawiłych objawach życia dziejowego. Książka w tym rodzaju mogłaby podwójną wyświadczyć przysługę: raz jako podręcznik do przygotowawczego wykładu dziejów; powtóre jako zbiór wiadomości historycznych dla tych, którzy dla jakichkolwiek przyczyn na owych szczupłych okruszynach wiedzy historycznej poprzestaćby musieli. Licząc się z wymaganiami téj ostatniej potrzeby, należałoby przy układzie rzeczonyj książki uwzględnić nie tylko te momenta dziejowe, których doniosłość do pewnego stopnia dziś jeszcze uczuwać się daje, których więc znajomość może dopomóc przy oryentowaniu się w sprawach bieżących, ale i ważniejsze wydarzenia z dziejów ojczystych. W ten sposób z zyskiem dałyby się zastąpić dotychczasowe podręczniki, w których suche wiadomości historyczne, nie pomijające „żadnych znacniejszych w świecie wydarzeń,” zaledwie w dziesiątej części zawierają coś nauczającego, a przynajmniej przydatnego dla elementarnéj wiedzy. Dzieci, które na tych okruszynach poprzestać muszą, po większej części wszystko zapominają, a to dlatego głównie, że nie w nich niéma takiego, coby owym „pamiętnym” wydarzeniom nadawało jaką wyrazistość, lub podnosiło znaczenie opisanego, a właściwiéj mówiąc, zanotowanego faktu.

Historia dla dzieci liczy u nas kilka podręczników, ale po uważniejszym ich rozpatrzeniu łatwo się przekonać, że prawie wszystkie, nie wyłączając podręczników Zdanowicza, mają dwie kardynalne wady, które znacznie obniżają ich użyteczność. Najprzód każdy stara się o to, aby dziecko nauczyło się z nich jak największej liczby faktów, aby o każdym niemal monarsze dowiedziało się bodaj jakiej anegdotki, aby mogło wyliczyć wszystkie znacniejsze wojny, ważniejsze bitwy i t. d. Widocznie autorowie takich podręczników radziby widzieć

swych pupilów popisujących się erudycją historyczną, która, niestety, bardzo prędko wietrzeje, bo wietrzć musi dla swój bezbarwnej natury. Bo pytamy, jakiż praktyczny może mieć użytek przy oryentowaniu się w sprawach bieżących znajomość siedmiu królów rzymskich, lub wojny peloponeskiej, lub ilu synów miał Krzywousty, albo wreszcie to, ile lat panował ten lub ów monarcha, albo jak długo ciągnęła się ta lub owa wojna? Przeładowanie takimi i tym podobnemi szczegółami prędkiej może odstręczyć dziecko od uczenia się historii, niż do niej zachęcić swoją rutyniczną skrzętnością i martwością. Kto chce się o tém przekonać, niech zwróci uwagę, jak często słyszeć można utyskiwania ludzi już dojrzałych na to, z jakim to móżem zdobywać musieli owe legiony faktów i fackików, z których dzisiaj nic nie pamiętają, albo bardzo mało; z jakim wstrętem zabierali się do tój mozolny pracy. I czyżaj w tém winą?

Drugą wadą naszych elementarnych podręczników historycznych bywa nieumiejętność dobiierania faktów; w owiej powodzi szczegółów, jakie w nich napotykamy, rzadko który jest istotnie przydatny na późniejszej, kiedy uczeń zabierze się do gruntowniejszego obznajmienia się z dziejami, a same przez się bywają mu one często bez żadnej wartości. I pocóż tu, pytamy, daremne męczenie dzieciaka, który później przekonany się ze zdziwieniem, że mozolnie zdobywał niejedyn fakt taki, o którym musi zapomnieć, aby mu nie zawadzał przy systematycznej nauce. Bo i to się często zdarza, że znajdujemy w naszych elementarnych podręcznikach fakta mylne, dawno już przez badaczy sprostowane, w innym postawione świetle.

Otóż tym wszystkim niedogodnościom zapobiedzby można w sposób powyżej zaproponowany. Z jednej strony uprzystępniony wykład mniej skomplikowanych objawów dziejowych z różnych czasów i narodów, z drugiej uwzględnienie tych faktów, które mają pewien interes praktyczny, sądzimy, że zadowolą i wymagania nauki i uczynią zadosyć wymaganiom praktyki. Może się wyrażamy niezupełnie zrozumiale i dlatego nie będzie zapewne zbyt rzadkiem rzucić w kilku rysach najogólniejszy szemat elementarnego podręcznika, tak jak go sobie mniej więcej wyobrażamy.

Sądzimy, że po kilku wstępnych wiadomościach historyczno-geograficznej treści, możnaby śmiało bez wielkich trudności roztoczyć przed dzieckiem kilka obrazów życia narodów, rozwijającego się pod przeważnym wpływem warunków geograficznych, np. wody. Kreśląc życie narodów nadmorskich, można w jednym obrazku wygodnie pomieścić i główny prąd życia dziejowego Fenicyan i miast włoskich w wiekach średnich, a nawet odkrycia nowych dróg handlowych i łądów, jako też poniekąd dzieje osad europejskich, np. Stanów Zjednoczonych; w innym znowu obrazku ścieranie się między starożytnym Wschodem i Grecją. Następnie w dziejach Rzymu wielkiej wagi dla umysłowego rozwinięcia dziecka byłoby umiejętne przedstawienie walki plebejatu z patrycyatem, oraz tryumf cesarstwa nad republikań-

ską formą rządu. Upadek cesarstwa zachodniego i powstawanie nowych państw na jego zwaliskach byłyby tłem przygotowawczém do obrazu krzewienia się Chrześcijaństwa na Zachodzie, a potem i na Wschodzie Europy; jako epilog, do niego można by przyczepić wojny krzyżowe i w ogóle walki z niewiernymi, prześladowanie heretyków i sekciarzy średniowiecznych. Tutaj znalazłyby miejsce najważniejsze: wojny z Albigenami, ujarznienie Prusaków, najazdy zakonu krzyżackiego na Litwę i t. p. Daleko trudniej, a nawet prawie niepodobna uprzystępnąć należycie dwu nader ważnych momentów, a mianowicie: zmniejszenia powagi kościoła katolickiego wraz z krzewieniem się zasad reformacji, oraz historii wielkiej rewolucyi francuskiej. Przez wzgląd jednak na wielką doniosłość tych faktów, pominąć ich dla celów praktycznych niemożna. Łatwiej daleko do pewnych ogólnych czynników dadzą się sprowadzić wojny nowożytne; systemat równowagi politycznej i dążność do zaokrąglania granic można uwydatnić w wojnach: o następstwo tronu hiszpańskiego, siedmioletniej i innych.

Wyczerpawszy w ten mniejwięcej sposób całość dziejów powszechnych łącznie z ojczystemi, można ramy takiego elementarnego podręcznika rozszerzyć przez dodanie na końcu kilku przystępnie napisanych rozprawek, traktujących na zasadzie uzbieranego materiału o objawach rozleglejszej doniosłości z życia i urzędzeń wewnętrznych. I tak np., można przedstawić historią niewolnictwa w starożytności; rozpatrzyć wpływ stosunków międzynarodowych na szerzenie się cywilizacji: materiału obficie dostarczają Fenicyjanie, Grecy, Arabowie i inni; dalej historią władzy królewskiej i jej stosunku do narodu: między innymi przy tej zręczności dałyby się przedstawić dzieje konstytucyi angielskiej, a poniekąd i dzieje najnowsze.

Rozumiejąc aż nadto dobrze, iż w szczególnym wyborze i rozkładzie materiału wielka może istnieć rozmaitość, nie myślimy bynajmniej podawać tu żadnych przepisów w tej mierze. Dalecy jesteśmy od dyktowania recept; jeżeli jednak coś podobnego uczyniliśmy, to jedynie dlatego, aby przez większe rozwinięcie planu, zrozumiałej przedstawić nasz pogląd na układ elementarnego podręcznika historycznego. Prawda, że ma on także niektóre niedogodności. Dziecko—pod tę nazwę podciągamy nawet 11 i 12-to letnich malców—pomimo chronologicznych danych (których zupełnie pomijać nie należy) może pomieszać opisane wydarzenia, może nawet opisanym wypadkom nadać znacznie większą lub mniejszą rozciągłość czasu. Niedogodności tej jednak zaradzić można za pomocą rekapitulacji i przy czujności nauczyciela; ale za to uczeń istotnie skorzysta i będzie miał zarazem pole do wyćwiczenia się w segregowaniu i kombinowaniu wypadków.

Tą jedynie drogą, jak mniemamy, dadzą się pogodzić wymagania praktyki z wymaganiami nauki. Nie chcemy tylko odrazu nauczyć wszystkiego. *Non multum sed multa*, niech będzie w tym razie hasłem i rodziców i nauczycieli i wreszcie tych, którzy układają elementarne podręczniki historyczne. Znajomość dziejów, jaką dzieci z nauki ele-

mentarnéj wyniosą, będzie wystarczającą w stosunku do ogólnego poziomu ich wiedzy. Ci zaś, którzy zechcą zakres swych wiadomości rozszerzyć i podnieść się do poziomu wykształcenia średniego, znajdą w sobie grunt już przygotowany i pewien zasób wiadomości, które ulżą im w systematycznej pracy, ułatwią poznanie całokształtu dziejów. Ale pamiętajmy, że przedmiot tak rozległy i wielostronny, jak historia, przy gruntowniejszym wykładzie nie może być wyczerpany w kilku słowach. Każda strona życia dziejowego domaga się, aby ją poznano w stosunku do innych, aby jéj właściwe wyznaczono miejsce, należycie wyjaśniono. Tymczasem łudząc się tém przekonaniem, że kurs elementarny dostateczny podał zasób materiału, wyznaczamy na wykład szczegółowy, t. j. systematyczny tak mało czasu, iż nauczyciel nie jest w stanie nietylko wyczerpać przedmiotu, ale nawet niezawsze zdąży zwrócić uwagę słuchaczy na wiele takich kwestyi, które należy uwzględniać. Wymagania opieki domowéj bywają w tym razie często tak krępujące, iż niepodobna pogodzić ich z wymaganiami nauki. Bo téż chodzi jéj często nie o gruntowną znajomość rzeczy, ani o istotne rezultaty wiedzy, ale o jéj pozór; chodzi bardziej o to, aby młodzieniec lub panna nie kompromitowała się w towarzystwie, twierdząc, że Numą wyszła za Pompiliusza. Lecz czyż na tém powinniśmy poprzestać? Nie będziez to zabójstwem umysłowém, jeżeli pozwalają środki, zostawić umysł odłogiem, jak pole, na którém zaledwie liche kiełkują trawki, kiedy mogą na nich plenne porastać zboża?

SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-go WIEKU *).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

III.

Leczenie ran szło swoim porządkiem, choć niemożna było powiedzieć, ażeby ten gość w domu dogodnym był domownikom.

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za marzec r. b.

Nie skarżyła się na niego panna Pepita, ale szemrała Gawłowska i doktor pilnował tego, ażeby panna się nie pokazywała; więc ją trzymano jak niewolnicę, co w zły humor żywe dziewczę wprawiało.

Chory zaś w miarę jak do sił przychodził, coraz się w swojej izdebce niespokojniej znajdował. Po całych dniach śpiewał, hałasował, chodził, nie mógł usiedzieć w miejscu, rzucał się jak zwierzę dziki w klatce. Słysząc go było w całym dworku, nawet w pokoju dość oddalonym Gawłowskiej, w którym Pepita z krosienkami rezydowała.

Była ona bardzo muzykalną, doktor też lubił muzykę pasyami, staruszek Schafner kapelmajster dymisjonowany przez księcia Ogińskiego, osiedlił się był właśnie w Lublinie. Mellini go uprosił żeby dawał lekcyje śpiewu siostrzenicy; a że Pepita miała prześliczny sopran, a Schafner był zapalonym wielbicielem wokalnej muzyki, podjął się tego z wielką satysfakcją. Parę razy na tydzień przychodził zwykle do dworku i na klawicymbale stojącym w saloniku doktora, towarzyszył do śpiewu pięknej pannie.

Właśnie egzericytowała się w aryi z *Didone abandonnata*, bardzo natenczas w modzie będącej.

Jednego z tych dni Niemiec się zjawił. Był to staruszek w peruce, z laską, na cienkich nóżkach, zaszczyły, kościany dziadek. Chciano go się pozbyć tém, że w domu był chory, ale że właśnie wchodząc słyszał go wyspiewującego na całe gardło Schafner, choć pięknym głosem, ale jak on znajdował, fałszywie i bez metody, uparł się, aby lekcyą odbyć koniecznie. Pozamykano drzwi; zdawało się, że głos Dydony nie dojdzie do chorego, Schafner siadł do klawicymbału.

Tymczasem w śpiewie p. Wicka przypadł właśnie interwał wypoczynku, i—chory, który się był na łóżku położył, usłyszał śliczny sopran strumieniem płynący srebrzystym wśród ciszy. Zerwał się na równe nogi zdumiony, podbiegł do drzwi... otworzył je, w sieniach już arii słyszeć było można doskonale. Naprzeciw z niej drzwi prowadziły do antykamery małej, a z niej do bawialni, w której stał klawicymbał. Siedział stary Schafner i przy nim stała w sukni białej, z rozpuszczonymi czarnymi włosami, przepiękna Pepita... Wicek nie wytrzymał. Głos był prześliczny, ciekawość go wzięła niezmierną zobaczyć tę która go wydawała. Zuchwały chłop, ośmielił się, jak stał, prawie nie ubrany, wtargnąć do przedpokoju pocichu, przysunąć do drzwi, przykłępnąć do dziurki od klucza i, spojrzeć.

Zrządzenia losu dziwne czasem bywają. Przez dziurkę od klucza normalną, jakie się zwykle we drzwiach spotyka, niewieleby może zobaczył ciekawy łotr, co się tu podkradł. Trzeba było wypadku że od tego zamku nigdy klucz zgubiono, że go gwałtem odrywając popsuto, nie naprawiono i że dziurka od klucza była szkaradną dziurą, w której całe czarne oko młodzieńca umieścić się mogło.

Ujrzał więc przez nie na ciemnym tle ściany obitej zielonym szpalerem, obraz, który chyba w snach rozgorączkowanej wyobraźni mógł równie uroczo zabłyśnąć.

Stała za krzesłem starego Schafnera, z wielką gracyą, suchemi rączkami przebiegającego po brzęczącym jak komar klawicymbaliku — no—bogini jakaś? Taką mu się wydała! Z trochę podniesioną główką, z trochę otwartemi różowemi ustami, w których perłowe ząbki świeciły, Pepita śpiewała z wyrazem smutku rozdzierającym, który od słów i muzyki przeszedł na jęj oblicze... Miał ją przed sobą całą, śliczną jęj kibić, cudowną rączkę spartą na krzesła poręczy, główkę podrzuconą do góry, ramiona białe lekkim okryte muślinem...

Co się z nim tam stało gdy ją ujrzał, nie umiemy wytłómaczyć. Długo oka oderwać nie mógł od tego widoku, twarz mu zapałała, wreszcie zerwał się jak złodziej uciekać, usłyszawszy szelest, i stuknął w przedpokoju drzwiami za sobą.

Poszedł się zamknąć do swęj izdebki.

Stuknięcie drzwiami nastraszyło śpiewającą, która zerwała się i wybiegła zobaczyć czy się kto nie wkradł do domu. Ale już chory był u siebie. Nie wiem czy się jego niedyskrecyi i zbrodniczego podsłuchiwania domyśliła, ale lekcya śpiewu została przerwana. Schafner tylko zagrał Haydna waryacye na fortepianie, pomówił z piękną uczennicą i, panna Pepita wróciła do pokoju Gawłowskięj.

Gdy wieczorem doktor przyszedł do domu i zająrzał do chorego, znalazł go w jakięms usposobieniu szczególném.

— A wiesz, konsyliarzu—rzekł—że tu u ciebie być na kuracyi, rzecz jest wcale przyjemna. Nie wiedziałem o tęp że tu koncerta bywają. Co za głosik!

Doktor się strasznie zmarszczył; gdy się Pepity co tyczyło, żartować nie dawał.

— Cóżes to waćpan podsłuchiwał!—zapytał ponurym głosem—to nie pięknie! Jesteś tu dla kuracyi nie dla koncertu!

— Tak, ale Pismo Święte powiedziało: „Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słuha.” Jakże konsyliarz chcesz żebym ja rozkazom Pisma Świętego się sprzeciwił?—odparł chory—koncert był *gratis*!

— I wcale na ten raz niepotrzebny!—zamruczał Mellini niecierpliwie.

— Nie wolno mi spytać o *divę*! Kto jest ta utalentowana *cantatrice*?

— Waćpan umiesz po włosku?—odparł doktor.

— Hę?—odparł chory ruszając ramionami—kto to wie? może.

— Bo powiedziałbym waćpanu: *Chi tutto vuole, niente ha!* (kto wszystkiego chce, nięma nic).

Kiwnął głową słuchający.

— Żebym umiał po włosku—rzekł zwolna—tobym waćpanu odpowiedział: *A colui che vuole, nulla è difficile*, (kto czego chce, temu nic trudnego nięma).

Usłyszawszy odpowiedź, doktor się zmieszał mocno.

— A to co?—zapytał.

— Tak sobie, próbowałem—rzekł chory—czy mi się jaka włoszczyzna téż nie uda! Doktor mi dałeś do zrozumienia, żebym się nie dopytywał, a ja... musiałem coś bez sensu spleść.

Mellini, który się poczynął gniewać, włoszczyzną trochę został rozbrojony, jednakże wróciła mu troska o Pepitę.

— Jakże się waćpan czujesz?—zapytał.

— Chciałbyś się mnie pozbyć?—rzekł chory—ale ja gotów jestem każdej godziny, kochany konsyliarzu. Skiń tylko... Widzę, że jako Włoch jesteś zazrosny, choć nie suponuję, ażeby ta istota tak młodzusiętka była twoją żoną.

— A gdzieżes ją waćpan już widział!—krzyknął doktor z gniewem—gdzie! jak!

Chory spostrzegłszy gniewającego się, zaczął się śmiać po swojemu.

— Mityguj się, na miłość Bożą! Nie widziałem jej tylko przez dziurkę od klucza z przedpokoju!—odezwał się.—Do téj zbrodni się przyznaję: słysząc głos nie mogłem wytrzymać. Piękna jak anioł, lecz, słuchaj doktorze!—dodał—ja w anioły nie wierzę, bom się nadto dobrze znał z dyabłami.

Bądź spokojny!

Ironicznie i gorzko chichotać zaczął.

— No, kiedy mam iść precz?—rzekł po chwili.

Mellini się zawstydził.

— Waćpan jesteś osobliwszy człowiek—rzekł.

— Ja o tém wiem!—odparł Wicek.—Byłem może stworzony na wcale nie kiepskiego człeka, robacy nadgryźli i zrobiła się osobliwsza gniłka... *Ogni rosa ha la sua spina*, a ja różą nie byłem nigdy.... *spina* się została z gałęzi...

Włoszczyzna znowu rzucona od niechcienia, zrobiła wrażenie na doktorze.

— Ale któż bo waćpan jesteś?—zawołał gwałtownie—mów! Już ci ja nie zdradzę.

— A ja się bo żadnej nie obawiam zdrady—rzekł chory—widzisz kto jestem, kawał łotra, z którego miał być poczciwy człowiek...

— No, i może być!—przerwał Mellini—i może, i będzie!

— Ani może ani będzie!—gwałtownie i z wielką goryczą, pierwszy raz poważniej a seryo począł chory—nie, to, na com się patrzył, com przeżył psuje człowieka do gruntu. (Uderzył obu rękami po stole). Dosyć tego...

To mówiąc rzucił się na łóżko, zwrócił twarzą ku ścianie, i pozostał tak nieruchomym. Doktor już miał odchodzić, gdy usłyszał:

— A lampeczki wina? he! nie można?

Mellini ramionami ruszył, i za całą odpowiedź głową potrząsł.

— Ty bo, szanowny konsyliarzu—odezwał się leżący—wyobrażasz sobie że spełniasz obowiązek jakiś filantropa, oddając mi zdrowie i siły! a ja ci powiadam że oddałbyś usługę, za którą ci podziękowano może, gdybyś mi dał w przyjemném usposobieniu pójść ztąd

prosto na łono Abrahamowe. Wyleczysz mnie i pójdę ludziom psie, krwawe figle płatać!

— A to już do mnie nienależy—rzekł doktor.

— Bodajżeś skisł, stary nudziarzu!—dokończył mrużąc Wicek i do ściany się odwrócił.

Mellini poruszony jeszcze tą rozmową, poszedł wprost do Gawłowskiej i Pepity.

— Potrzeba ci było dziś śpiewać—odezwał się z progu—gdy w domu mamy chorego. Skarzył mi się że mu tym piskiem sen przzerwano. Przestraszył się...

Pepita załamała ręce.

— Cóżem ja winna! Stary Schafner nalegał, .kazał, pozamykaliśmy drzwi wszystkie!

— Tak! tak, ależ pamiętać trzeba że to chałupa jak z kart: dosyć kaszlnąć żeby aż na strychu rozległo...

— Ale mu się nic nie stało?—spytała Pepita zmieszana.

Doktor głową pokiwał.

— Dostanie trochę gorączki—rzekł dwuznacznie—ale spodziewam się że mu to przejdzie; w tych dniach też myślę się go pozbyć, bo mi ta załoga, przyznam się, jest wielkim ciężarem. I dla waćpanny też z tego niewygoda.

— A! dla mnie!—poczęła prędko Pepita—dla mnie? Ależ mnie, tu, z Gawłowską doskonale... Ja mogę zostać dopóki tylko potrzeba. Proszę wcale nie myśleć o mnie.

— Choćbym i nie myślał o tobie—dodał doktor pocichu—tego człowieka z domu chcę co rychlej się zbyć. Jest ostateczny łotr jakiś, najniebezpieczniejszego gatunku, bez czci i wiary.

— Możeż to być!—nawnie podchwyciła Pepita zbliżając się do wuja. Któżby się mógł spodziewać! Z twarzy...

— Tak! tak! wy wszystko sądzicie z twarzy!—przerwał Mellini—chłopiec niczego, ale najpaskudniejszego charakteru i z tém się wcale nie tai!

Rzuciwszy to słowo doktor, niechcąc się wdawać w dalszą rozmowę, odszedł. Pepita została jak wkuta do posadzki, nie uważając nawet że Gawłowska na nią z przestachem i niepokojem patrzyła.

Po chwili dopięro przyszyła się obok niej i w milczeniu wzięła robotę do ręki, bezmyślnie ją obracając.

— Ktoby się tego mógł z twarzy jego domyśleć!—poczęła pocichu.—Proszę cię, moja Gawłosiu! Gdybyś ty go była widziała jak ja, tam, na ziemi leżącego we krwi, z tą głową taką śliczną! Mnie to póki życia nie wyjdzie z pamięci!

— E! co znowu!—ofuknęła Gawłosia—boś się panna nastraszyła! U stracha wielkie oczy, imaginacya jakaś! wydał się czémś osobliwem, a to szalapat, wisus i po wszystkiem. Panna myśli że go ludzie nie znają!

— A któż on jest? zmiłuj się — podchwyciła Pepita ciekawie, — wuj powiada że się od niego nic nie można dowiedzieć.

— Kto ma być? Tać to już u Seliga i naokół wiedzą o nim i gadają. Na mieście on już burszował tu dawno i awantury wyrabiał, a tylko z jednej winiarni do drugiej i z jednej burdy w drugą. Na końcu przysła kryska na Matyska; ale to nie dobrego: nie żał go!

Gdzieś, widać, na jakimś to dworze służyć musiało, liznął potroszę tego i owego, przetarł się i rozłajdaczył: gdzieś się też w rynsztoku zmarnuje!

Pepita wysłuchiwała cierpliwie i westchnęła. Z twarzy jój widać było, że choć się nie chciała sprzeczać z Gawłowską, może sobie co innego myślała.

Nazajutrz, doktor wychodząc z domu, najuroczyściej zakazał siostrzenicy, aby do sieni od ulicy wychodzić się nie ważyła i drzwi od bawialnego pokoju zamknęła na klucz aż do jego powrotu.

Rany pana Wicka już się były tak dobrze podgoiły, że właściwie jedna tylko głębsza na głowie pozostała do zabliznienia. Nosił jeszcze bandaż, i choć ten go nie zdobił, ale pięknemu i z tą przewiązką nadto szpetnie nie było. Po wyjściu doktora, zobaczywszy przez okno, iż się ku miastu posunął, chory szybko się począł ubierać.

Nie łatwe to było zadanie, gdyż suknie w których go przyniesiono i krwią pobroczone i ziemią powalane i pomięte były i pocięte. Wicek wziął się do nich i opatrzywszy w jakim były stanie, zrazu je cisnął z gniewem od siebie. Po chwili jednak zrezygnował się wrócić do nich i nie dbając o rozcięte plecy i rękawy, począł je wycierać, wyciągać, oczyszczać. Po dosyć długim mordowaniu się nad niemi, doszedł do tego że mógł je na siebie nawlec, nie wiele się troszcząc jak w nich będzie wyglądał. Gdy to robił, usta mu drgały i krzywiły się szydersko...

W izdebce Pepity, w której mieszkał było spore zwierciadełko; przejrzał się w niem, uśmiechnął do siebie i czuprynę zatarł.

Szklankę próżną wziął w rękę i zwolna drzwi pokoju uchylił. Wyszedł do sieni. Sień przedłużona wiodła ku drzwiom w głębi do pokoju Gawłowskiej. Jakim instynktem tam trafił, na to chyba młodość jasnowidząca odpowiedziećby mogła. Pomalutku powlókł się przez sień jaknajciszej i... do drzwi zapukał.

Gawłowska, która drzemała nad robotą, zerwała się wystraszona, Pepita od krosien głowę podniosła i... musiała coś przeczuć, bo się zarumieniła jak wiśnia, poprawiając włosy.

Nie czekając żadnej odpowiedzi śmiały pan Wicek, wtargnął do pokoju szklankę trzymając w rękę.

— Za pozwoleniem — odezwał się tonem, mimo grzeczności śmiałym i jakby drwiącym — czy niemógłbym dostać kropli wody? U mnie jój niema, nie wiem gdzie szukać! I...

Wtém, ujrawszy niby teraz dopiero Pepitę, która nie spuszczała go z oczów, odezwał się wesolo i trochę szydersko:

— O śliczna bogini! a to ja wczoraj anielski głos jój, kradzionym sposobem usłyszałem! Dostałem za to burę od doktora! Niechby mnie już i kijem wybił, nie mogłem wytrzymać, abym waćpanny zblizka nie zobaczył.

Gawłowska przerażona, widząc go śmiało idącego ku krosienkom, zaparła mu drogę i chciała odebrać szklankę.

— Daj mi asindzka z wodą pokój—odezwał się—szklanka i woda były tylko pretekstem! Ja się tylko do tój śliczności chciałem zblizyć!

Pepita tonem zuchwałym nieco obrażona, cofała się za krośna. Gawłowska rozpostarła ręce.

— Ale cóż to znowu jest!—krzyknęła—jak pan możesz tak napadać kobiety! Cóż to się ma znaczyć? Proszę pana! Niech mi się pan zaraz wynosi.

— Ale, czekaj asindzka—rozmiał się chory—wyniosę się tylko dopowiem z czém przyszedłem...

Zwrócił się ku Pepicie.

— Kern felczer mi dopiero wczoraj powiedział, że ja pannie tój takiój ślicznój jak anioł, winienem życie; że gdyby ona mnie nie znalazła leżącego i na ratunek nie zawołała, byłbym już dziś albo śpiewał z aniołami, o czém wątpię, albo się w smole smażył. Moje ty bóstwo śliczne—dodał ręce składając—niechże ja ci... jakby to powiedzieć... dziękować niema za co! niech ci się pokłonię.

To mówiąc potracił Gawłowską; widząc go zbliżającego się, wylękała Pepita schowała się w okno i ostoniła firanką. Wszystko to nic nie pomogło, ów pan Wicek wywróciwszy kilka krzesel, odsunawszy krosienka, z zuchwalstwem niepraktykowaném zbiżył się do okna, i choć Pepita krzyknęła, a Gawłowska go silnie za poły w tył zaczęła odciągać, pochwycił w pół broniące się dziewczę, podniósł jak piórko, i w czoło pocałował.

Widząc to ochmistrzyni wrzasnęła tak, że i na ulicy było słychać.

Napastnik postawił na ziemi napół omdlałe dziewczę i zwrócił się do ochmistrzyni.

— A czegoż się drzesz?—zawołał—już się stało! więcej tego nie będzie... Żebym miał ztąd pójść na sucho, to nie mogło być!

Pepita, niewiadomo co się jój stało, pochyliła się ku oknu, zsunęła na ziemię, zemdłała zupełnie. Gawłowska biegła ku niój zrozpaczona, gdy pan Wicek zawróciwszy się jak pijany wysunął się nazad z pokoju.

W progu krzykiem zwabiony stał cały fraucymer dworku, który widząc uchodzącego napastnika, dopiero zrozumiał co się stało...

Trzeźwiono biędną Pepitę.

Gawłowska we łzach powtarzała ciągle:

— O Chryste Panie! jak się doktor dowie, to on tu nas wszystkich, począwszy od niego, pozabija!

IV.

W kilka dni potem przez Grodzką ulicę, widzieć było można idącego, tego samego Wicka Szarakaka. Miał na sobie ten sam kontusz posiekany, który mu jakiś krawczyzna, jak umiał pozszywał. Rany na plecach i piersiach już mu się pogoiły, ale na kontuszu trudniej je przyszło zabliznić. Czapka na bakier włożona pokrywała czarną chustynkę, którą głowę jeszcze miał przewiązaną. Nie zbywało mu wcale na fantazyi pomimo zszarzanéj odzieży, podartego obuwia i niezupełnie pogojonych ran. Trzymał się jedną ręką w bok, a drugą za szablę. Na téj widać było zaraz, że gdzieś za mały grosz na tandecie musiała być kupiona. Lichota to była, rapcie wytarte tak, że z nich barwa zlazła; pochwa odrapana, skówki posrebrzane z których mosiądz żółto przeświecał, a i klinga nie musiała osobliwą być. Rączka téż jakąś ptasią głową zakończona, mizernie wyglądała.

Pomimo oszarpania i zaniedbanéj odzieży, chłopak pańsko szedł i ze straszliwą butą. Ustępowano mu z drogi, bo widać było że on nikomu z niéj nie zejdzie. Kroczył sobie tak jak to się idzie spacerem dla rekreacyi, bez celu, nie śpiesząc, nie dbając dokąd, nie patrząc przed siebie. Oczy miał spuszczone na ziemię, dumął. Posuwał się od niechcenia, od Krakowskiej widać bramy do Grodzkiej, jakby na Żydy chciał iść. Kiedy niekiedy rzucił przed się okiem lub ziewnął.

Słońce przypiekało, godzina była ranna, ale już południe blisko.

Gdy on kierował się tak w dół, z Grodzkiej bramy wysuwał się właśnie pański jakiś dwór podróżny. Jechało przodem dwu jak olbrzymy hajduków w granatowych kurtkach i ponsowych hajdawerach, na koniach rostrych; dalej trzech konnych dworzan w barwie zielonéj z żółtém, za niemi kolasa duża dangłowska, nowa, pyszna: za nią widać było furgony i konie luźne. Dla gorąca powóz był poroztwierany i widać w nim było na jedwabnych poduszkach, siedzącego, a bardziej napół leżącego młodzieńca, który dla wygody ręce w pasy jedwabne powozu powkładał. Piękny ten mężczyzna, brunet, ubrany po francuzku, twarz miał, mimo znudzenia podróżą, pełną ognia i życia...

Czarne jego oczy bystro w prawo i lewo strzelały. Nagle, gdy je przypadkowo skierował na idącego naprzeciw Wicka, porwał się w powozie siedzący, i jakby oczom nie wierzył, z niezmierną uwagą przypatrywać mu się począł. Konie szły zwolna po lichym bruku pod górgę.

— Co u licha! *Quel diable!*—zagrzmiał głos z powozu—Stój!

Służący idący przy kolasie, a za nim kilka głosów powtórzyło: „Stój!” — i kolasa się zatrzymywała, gdy siedzący w niéj młodzieniec wyskoczył, wprost idąc ku p. Szarakakowi.

Szedł i przyglądał mu się jeszcze.

Wicek, który to wszystko dostrzedz musiał, nie dawał znać po sobie wcale, jakby ten cały zachód brał do siebie.

Szedł bardzo spokojnie dalej swoją drogą.

Wtém naprzeciw, drogę mu tamując, stanął młodzieniec, który z kolasy wysiadł, i zawołał, o krok już będąc od niego:

— Wojewodzie! czy mnie nie mylą? Ale to on! Cóż to jest?

Wicek z wolna podniósł głowę, popatrzał, i odezwał się głosem obojętnym:

— Nie mam honoru!...

— Na Boga! ale cóż to ma znaczyć? nie jesteśmy w karnawale, wojewodzicu kochany.

— Żadnego tu wojewodzica niema! — zawołał stanowczo i nieco poruszonym głosem idący—nie znam, nie wiem. Proszę mnie puszczać... Każdy w swą drogę!

— *Mais tonnerre de Dieu!* — nieustępując, krzyknął gorąco pan z kolasy.—Powiedzcie mi co to znaczy? Ja cię tak nie puszcze!

Wicek na rękojeści szabli położył rękę, jakby znać dając, że się bronić myśli.

Rozśmiał się przeciwnik.

— Mów, co ci się stało? Dwu nas przecie takich niema na świecie.

— Za kogo mnie waćpan bierzesz?—spytał flegmatycznie znowu Wicek.

— Wojewodzie... jesteś! Cóż u licha! Kolegowaliśmy z sobą w Strasburgu! Graj ty komedią z kim chcesz, ale nie zemną!

To mówiąc, broniącego się chwycił za rękę, a widząc, że się w ulicy ludzie ciekawie skupiać zaczęli, gwałtem go wciągnął do najbliższej kamienicy, u której drzwi ogromne grono winne, niegdy złoczone, dziś zczerniałe, wisało, a nad niem staroświecka wiecha.

Skinął pan na powóz aby sobie szedł dalej, a sam ciągnąc pochwyconego w ulicy, rozpatrzywszy się w ciasnym korytarzyku, do którego weszli, wprowadził do sklepionej izby na dole.

Stała ona pustkami w téj dnia godzinie. Niezatrzymując się w niej, poszli do mniejszej izdebki o jedném oknie. Tuż za nimi przywłókł się otyły mężczyzna.

Pan z kolasy rzucił mu zdala:

— Butelkę na dukata! Słyszysz, żeby mi dobra była, bo mam zwyczaj w łeb lurą ciskać!

Tu dopiero puścił Wicka jego przewodnik, i zawołał, drzwi zamykając z łoskotem.

— Ale gadajże u licha co się z tobą stało? gadaj!

Wicek padł był na ławę; widać w nim było wzburzenie wielkie... milczał.

Brunet z czarnými oczyma stał naprzeciw i zżymał się.

— Mów-że!

— Niema co mówić!—odparł głosem słabym Wicek.—Wina! hej! kiedy wina, to wina!

Brunet we drzwi uderzył.

— Dawaj wino!

Zjawił się gospodarz z jedną butelką w ręku, drugą pod pachą, trzecią wystającą z kieszeni.

— Niech jaśnie oświecony książę wybiera...

Chłopak lampki stawił i złoty płyn się w nie przelewał. Książę go wąchał i ostrożnie próbował, cmokając, gdy Wicek już lampkę wypił i nastawił, by mu ją powtórnie nalano. Trzy tak z rzędu wlawszy w siebie pośpiesznie, dopiero tchnął.

Gospodarz był już za zamkniętymi drzwiami.

— Na stare koleżeństwo nasze zaklinam cię, mów-że! — krzyknął książę.

Wicek się strząśł cały.

— Powinienbyś się domyślić—rzekł. — Ojciec się mnie wyparkł, ja jego; niema wojewodzica, niema ojca, niema familii; nazywam się Wicek Szarzak i szukam po świecie awantur, aby mi kto oddał tę przysługę i na tamten świat wyprawił, bo na tym waszym, psim, obrzydliwym świecie, robić niemam co...

— Ale jakże do tego przyszło?—spytał książę.

Wickowi uśmiech ironiczny usta wykrzywił, nalał sobie wina i śmiać się począł.

— I to ty, Kaziu, pytasz się o to? ty! ty! Alboż nie wiesz z czego wszystkie nieszczęścia płyną?

— Nic nie rozumiem — rzekł zasiadając ks. Kazimierz — mów, zagadek nie odgaduję.

— A wiesz z kim się mój ojciec ożenił?—spytał Wicek.

— Nie wiem, przyznam ci się nawet, czy się ożenił?

— A wiesz w kim ja się kochałem śmiertelnie, na zabój?

— No, w Dosi.

— Dusia jest moją macochą! — przerwał gwałtownie Wicek.— Woląta starego wojewodę niż mnie, poszła dobrowolnie! A żem ja dla niej dziś niewygodny, bo zdracą i łotrem być nie mogę, postarała się, aby mnie z domu wytrącono i wydziedziczono. Stary jest ślepy i głuchy, ona go za nos wodzi; wmówiła mu co chciała! Szatan ten w anielskiem ciele!...

Gdy to mówił, książę, który był usiadł naprzeciw niego wygodnie, wpatrując się w rozgorączkowanego, cmoktał przyniesione wino powoli, jakby je chciał wypróbować. Znać w nim było wielkiego pana, lekko nawykłego brać wszystko. Ciekawość wprawdzie wyciągnęła go z powozu na widok tak strasznie podupadłego dawnego kolegi, ale zarazem, choć się żywo do niego czepiał i zajął napozór mocno, nie widać w nim było poruszenia serdecznego. Bawił się tém tylko.

— Co ty mi prawisz!—przerwał—ależ to koniec świata! Twój stary żonaty, Dusia, ten śliczny szatanek, do której ty i ja i tylu innych cholewki smaliło, panią wojewodzina, a w ostatku, ty, *desdictado* wydziedziczony tragicznie, w potatanéj kontusinie! Ależ to tragedye! tragedye!

— Tragi-komedye czy komedyo-tragedye, co chcesz!—odpart Wicek, który lampka po lampce wychylał i za każdą razą stawiał na stole szkło z takim impetem, jakby je chciał rozbić.

— Ale bo, słuchaj, wojewodzicu mojej duszy—odezwał, śmiejąc się książę—przyznaj się, tyś się musiał do macochy umizgać!

I począł się śmiać do rozpuku.

Wicek się zerwał z ławy.

— Ja!—krzyknął—ja! Za kogóż ty mnie masz! Jest jedna rzecz, którą szanuję, to rodzinę i ojca, którego kocham. Z tém u mnie żartów niema! Ta żmija chciała właśnie mnie mieć za gacha, wiedząc że szalałem za nią. Wzdrygnąłem się na jej podłość! Lękała się, abym jej nie oskarżył; wiedziała, że będę pilnował i nikogo z jej serdecznych przyjaciół nie dopuszczę, bo honoru ojca i domu strzedz było powinnością, dlatego pozbyć się mnie musiała!

Te słowa wymówiwszy seryo, natychmiast do gorzkiej swój ironii wrócił Wicek, nalał lampkę, wypił i śmiać się począł zimno, strasznie. Książę nań patrzył zupełnie tak, jakby w teatrze przyglądał się aktorowi.

— Ta kobieta dopiero dała mi poznać życie w całej jego szkaradzie i ohydzie.... Palże je dyabli! trzeba resztkę puścić z dymem jak najprędzej.

— Cóż myślisz!—zapytał książę.

— A na cóż ja mam myśleć?—odezwał się Wicek—właśnie nie chcę myśleć, nie chcę się starać o nic: chcę zginać, zapić się, zmarnować...

— To łatwo—rzekł książę—ale daruj mi, tylko ludzie słabiej głowy tak kończą.

— A jeśli ja mam słabą głowę?—zapytał, śmiejąc się Wicek.

— Myle się: głowę masz lepszą niż serce—poprawił się książę—serce jest słabe. Tragicznie wzięłeś, coś powinien był wziąć...

— Jak? po łotrowsku? po psiemu?—zawołał gwałtownie Wicek.—Nie! nie!... Nie mogłem patrzeć na poniżenie, na upodlenie ojcowskie. Nie znasz go ty. To złote serce, ale jak moje, słabe. Dał się uwikłać w sidła temu szatanowi.

Książę, słuchający dość zimno, przerwał:

— Wojewodzicu duszy mojej, a pamiętasz ty, jak niedawno wielbiłeś Dosię i zwałś ją aniołem?

Wicek ręką białą potarł czoło.

— Tak—rzekł poważniejąc....—Drzę, gdy wspomnę, że szatan mógł się tak ukrywać w tej kobiecie zepsutej, bez czci i bez wiary, iż się nigdy niczém nie zdradziła! Komuż wierzyć i gdzie cnoty szukać? Poczém poznać dziewictwo duszy? Pamiętasz jej skromną postawę, jej oczy z długimi rzęsy aksamitnemi, zamykające się na najmniejsze słówko dwuznaczne; purpurę tych rumieńców, co jej twarz oblewały, obawę najmniejszego śmielszego kroku i słowa? Dziecięciem się mi wydawała, niemającem nawet przeczucia złego! A pod tą szatą siedziała zdrada, nikczemność, zalotność, fałsz...

Książę się rozśmiał.

— Wszystkie one są takie!—zawołał.—Daj już pokój narzekaniu. Jeżeli która ośmieli się być inną, to ją wnet usłużne przyjaciółki postarają się przerobić na obraz i podobieństwo swoje! My świata nie naprawimy, wojewodzicu mojej duszy! Cały rozum jest umieć z tego korzystać i śmiać się.

— I ja myślę się na tę filozofią twoją nawrócić—gorzko szydząc odparł Wicek.

— No, ale cóż myślisz, co myślisz z sobą—nalegał książę.

— Mówiłem ci, chcę się co najrychlej zmarnować—odparł wesoło niby Wicek.—I, wiesz, o mało mi się to kilkanaście dni temu nie udało....

To mówiąc, zdjął czapczkę i pokazał obandażowaną głowę, potem połatany i posieczony kontusz....

— Sześciu łajdaków gryzipiórów palestrantów, tak mnie pięknie oporządziło—mówił dalej.—Prawda, żem sam będąc przeciw nim, nie-miłosiernie beształ tę szuję. Napadli na innie wszyscy razem i jeden w głowę tak chlasnął, żem się na miejscu został.

Książę się namarszczył.

— W sześciu na jednego!—zawołał.

— Wierz mi—odparł Wicek—byłbym to tałałajstwo rozpędził, gdyby mi augustówka wystuzona nie przysnęła. Na bezbronnego wsiedli i....

— Któż cię uratował?—zapytał książę.

— Anioł-dziewczyna!—mówił Wicek.

— He! znowu anioł?—wtrącił książę.

— Znowu—rzekł Wicek—ale innego gatunku. O tém potem. Cudownej piękności Włoszka, siostrzenica pewnego doktora... Ta, mnie konającego, znalazłszy w kałuży, zwołała wuja, zanesiono mnie na jęj własne łóżeczko i... przyszedłem znowu do życia.

Wyobraź-że sobie, raz ją tylko widziałem przez dziurkę od klucza, potem napadłem przez wdzięczność, w niebytności wuja i opiekuna i pocałowałem. To mnie zgubiło, wydał się catus kradziony i wygnano mnie z raj.

Dziewczę.... ach! powiadam ci książę!...

— Cóż? piękniejsza od Dosi?—zapytał książę szydersko.

— Przynajmniej tak piękna jak ona, ale nie komedyantka: dziecko natury....

Książę prychnął głośno, począł się śmiać, zakrzuszył winem, które pił i za boki się wzięwszy latał po pokoju.

Wicek śmiał się także, patrząc na niego.

— Kochany mój wojewodzicu—odezwał się wreszcie całując go w twarz książę—natura jest wielką mistrzynią, jeżeli sztuka nie stanie na zawadzie, zobaczysz co ona zrobi z wychowanicy! Cóż? Kochasz się już?

— Ja?—rozśmiał się Wicek.—Ja? To mi się podoba! Drugi raz w życiu już tego głupstwa nie zrobię; ale, że mi się szalenie podobała, i że... zbałamuciłbym ją z najwyższą satysfakcją! Nie przeczę! Mam obowiązek mścić się na całym rodzaju niewieścim! i będę się mścił!

— Niech cię ucałuję!—rzekł książę: wtém spojrzął na zegarek.

— Nie mogliśmy mówić seryo!—zapytał.

— A, po licha!—mruknął Wicek....

— Boć przecie starego kolegę spotkawszy w łatanym kontuszu —ciągnął książę—w takim stanie ducha i głowy, czuję się w obowiązku coś radzić. Mów co myślisz?

— Mówiłem ci już—odezwał się na ławie rozwalając i nogi kładąc na stole Wicek.

— Mówiłeś mi, rekapitulujmy—przerwał książę dosyć zimno—że chcesz się zmarnować; że masz projekt mścić się na całym rodzaju niewieścim, że jakąś dziewczynę chcesz bałamucić. Prawda? Widzę cię w podartym kontuszu, zasmolonego, obszarpanego... i pewnie bez grosza....

— Ani dydka nie mam!—zawołał Wicek—ale w dwu garkuchniach kredyt: u Krzaczkowej, do której się umizgam i tём jój płacę i u Trzewkowskiego, który mnie podejrzywa, że kiedyś mogę przyjść do fortuny.

— Ale pocóż masz siedzieć w tój dziurze?—zakrzyczał książę—Lublin bez trybunału, to jak kościółek na parafii bez odpustu. Zembrzesz z nudów i palestranci cię jak wszy zjedzą.

Ja cię oporządę i zabiorę do Warszawy na sejm! Tam...

— A ojciec i Dosia macocha, którzy tam są?—mruknął Wicek.

— Nie potrzebujesz spotykać się z nimi.

— A moja Włoszka, którą przez wdzięczność muszę przecie zbałamucić—roześmiał się Wicek—ta jedna warta, żeby dla niój rok rekolekcyi odprawiać w Lublinie pustym. Al co za dziewczę! a, co za oczy! a, co za płeć, co za rączki! co za postawa! a nadewszystko co za spójrzenie, co za majestat!

Książę się śmiał i Wicek w końcu począł mu wtorować.

— Jakże się ona zowie?—zapytał.

— Nie powiem! daj mi pokój!—ofuknął Wicek.—Prawda, żeś żonaty?

— Rozwodzę się—poprawił książę.

— Już? aleś się niedawno żenił?

— A tak, niestety! przy huku dział i okrzykach! — mówił sztydersko książę.—Ale, słuchaj, to nie ja się ożeniłem: matka mnie gwałtem z tą wdową zaswatała, dla jój fortuny. Wystaw-że sobie, ty, co mnie znasz, ja, co żadnego jarzma nie znoszę, dostałem się kapryśnicy, która mi na głowie kółki ciosać chciała... Starsza odemnie....

I... —machnął ręką niecierpliwie.—Nie mogę wytrwać, niech ją i miasteczko i wsie bierze kto chce... Wysmarowana, wybielona, wdzię-

cząca się do wszystkich; pełno koło niej starych przyjaciół, a mnie raz na rozmowie zastała w gabinecie z kasztelanową i zrobiła mi formalną awanturę.

— A pocóżes w kilka miesięcy po ślubie rozmawiał *semotis arbitris* z tą kasztelanową?—zawołał Wicek.—Więc rozwód?

— Stanowczo!—potwierdził książe i wino wypił duszkiem.

Popatrzyli na siebie uśmiechając się.

— Ale bo mi cię żal!—odezwał się ks. Kazimierz.

— Ba! żebyś wiedział jak mnie siebie żal; cóż, kiedy rady na to niema!—westchnął Wicek.

— Owszem, jest. Jedź zemną do Warszawy... nie przerywaj mi; zabieram cię, śmiejemy się całą drogę... W Warszawie znajdę łotra lichwiarza co ci pieniędzy pożyczę, bo wiesz, że ja ich nigdy nie mam. Matka i ja wiecznie jesteśmy goli, mimo ogromnych dóbr. Wojewodzicowa powiada, że ja tracę; mnie się zdaje, że ona z Mierzejewskim źle się rządzi. Ale mijam to.

Lichwiarz ci da pieniędzy. Sejm nadchodzi, bawimy się jak sto dyabłów!

— Hm, a z czegoż lichwiarzowi oddam?—spytał Wicek.

— Któż oddaje!?—zawołał książe z zapalem.—Gdyby potrzeba było oddawać, proszę cię, czy wartoby było pożyczać?

— Masz racya!

— Lichwiarze odzierają wszystkich, należy im się odwet.

— Słusznie. Projektby mi się uśmiechał—odezwał się Wicek — dwie tylko rzeczy stoją na przeszkodzie. Macocha w Warszawie, a tu ów buziak wiśniowy czarnobrewej Włoszki mojej!! Powiadam ci: malina!

— Powiedz mi lepiej jak się zowie?

Wicek potrząsł głową.

— Hm! a gdybym ja zgadł sam!?—spytał książe.—Siostrzenica doktora, Włoszka?? prawda?

Leżący na ławie nic nie odpowiedział. Książe przechadzał się po izbie nucąc.

— *A propos* — rzekł jakby od niechcienia. — Jestem w Lublinie, muszę mojego starego doktora, niegdyś naszego nadwornego, odwiedzić. Jest to także Włoch, niejaki Mellini. Dziwak wielki!

Stanął i popatrzał, krzywiąc usta do śmiechu, na Wicka, który minę zrobił na seryo...

Trwało milczenie dosyć długo... Książe powtórnie na zegarek spojrzął.

— Wojewodzicu mojej duszy—przebąknął—pij i chodźmy.

— Dokąd?—odparł Wicek — po co? Mnie tu w chłodku wcale dobrze. Każ przynieść jeszcze parę butelek wina... Po co na skwar wychodzić?

— Ale mnie pilno do Warszawy.

— Mnie nic a nic! — rzekł leżący. — Dla miłości mojej możesz parę godzin poświęcić.

Książę ramionami zżymnął.

— Gdybym ci się na co przydał?

— Parę godzin dobrych przy winie, toż przecie czysta wygrana — rzekł Wicek.

— A potem ty zemną do Warszawy?

Leżący potrząsł głową.

— Marzy ci się twoja czarnobrewa Włoszka, na której mścić się chcesz za macochę — mówił dalej książę. — Robisz z niej przedemną sekret niepotrzebnie. Łatwo mi odgadnąć, że mój stary Mellini jest jej wujaszkiem. Innego tu Włocha doktora niema.

Przypominam sobie gdy był u nas, dziewczątko śliczne, które biegało boso po ogródku. Czy miała już wówczas straszne: prorokowałem, że niemi zabijać będzie. Mellini ją strzeże jak oka w głowie, ty się tam nie dociśniesz. Kroku jej nie daje stąpić bez *duegny*.

Wicek dziwnie poświstywał.

— Książę jesteś domyślny, ale na ten raz... darujesz...

— Ja Melliniego dziś odwiedzę — przerwał książę. — Chcesz, to ubierz się trochę i zawiozę cię z sobą.

Wicek się z ławy ruszył nagle.

— Wiész, że to jest, to jest myśl cale niezła! — zawołał. — Doktor mnie z domu wypchnął bez ceremonii. Może mnie ma za jaką hetkę petelkę. Gdybyś wasza jaśnie oświecona książęca mość zawiózł mnie do niego, ale z warunkiem, że nazwiska mego dawnego, które porzuciłem, nie powiesz mu, i tylko tak jako bezimiennego kolegę ze Strasburga przedstawił, dziękując za to, że nie darmo głowę zaszył i mózgowi z niej wyjść nie dał: hm, byłoby to przedziwne!

— Nieprawda? — podchwycił książę. — Mógłbyś odzyskać prawo bywania w domu i nadużyć go, pannę z tyranii jego wyzwolić...

Śmiać się zaczęli oba i Wicek z ławy się zerwawszy, rzucił się na szyję księciu. Uściskali się serdecznie, nalali lampki i wypili potrącając o nie...

Nie słyszeli, że już od kilku minut do drzwi dyskretnie w pewnych przestankach pukano.

— Kto tam!? Wchodź-że, a nie hałasuj! — zakrzyczał książę. — Kobiét tu niema!

Drzwi się rozwarły lekko i pomiędzy niemi a uszakiem, ale nisko ukazała się głowa uśmiechająca z pejsami długimi, lśniąciami od jakiegoś smarowidła... Ponad nią chuda, żółta ręka trzymała podniesioną jarmułkę... Niżej w pargaminowej twarzy, dwoje oczu zmrużonych patrzyło i usta otwarte śmiały się kilku ogromnymi żółtymi zębami, ustawionymi w nich nieregularnie. Uśmiech był widocznie obliczony dlatego, aby usposobić patrzących łagodniej względem intruza, który się zapewne wrażenie niemiłe wyrzucił obawiał.

— Kłaniam jaśnie panom...

Wicek się odwrócił.

— A! to ty nicponiu! Czego chcesz? po co włączisz? jak śmiesz! Na samo poruszenie gwałtowne i groźne, głowa i ręka cofnęły się.

— Cóż to jest za potwór?—zapytał ksiązę.

— Lichwiarz!—odparł Wicek.—Coś mu się tam należy.

— Chodź wpan tu!—krzyknął ksiązę.

Niepewien czy bezpiecznie usłuchać było, wahał się nieco żyd; lecz w ostatku próg kłaniając się przestąpił.

Krzywy był, jakby połamany, odziany biednie. Czapka tylko i kij różniły go od żebraka. Pierwsza z nich, mimo gorąca, miała resztki kosztownego futra, a laska skówkę srebrną.

Wszedłszy lichwiarz, najprzód księciu jegomości, potem Wickowi oddał pokłon.

— A! to Fajwel!—zawołał śmiejąc się ksiązę.

— A! jaśnie oświecony monarcha nie zapomniał biednego sługa!—odezwał się uradowany stary.—Tysiąc lat księciu jegomości...

— Jakżebym ja mógł cię zapomnieć, kiedyś mnie, pamiętasz, czasu trybunału, gdy się sprawa agitowała, zdarł bez miłosierdzia i to jeszcze na zastaw!

Fajwel robił miny dziwne słuchając: ramionami zżymał, brwi podnosił, ręce rozstawiał i ścisnął, pasa poprawiał.

— Fajwel zdarł a!—odezwał się.—Fajwel jest ubogi człek, co niema grosza na szabas... Fajwel służył i pomagał, ale on swoich pieniędzy nie dawał! Fajwel ma czystego sumienia!

To mówiąc żyd, oczy zwrócił ku Wickowi. Jawném było, że przyszedł tu w nadziei, iż natręctwem tém wyrobi może spłatę długu przez księcia. Zawiódł się na tém mocno. Właśnie on wpadł na myśl całkiem inną.

— Wiiesz Fajwel—odezwał się—żeś ty mi tu wcale na rękę przyszedł; myślałem po ciebie posyłać.

Wskazał ręką na wojewodzica.

— Musisz mojemu przyjacielowi pożyczyć pieniędzy!

Po milczeniu znaczącém, w czasie którego usta żydowi zapadły jakoś dziwnie, Fajwel rzekł cicho:

— Jaśnie oświeconego pan przyjaciel mnie już i tak winien...

— Tém lepiej, sumka się zaokrągli—wtrącił ksiązę.

— Ona już jest okrągła—szepnęła Fajwel.

— Ja poręczone!—rzekł ksiązę.

Fajwel oczy podniósł.

— Za wszystkie?—spytał.

— Za wszystko!—dodał szybko ksiązę.—Ale trzeba żeby mi pieniądze były nim my tu butelkę dokończym. Rozumiesz: dwieście obrączkowych.

— Obrzezańców—dodał Wicek.

Żyd stał mocno zadumany, widać było że ważył jeszcze czy podpis księcia wart był tyle.

— Nie chcesz ty, da mi Szmul—ciągnął książkę—pal cię lichu!

— Dlaczego ja nié mam chcieć!—odezwał się Fajwel—a kiedy termin.

— Jak rak świśnie!—odparł Wicek.

Żyd się zmarszczył.

— Na Nowy Rok—przerwał książkę.

— A prowizye? teraz pieniądz jest drogi!—westchnął żyd.

Wicek się wtrącił i klapnął Fajwla po ramieniu.

— Nogi za pas! ruszaj po dukaty, a żywo... prowizyą dam jakąm dawał...

— Ja jeszcze żadnej nie widział.

— Sto! przypisana do skryptu!—rozśmiał się Wicek...

Począł się targ żwawy, który książkę zakończył, Fajwla zlekka wytrącając za drzwi.

Skutek jednak rozmowy był ten, że w pół godziny po tém, wniesiono do izby kałamarz, do którego wnętrza nalano trochę ciepłej wody, pióro niechcące pisać i kawałek papieru z książeczki wydarty. Wicek napisał bujnym charakterem skrypt, coś pod nim niewyraźnego naplątał zamiast nazwiska, a książkę położył téż w dole sygnaturę i pieczęć swoje.

Dukaty które wyliczył Fajwel, głowa w głowę były wszystkie pobrznane, na co już wcale nie zważano.

— Jedź książkę do gospody—odezwał się rażno Wicek, całując go. Za godzinę od stóp do głów odnowiony stawię się...

— I razem do Melliniego?

— Tak! razem do doktora, ale, bez nazwiska!

Książkę ruszył ramionami.

— Zaprezentuję mu, kolegę ze Strasburga, wojewodzica, ale Ignotusa, Anonyma...—dodał wesoło—niech sobie głowę łamie nad zagadką!

V.

Przed dworkiem doktora Melliniego, pod oknami pokoiku, który zajmowała Pepita, oddawna stała przybita na wieki ława dębowa. Siadywali na niéj czasem oczekujący na konsyliarza pacyenci, a gdy słońce nie dopiekało z téj strony i za domami się skryło, ku wieczorowi niekiedy odpoczywał tu doktor sam, świeżego używając powietrza. Gdy nikogo dokoła nie było, we drzwiach czasem pozwalał stawać siostrzenicy i rozmawiał z nią stary syn Eskulapa.

Od kilku dni jednak do rozmowy wcale nie był usposobiony. Gawłowska mówiła pocichu, że ma swoje humory; Pepita odgadywała potroszę zkąd one pochodziły. Przyjęcie do domu rannego owego nieznajomego, który widocznie sobie z doktora żartując, pozwa-

łał nadto w jego domu, a naostatek o najdroższy jego skarb śmiał się pokusić, nie mogło jeszcze być zapomnianém. Nie szłoby Melliniemu o tego przybłądę, którego się pozbył, gdyby, znawca serca ludzkiego i niewieścich fantazyi, nie dostrzegł, iż Pepita, zamiast się oburzać z nim na zuchwalca, w sercu dlań inne, czulsze karmiła sentymenta. Wprawdzie się do nich nie przyznawała, zapierała się nawet; lecz doktor miał bystre oko, i nic się przed nim utaić nie zdołało. Humor dziewczęcia się zmienił, wesołość znikła, znajdował ją zamysłoną, nie swoją, a gdy usiłowała być wesołą, czuł że była nienaturalną.

Chociaż wiele rachował na czas, iż zatrze wrażenia i wspomnienia rozprószy, zawsze niepodobało mu się, że dziewczę mogło się zajęć lada pierwszym lepszym szalaawitą. Wzdychał myśląc na ile to niebezpieczeństw młodość jest narażona, i mocniej niż kiedykolwiek pragnął Pepitę wydać za mąż. Nikt mu się nie trafiał.

Tymczasem radby ją był rozerwał, i szukał w stariej głowie niewinnych środków a skutecznych na niewieście młode tęsknoty.

Siedział w tych myślach zatopiony Mellini, powtarzając machinalnie: „*Giovanezza non ha saviezza*” (młodość rozumu niema), gdy na drodze od miasta prowadzącej ku dworkowi ujrzał dwie postacie, idące zwolna, które go mocno zaintrygowały. Zdala twarzyć ich rozpoznać nie mógł, a ruchami i postawą coś mu znajomego przypominały. Byli to dwaj młodzi mężczyźni: jeden, wedle najnowszej mody francuzkiej ubrany, z kamizelką, która zdawała się mundurową, piękny, słuszny, bardzo pańsko wyglądający, w kapelusiku na bakier siedzącym na głowie, więcej dla fantazyi, niż dla pokrycia jój; drugi kuso po polsku przystrojony, z ręką w bok, z szablą która się za nim wlokła... Trzymali się obaj pod rękę, pochyleni ku sobie, jak dwaj serdeczni druhowie, a z chodu zamaszystego i ruchów towarzyszących ożywionej rozmowie, wnosić było można, iż choć się dobrze na nogach trzymali, musieli być po obiedzie wesołemi zakończonym kielichami.

Rozmowa ich, przeplatana głośnemi do zbytku śmiechami i wykrzykami, z sąsiednich domostw ciekawe głowy wywabiła. Kilka mieszczanek wyszło aż na próg, aby się zdala tym dwu ważnym takim i pięknym paniczom przypatrzeć.

Doktor ich nie spuszczał z oka, i, w końcu jak przestraszony pierzchnął z ławki.

Wpadł pędem do pokoiku siostrzenicy i szybko bełkocząc odezwał się:

— Idź do Gawłowskięj, i nie ruszaj się ztamtąd, póki nie powiem; proszę o to!

Pepita chciała zapytać, doktor mówić jój nie dał.

— Jak mnie kochasz! zaklinam! Niepotrzebnych będziemy mieć gości. Niech Gawłowska wino dobre przygotowuje. Ty, ani mi się rusz! Posłuszna Pepita, choć się zzymnęła, chwyciła za robotę, i zabrała się wychodzić; rzuciła jednak wejrzenie przez okno, i wzrok jój

zatrzymał się na nadchodzących. Twarzyczka się zarumieniła, pobiegła westchnąwszy. Mellini tymczasem narzuciwszy suknię na siebie, umyślnie zwolnionym krokiem wysunął się ku drzwiom zażywając tabakę.

O trzy kroki już stał od niego książę Kazimierz, a za nim piękniejszy niż kiedy, z wielką butą prezentujący się, uśmiechnięty Wicek Szarzak.

— Co widzę! książę Kaziol!—krzyknął Mellini—który go nawykł był tak od dzieciństwa nazywać.

— Tak jest! twój dawny pacyent, począwszy od wyrzynania pierwszych zębów. Widzisz! góra z górą! Przychodzę najprzód staremu przyjacielowi domu złożyć wyraz afektu mojego, a powtóre podziękować mu za to żeś mi przyjaciela ocalił—wskazał na Wicka.

— Mój kolega ze Strasburga, gdzieśmy razem z Zajączkiem byli: wojewodzie Ignotus...

Doktor zafrasowany dosłyszał tylko, „wojewodzie” i odezwał się—jak? jak?

— *Ignotus!* wojewodzie pragnący zostać anonimem! Dostyc że mój przyjaciel. Przyszliśmy ci się pokłonić i podziękować.

Mellini się zgiął, powitał i zapraszając do dworku, twarz przybrał wesołą.

Weszli wszyscy do saloniku, w którym stał klawicymbalik, a spojrzawszy nań Wickowi się westchnienie wyrwało, przypomniawszy się czarnobrewa śpiewająca.

— Dokądże to książę przez Lublin, bo juści nie do Lublina o te czasy, gdy trybunał *vacat!*—zapytał doktor.

— Do Warszawy na sejm!—odparł książę.—Zabawimy się tam ślicznie!

— I przyjaciel, pan wojewodzie, także?—dodał Mellini.

Książę nie mógł się wstrzymać od śmiechu, obrócił się do Wicka, który głową potrząsał.

— Ja, nie wiem jeszcze!—rzekł wojewodzie.

— A wiész—wtrącił książę nagle—co mnie tu téż do ciebie przypędziło? Pamiętasz, tę? to dziewczątko, co to po placencyi boso biegało? Ja doskonale czarne jój oczy po dziś dzień sobie przypominam; obliczając dobrze, wypada mi że ta bosonózka musi mieć lat blisko dwudziestu... Dyablem ciekaw ją zobaczyć!

Śmiał się.

— Tém bardziej, że mój przyjaciel wojewodzie, mówił mi o cudzie piękności, który się tu u ciebie kryje, a nie może to być nikt inny, tylko moja bosonózka!

Doktor przybrał minę bardzo seryo, prawie gniewną.

Wyraz ten jego twarzy trwał bardzo krótko, zastąpiła go ironia.

— Mości książę—odparł—niéma na co patrzeć; słowo daję: nie będziecie z niej mieli ani Tomatysowój, ani Bacciarellowój, ani nic podobnego. Ja w tém! Po co wam ma darmo ślinka do ust przy-

chodząc?? Na wielki świat ją nie puszcze, bo to jest wielka kałuża... przepraszam... zabawki z niej zrobić nie dam... Chcę żeby była w małym kątku szczęśliwą. To zwierzyzna nie dla was!

Uklonił się i zażył tabaki.

Książę z wojewodzicem zamienili wejrzenia.

— Drapieżny zawsze ten Mellini!—rozśmiał się książę.

Doktor nie chcąc dłuższej w tym przedmiocie rozmowy, znając gościa swego, zakręcił się.

— Gorąco—rzekł—książę—byś się napił!

— Chorego pytają a zdrowemu dają!—odparł książę—a masz że co dobrego?

— Hej! wszakcito na sławnych Winiarach jesteście — rzekł z udaną wesołością Mellini—tu byle laską stuknąć w ziemię, węgierski zdroj z piwnic wytryśnie!

I żwawo wybiegł z salonu.

Dwaj przyjaciele zostali sami.

— Mówiłem ci—odzwał się cicho książę—nie masz tu co tracić czasu... Daremne zachody: jedź zemną!

Wojewodzie wąsa pokręcił i zmilczał. Doktor wracał już z twarzą rozjaśnioną a za nim służąca niosła na tacy spory gąsiorek staroświeckiego kroju, i lampki rżnięte z herbami saskimi.

Książę wejrzeniem znawcy zmierzył figurę, kolor i pajęczyny gąsiorka.

— Nie źle wygląda z fizyognomii!—odezwał się siadając.—Naléwaj gospodarzu: za twe zdrowie!

— Przepraszam: zdrowie gościa najprzód—odparł Mellini, potem inne...

Wojewodzie siadł także do stołu, milczący był jakoś, ale oczy ma biegał po domu, a wyraz był ich jakiś niepokojący gospodarza.

— Mam nadzieję, mój konsyliarzu—odezwał się, lampkę wychyliwszy książę—że mimo nauki moralnej, bosonózkę nam pokażesz. Oczyma jej nie zjemy, a ja ci przysięgam, że dopóki nie zobaczę, póty się ztąd nie ruszę, choćby bezemnie sejm zrobili.

Mellini się kwaśno uśmiechnął.

— Wolne żarty—rzekł.

— Ty wiesz co mnie znasz od dziecka, żem uparty strasznie i samowolnie.

— Myślałem żeś W. Ks. Mość z tych defektów wyrósł?

— Nie, one wyrosły nie ja—odpowiedział książę śmiejąc się.— Za dawnych czasów kochana mama mogła mnie za uszy wytargać, a teraz już do nich nie sięgnie, bom wyrósł. Więc kochany doktorze, *clara pacta!* Nie ruszamy się ztąd, nie wypiwszy zdrowia bosonózki.

Mellini spuścił głowę.

— Czas mamy piękny do podróży!—odezwał się.—Książę go dobrze wybrał.

Interpelowany zaczął się śmiać hałaśliwie, jak miał we zwyczaju.

— Zagadujesz, konsyliarzu!

— Rany pana nie bołą?—zapytał Mellini zwracając się do wojewodzica.

— Wszystkie mu się pogoily, oprócz jednej—rzekł ksiązę szydersko. Czarne oczy waćpana siostrzenicy zraniły mu serce.

Mellini się zerwał z krzeselka, twarz mu się zarumieniła.

— Mój ksiązę—zawołał impetycznie—czy chcesz mnie do ostatniej niecierpliwosci przyprowadzić? Żartuj ze starego waszego slugi jak chcesz, ale proszę W. Ks. Mości, zapomnieć o.. o.. (jąkał się) o mojej sierocie.

Uśmiechnął się nieublagany ksiązę.

— Mellinku, duszo moja, ty w tym Lublinie zdziczałeś. Jakże możesz za złe wziąć dwom dystyngowanym kawalerom, iż chcą złożyć hołd uwielbienia twej siostrzenicy...?

Doktor ramionami ruszył.

— Zdrowie księcia generała!—zawołał.

— *Ad rem!* Ja piję zdrowie pięknej czarnookiej—rzekł ksiązę wstając.—Panie wojewodzicu! na klęczkach najprzód kielichy podnieśmy! A teraz z niemi idźmy po całym domu, choćby przyszło na strych szukać tej, której... wiwat! okrzyknjemy.

Ruszyli się, doktor pobladał z gniewu.

— Na miły Bóg, mości ksiązę! Mojej siostrzenicy niema w domu!—krzyknął.

— Da się to widzieć!—odparł ksiązę—idziemy sprawdzić!

Już się ruszać mieli, gdy Mellini pobladałszy, skłonił się ceremonialnie i dał znak ręką.

— Idę po nią!—dodał z gniewem tłumionym.

Książę w dłonie klasnął i siadł na kanapce. Wojewodzie, który w czasie całej tej rozmowy tylko minami jej dopomagał, wybuchnął:

— Jesteś nieoszacowany!

Pocałowali się dwaj przyjaciele, ksiązę nalał kieliszki wypróżnione, bo wino było dobre. Czekali: doktora długo jakoś widać nie było.

— Czego mamy próżnować, panna się musi stroić i trefić!—mówił ksiązę nalewając—gąsiorka tego nazad puszczać niedokończywszy, byłoby z obrazą tego domu. Pijmy!

Pili śmiejąc się, doktora i panny widać nie było.

Rozmowa się toczyła o wesotych przedmiotach. Czas uchodził. Książę spojrzął na zegarek.

— Musieli po fryzjera posyłać do miasta, albo panna robrona ułożyć nie może.

W gąsiorku coraz ubywało, a wesolość rosła. Książę znudzony poszedł do klawicymbału, usiadł przy nim i towarzysząc sobie, począł śpiewać dość swawolną francuzką piosenkę. Wicuş mu pomagał.

Na dworze mrok padał. Przebrało się piosnek i wina, w gąsiorku lagier już był tylko.

— Ale się guzdrzą!—zawołał ksiązę. Wtém u progu ukazała się pani Gawłowska. Szła i wystraszona i pomieszana i napół uśmiechnięta. Sięgnęła ręką po gąsiorek próżny.

— Książę każe podać drugi?—zapytała.

— A doktor i panna? też to już wieczór—odezwał się książę. Wino dobre, wytrawne, ale namby czas do domu. Kiedyż pannę pokazaćcie?

Gawłowska usta sobie zatuliła ręką.

— Hm?—powtórzył książę.

— Doktora i panny dawno w domu niéma—szepnęła.

Zerwał się z krzesła gość.

— A gdzież są?

— Przyznam się księciu Jegomości, że ja tego z pewnością wiedzieć nie mogę, czy do Zawieprzyc pojechali, czy do Piasków.

Aż krzyknął książę.

— A! to mi zuch Włozysko!—zawołał—paradnie. Ale, słowo się rzekło—dodał zaraz spokojniej—ja słowa nigdy nie rzucam darmo. Powiedziałem że się ztąd nie ruszę, dopóki panny nie zobaczę; zatem, moja jéjmość, myślcie o wieczery i o łózkach: my tu nocujemy.

— Niemasz kart? zagramy choć w chapankę! Niéma co robić!

Gawłowska osłupiała i ręce załamała rozpaczliwie, wojewodzie aż przysiadł od śmiechu.

— Zobaczmy czyje będzie na wierzchu!—odezwał się rezolutnie książę.—Wojewodzicu kochany, padasz ofiarą przyjaźni dla mnie! Spodziewam się że mnie nie opuścisz?

— Nigdy w świecie!—krzyknął rozochocony i winem i awanturą Wicek.

— Pani Gawłowska, dobrodziejko!—dodał zwracając się ku niej—prosimy o dwie świece i karty.

Kobięta z gąsiorkiem w ręku jeszcze stała jak nieprzytomna, nie chciało jéj się uszom wierzyć, ale goście się rozsiadali i żart zaczął nabierać pozoru groźnego.

Nie wiedziała co robić.

— Wielcebyś mnie asińdzka zobligowała—odezwał się książę, dobywając kilka dukatów z sakiewki i gwałtem niemal wciskając je w ręce gospodyni—gdybyś na mój koszt wysłała umyślnego do konsyliarza, oznajmując mu, że choćby i do Nowego Roku i tu na niego czekać będę.

To powiedziawszy, książę się wygodnie rozciągnął na kanapce.

— Słuchaj wojewodzicu méj duszy—rzekł—potrzeba się czém zabawić. Zrób ścisłe poszukiwanie po szufladkach, azali tam zabłąkana ję jakiej talii kart nie znajdziesz!

Śmiejąc się Wicek posłuchał i prędzej niż się spodziewali, pomyslny skutek uwieńczył poszukiwania. W stoliczku z warcabnicą, ku któremu instynktowo skierował się wojewodzie, znalazła się talia tasiemką związana. Powitano ją okrzykiem; przyjaciele, oba gracze zawołani zabrali się najprzód do maryasza, ale nim pułę rozegrali, książę zaproponował założenie banczku Faraona i wysypał garść du-

katów na stół. Pożyczonemi z rana u żyda obrzezańcami, Wicek począł się szczęścia dorabiać.

Gra stała się wkrótce tak ożywioną, że ksiązę zapomniał o Bożym świecie, gdzie się znajdował, na kogo czekał. Niepraktykowanym sposobem Wicek wygrywał. Ostatnią garstkę wydobywszy ksiązę, markotny wielce, w przeciągu pół kwadransa został bez grosza.

Noc była ciemna.

— Wiész, że jabym co przekąsił—odezwał się ziewając—oni tu nas jak twierdzą obłążoną, chcą głodem wziąć.

Gawłowska się nie pokazywała.

— Ja, jako świadomy miejscowości—rzekł wojewodzie—idę na zwiady. Czasu wojny, co na placu to nieprzyjaciel; jakiegokolwiek zdobędę wiktuały, przyniosę...

Jednę ze świec wziąwszy w rękę, Wicek pokierował się wprost do pokoju Gawłowskiej, w którym cały fraucymer znalazł zgromadzony i z trwogą oczekujący końca.

— Jójmościuniu—rzekł—ksiązę mnie tu przysyła, jako parlamentarza: jesteśmy głodni.

— A cóż ja mogę takiemu panu dać jeść! U mnie niema nic! —krzyknęła ochmistrzyni.—My w domu zapasów nie trzymamy, a na miasto ja nie pójdę.

— Zgoła nic!—zapytał Wicek oglądając się po izdebce.—Jójmościuniu, zrób choć kawy i daj do niej choćby chleba. To nie są żarty, ksiązę się ztąd nie ruszy: dał słowo!

Gawłowska załamała ręce i poczęła płakać, reszta sług poszła za jój przykładem; jęk i łkanie rozległo się w izbie. Wicek przeciwko temu orężowi niewieściemu słabym się czując, drapnął.

— Wiész, mój ksiązę—odezwał się powracając do salonu—źle z nami! Głodem nas wezina! niema nic w kuchni i wszystkie baby płaczą. Zdobyliśmy pozycyą, w której się nie utrzymamy. Oba z W. Ks. Mością uczyliśmy się strategii w Strasburgu, a przy pierwszej wspólnej wyprawie, ksiązę okazał mi się wodzem nieosobliwym.

— Jestto coś nakształt tego przysłowia staropolskiego: „Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma! cha! cha!—począł ksiązę.—Ale to ty wszystkiemu winieneś.

— Ja! a to mi się podoba! Cały plan kampanii jest W. Ks. Mości—odparł wojewodzie.

— A kto mi bosonóżką głowę zawrócił?—zawołał ksiązę!

— Byłem nieopatrzny, żem o niej wspomniał, takiemu bałamutowi, jak ksiązę!—odparł Wicek.

— Słuchaj-że, nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości—wybuchnął już poirytowany ksiązę.—Poświęciłem się dla ciebie, spóźnię się do Warszawy, ograłes mnie i jeszcze mi robisz wymówki.

— Boś na nie zasłużył—odparł równie żywo Wicek.—Najgorsza ze wszystkiego, że mi ta awantura u panny popsuje reputacyą. Niech W. Ks. Mość... z pozwoleniem, biorą....

— Wojewodzicu mojej duszy—krzyknął książę—mam nerwy poirytowane, milcz, bo się zwadzim!

— No, a jak się zwadzim, to co?—zawołał Wicek.

Książę, leżący na kanapie, zerwał się.

— Wicek! ty wiesz, że ja jestem gorączka!

— Książę mnie znasz—odpowiedział wojewodzie—że ja flegmatyk nie jestem.

Tych słów domawiał, gdy książę za szpadę pochwycił, a wojewodzie miał się do szabli. Wszystko to z tych nudów. Ale gdy z jednej strony błysnął rożenek, a z drugiej nowiuteńka klinga pałasza, oba się zaczęli śmiać i książę rzucił się na szyję wojewodzie. Uścisnęli się śmiejąc do łez. Ale nim do tego przyszło, stojąca widać za drzwiami na podstuchach Gawłowska, na widok oręża, narobiła krzyku. Słyszając pisk niewieści, wojewodzie wybiegł za nią.

— Pani Gawłowska—począł wołać—jeść nie masz nam co dać, dawaj wina! Gąsiorek takiego samego, a jeżeli masz lepsze i owszem. Do tego choć chleba, krótką noc letnią jakoś się przebędzie.

Ponieważ była dyspozycya doktora, aby wina dostarczyć, Gawłowska poszła natychmiast z kluczami do piwnicy. Wojewodzie powrócił do księcia, który wyciągnąwszy się na krótkiej kanapce, z nogami zwieszonemi z jednej strony, z drugiej zamiast poduszki, podłożywszy sobie ręce, drzémał.

— A co tam?—rzekł w pół przez sen.

— Kazałem dać wina—westchnął Wicek—musimy pić, aby czas jako tako przeszedł; ale trzeba seryo myśleć co tu począć?

— Słowo dałem, że nie pójdę nie zobaczywszy panny—rzekł książę—trudno!

— W końcu doktor nam woźnego i pacholków naśle, aby z domu wyrzucić, boć dom jego.

— A i w takim razie—rzekł książę—zmieni się położenie; będzie *force majeure*: ustąpię.

Gawłowska gąsiorek przyniosła. Wojewodzie pożyczyl koledze garść dukatów i zaczęli grać na nowo.

My tymczasem spójrzmy co się z doktorem stało.

Mellini rozgniewany i obrażony impozycją książęcą, której uledz nie chciał i słusznie obawiając się znanego z lekkomyślności księcia generała, wprost z salonu poszedł do pokoju Gawłowski; Pepicie kazał chustkę zarzucić na siebie i sam ją przeprowadził do sąsiadki pani Strańskiej, oddając jej w opiekę skarb swój. Poznamy wkrótce bliżej tę sąsiadkę i opiekunkę. Sam, unikając rozprawy z księciem, zburzony, gniewny, poszedł do miasta, a że miał sobie bardzo przyjaźnego przeora księży Dominikanów, nie tłómacząc mu się obszerniej, na noc się do celi klasztornej wprosił.

Jak tam przencocował, jemu tylko było wiadomo. W najgorszym razie przypuszczał, że książę, znany ze swych wybryków, może dosiedzieć załogę do północy, ale dom jego w końcu opuści. Rano więc,

pożegnawszy księdza przeora, który ciekaw był bardzo dowiedzieć się, co tu starego sprowadziło, a nic z niego dobyć nie mógł, poszedł Mellini na Winiary. Po drodze jednak, choć przechodził mimo dworku pani Strańskiej, nie zabrał Pepity, chciał się wprzód przekonać, jak rzeczy stoją w domu.

Była godzina ósma, gdy tyłami dostawszy się do siebie, zaszedł do Gawłowskięj.

Ochmistrzyni spała w fotelu.

— Kiedyż poszli?—spytał rozbudzonęj.

— Albo poszli?—odparła Gawłowska.

— Jakto? są jeszcze?—krzyknął doktor.

— A byli niedawno—jąkliwym głosem poczęła ochmistrzyni.—

Całą noc pili i w karty grali. Nad ranem księżę się wyciągnął na kanapie, a ten drugi, co był ranny, zestawił sobie krzeseska, pod głowę dywanik ułożył i.... śpią!

Mellini słuchał uszom nie wierząc; twarz mu gniew rozpromienił. Zląk się, żeby Pepita w nieświadomości położenia nie powróciła nagle od Strańskiej i nie mówiąc słowa, wrócił nazad, aby przestrzedz siostrzenicę.

W dworku wdowy Imci pani Strańskiej wszystko już było od dawna na nogach. Pepita, nie mogąc na ulicę, wyglądała niecierpliwą się przez okna ogrodowe, ażali się nie doczeka wyzwolenia. Trochę się gniewała za tę zbytnią pieczołowitość i tchórzowstwo wuja, gotowa nawet w oczy mu powiedzieć, że ona wiele się księcia nie obawiała i potrafiłaby mu dać odprawę.

W tém usposobieniu zastał ją wchodzący Mellini.

— A cóż? wujaszku?—odezwała się podchodząc ku niemu—długo ja tu siedzieć będę?

— Albo ja wiem!—zawołał doktor—z tymi panami, to jak z dra pieźnemi zwierzęty; nigdy nie można być pewnym, że ci się oswojony nie rzuci do oczów: nawet trefne ich żarty, do wnętrzości człowieka dojadają.

— Cóż się stało?

— Siedzą bestye u nas i czekają, ażeby piękną Pepitę zobaczyć. Wypili w nocy trzy gąsiorki najlepszego wina. Z saloniku zrobili chlew, oberzę i śpią teraz.

Pepita się rzuciła trochę gniewnie, ale i z pustotą dziecka.

— Nie może być!

— Mówię jak jest—zawołał doktor.

Dziewczę, widząc wuja przybitym, nabrało śmiałości.

— Panowie jak panowie—odezwała się z przekąsem—ale téż i kochany wujaszek winien.

— Zapewne! ja!—bąknął stary.

— A tak!—kończyła ośmielając się Pepita.—Cóżto ja dziecko jestem czy co? Czy oniby miue oczyma zjedli? Zobaczyłbyś jakbym sobie z tymi zuchwałymi ichmościami dała radę!

— Ja nie chcę, abyś z nimi nawet znajomość zabierała, nie chcę! —odezwał się doktor.—Kto wie, jaką siłę szatańską mają ich oczy i słowa.... Widziałem przykłady! Wolę....

— A tymczasem ich fantazyi a mojej niewoli końca nie będzie! —odezwała się nadąsana Pepita.—Oni się uprą, wujaszek też uparty bez potrzeby, a ja tu w komornem.... i wstyd mi. Śmieją się ludzie!

Chwilkę się zatrzymała.

— Niech mi wujaszek da rękę—rzekła—chodźmy śmiało, a jeśli ich w kwadrans z domu nie wyprawię! No.... zobaczysz!...

Mellini się zawahał.

Pepita dąsała się jak popsuta jedynaczka.

— Wuj tego nie widzi, że to śmieszne! słowo daję! Jakież mi może grozić niebezpieczeństwo? Cóż oni mi mogą zrobić?

W tej chwili przyszło jej na pamięć, jak brutalnie porwał się do niej z całusem ów Wicek, zarumieniła się i umilkła.

Doktor, któremu dokucało zajęcie domu, nieład i przerwa w jego regularnym życia trybie, nawpół był zachwiany w postanowieniu.

Pepita to dostrzegła.

— Idziemy!—zawołała—trzeba to raz przecie skończyć.

Nie była ubraną, ale jej w tym zaniedbanym stroju było może lepiej do twarzy, niż w napół modnym. Nie myślała też czynić księciu tego honoru, by się do niego fiokować.

— Wprost pójdziemy — powtórzyła rezolutnie — pokażę się im: zagadają, odpowiem, i będą musieli iść precz!

Mellini zmilczał, chciał skończyć co rychlej nieprzyjemną awanturę, dał się pod rękę wziąć siostrzenicy i w milczeniu do dworku się skierowali. Czy w drodze wielka owa śmiałość nie opuściła panny i doktor nie rad się był wycofać? nie zaręczym. Oboje wstydziła się okazać obawę.

Po winie i grze nocnej, ledwie się przebudzili załogujący w salonie doktora, i to z łaski Gawłowskiej, która w sieni dziewczynie kazała stukać umyślnie, aby ich ze snu wyrwać. Książę się wyciągał, ziewał Wicek, zadumani patrzyli sobie w oczy, trochę się wstydząc swojego wybryku, gdy Gawłowska wykomenderowana, z miną poważną, zimną, oznajmiła przybycie doktora i panny. Pepita w swojej izdebce poprawiała włosy.

W saloniku był nieład wielki: porozlewane wino, porozstawiane sprzęty, porozsuwane stoły.

Ochmistrzyni własnoręcznie się wzięła do uporządkowania: otworzyła okno; niespodzianie wiadomością o swém zwycięztwie pochwyćni ichmość, patrzyli na siebie niespokojnie. Książę co najprędzej w zwierciadle począł włosy i suknie poprawiać. Załedwie mieli czas się obejrzeć, doktor wiodąc za rękę siostrzenicę, wsunął się do pokoju, przybrawszy minę szyderską.

— Niema co, mości książe—zawołał — zwyciężyliście, i aby się gości nieproszonych pozbyć z domu, biedny plebejusz muszę spełnić rozkazy w. ks. mości. Oto moja siostrzenica.

Z figlarną, ale razem dumną miną, za rękę wuja trzymając, śliczna w rumieńcach świeżych, z pałającymi oczyma, Pepita stała, z dziecięcą suchawością mierząc oczyma księcia. Wprzód jeszcze wzrok jój się ośliznął na Wicka, który ją uśmiechem porozumienia pozdrowił.

— Bardzom księciu wdzięczna za pamięć o mnie—odezwała się śmiało Pepita — ale przyznam się, że po przebytej niewygodnie z jego łaski nocy i ranku, wołałabym, abyś w. ks. mość raczył o bosonóżce zapomnieć.

Wcale niez mieszany, książe się chciał przybliżyć ku niej, gdy dziewczę, wyrwawszy się doktorowi, główką dało znak pożegnania.

— Chciałeś w. ks. mość widzieć jak wyglądam? Ciekawość zaspokojoła. Adieu!

Zrobiła minkę pogardliwą, z ukosa gniewny wzrok rzuciła na wojewodzica, i uciekła.

— Doktorze!—krzyknął książe w uniesieniu—ale to cudo piękności! Winszuję ci!

— Spodziewam się, że już w. ks. mość jesteś zaspokojoony... i... mam honor go pożegnać. Nóżki całuję...

To mówiąc, skłonił się i wyszedł.

Wojewodzie parsknął.

— A co? m. książe, wynośmy się, nie mamy już tu co robić!

— Ten Mellini zawsze był impertynent—rzekł książe.—Trudna rada... Słowo honoru dotrzymane, rad jestem zem wolny. Daj za mnie, proszę cię, Gawłowskię parę dukatów i chodźmy.

Stało się jak chciał książe, wyszli ziewając na ulicę i nie wiem, czy dostrzegli gdy mijali okna pokoiku Pepity, że firanka drżała. Dziewczę raz jeszcze chciało zobaczyć tę piękną głowę zuchwalca, której we krwi broczącej na ziemi zapomnieć nie mogło. Gniewała się na niego, a coś ją ku niemu ciągnęło. Rada była że odchodzili, i żal jój było, że go już może nigdy nie zobaczy. Ściagała idącego długo zadumana, dwie łzy, prędko otarte, z powiek się stoczyły, których się sama zawstydzila. Jawném było, że ten śliczny chłopak, zepsuty, rozwydrzony, ani westchnienia, ni łzy był nie wart, wstrzymać się jednak nie mogła, aby się nad nim nie ulitowała.

Z tęsknieniem jakimś uczuciem siadła przy okienku, a gdy się oddalili odchodzący, podniosła firankę, aby ich widzieć jeszcze.

Książe, choć twarz miał znużoną i wyżyta, był bardzo pięknym mężczyzną, ale nie czynił na nią najmniejszego wrażenia. Gniewała się na zuchwalca,—ale ten! ten!

Zdawało jój się, że go widziała lecącym na zgubę w przepaść, młodo gdzieś tracącym życie... i myślała, że uratować go można, otrzeźwić z szalu, przytrzymać,—ocalić!

Tymczasem książę szedł z wojewodzicem ku gospodzie, gdzie na niego dwór z wielkim niepokojem od wczoraj czekał. Ludzie byliby może rozbiegli się szukać, gdyby ze swym panem do wszelkiego rodzaju podobnych nocnych i dziennych wybryków jego nie byli zdawna nawykli. Grali więc i pili całą noc, nasładowując jaśnie oświeconego, i spokojni byli, że mniej więcej podchmielony i zgrany powróci. Po drodze układało się plany.

— Wojewodzicu mój duszy—mówił książę—jedziesz zemną.

— Nie, książę mego serca: zostaję.

— Po co?

— Bo siostrzenica doktora oczarowała mnie. Wiész, że poprzyślałem rodzajowi niewieściemu zemstę.

— Słyszałem.

— Ta musi pierwsza paść ofiarą.

— A ja ci powiem — odezwał się książę — że doktor cię gotów struć, gdy mu się na oczy nawiniesz. Dziewczyna wściekle piękna, ale życia znowu nie warta.

— Ale moje życie nic nie warte!—zawołał Wicek.—Zostanę tu. W Warszawie gdy się o mnie dowie macocha, nasadzi na mnie zbiorów, życia nie jestem pewny...

Wyrwawszy się wojewodzicowi, książę wziął się za boki i śmiać począł.

— Pleciesz!

— Na ten raz nie zmyślam, i daję słowo, że Dosia jest zdolną się do tego posunąć. Miałem dowody. Do Warszawy powrócę, gdy się uspokoi, że mnie już na świecie niéma, i zem z desperacyi sobie gdzieś w łeb strzelił,—tymczasem... Pepita musi być moją.

— Żenić się myślisz?—spytał książę.

— Gdzie zaś! mszczę się!—odparł szydersko wojewodzie.

— Waryat jesteś, wojewodzicu duszy mojej!

— W mojem położeniu istotnie zwaryować można! — zakończył wojewodzie—ale jeszcze nie zwaryowałem...

Rozmawiając tak, doszli do gospody. Wojewodzie wstąpił jeszcze na śniadanie do starego kolegi, odebrał dług kartowy, i pożegnawszy go, śpiewając, puścił się w ciemną uliczkę poza Dominikanami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WARSZAWA, JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU.

(od 1800—1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

I.

Przewaga Warszawy w kraju.—Centralizacya umysłowa.—Cisza miejska, i gwar wesóły z pałacu pod Blachą, głównej rezydencyi księcia Józefa Ponia-towskiego.—Sądy o nim i wspomnienia.—Rok pierwszy naszego stulecia.—Szwargot niemiecki.—Przekupki warszawskie.—Bójki i sztrafy.—Choroby społeczne.—Czarna melancholia.—Pomieszanie zmysłów.—Adam Naruszewicz.—Fr. Dyonizy Książnin.—Uczucie religine.—Prasa peryodyczna.—Gazeta Warszawska.—Żywe słowo zastępujące miejsce prasy.—Franciszek Gugen-mus.—Roznoszenie nowin politycznych.—Jego wizyta u gubernatora Koehle-ra.—Marcin Molski, jego wiersze i powińszowania.—*Stanislaida* poemat.—*Wiersz do Legionów polskich*.—Cypryan Godebski.—*Dekada* legionów.—*Nowy pamiętnik warszawski*.—Zabawy przyjemne i pożyteczne.—Piraterya literac-ka.—Żal Jarosławy w porównaniu dwu tłumaczeń.—Ocena *zabaw przyjem-nych* Cypryana Godebskiego: dzieła dla miłośników literatury ojczystej.—Bel-letrystyka.—Jakób Adamczewski.—Gitara i klawikord.—Pieśni owoczesne.—Panna Ewa Smólska, jej pieśnioksiąg.

Mamy złożyć sprawozdanie o życiu umysłowém Warszawy i ru-chu literackim w ciągu lat 30 od 1800—1830 r. Mówiąc o Warszawie, obejmujemy zarazem cały kraj, bo w skutek systemu centralizacyjnego, wszystko życie umysłowe Polski, zbiegało się w jéj murach; prowincya oznak samodzielności życia duchowego niedawała, cała téż intelli-gencya krajowa skupiała się w obrębie staréj stolicy. Wszyscy zwracali na nią swoją uwagę; jedne zawsze po dworach i miasteczkach sły-szałeś pytania co słytać w Warszawie? co robi Warszawa? Ona na-dawała ton i modę wszystkim prowincyom; z niéj poświt radości lub smutku błyskawica kraj cały przebiegały. Nic jéj przewadze nie prze-szkadzało, że ze stolicy królewskiej zamieniono ją w prowincyonalne miasto pruskie. Prawda, że mury grodu opustoszały; w pałacach pa-nów polskich świeciły pustki; przez drzwi i okna wybite, smutno wy-

ła wichura nieraz, obszerne podwórza murawą zarastały, ale przewaga mieszkańców krajowych od lat dawnych osiadła, nieopuszczała swych siedzib. Młodzież dawniej stolicy bawiła się wesoło, za czasów pruskich, w krainie która straciła swój byt i imię, a na czele tego orszaku, przewodził młody książę Józef Poniatowski. Pomimo tego nie szarżała się w brudach, i gdy potrzeba przyszła, kiedy pobudka dała hasło, dosiadła za swoim wodzem dziarsko konie, i niedługo dała dowód stariej waleczności, którą książę Józef bohaterką śmiercią w nurtach Elstery pod Lipskiem poświadczył.

Mieszkał ten wódz z kampanii 1792 r. w pałacyku pod Blachą, przy zamku królewskim, zwracał na siebie uwagę jako synowiec ostatniego króla, jako wódz w kampanii 1792 r., który, gdy król Stanisław August przystąpił do konfederacji Targowickiej, nie myśląc stanąć w obronie zaprzysiężonej przez siebie ustawy sejmu czteroletniego,—złożył dowództwo nad armią polską, wraz z przesłanym listem, pełnym obywatelskich myśli.

W pałacyku pod Blachą wrzały bachanalia, i wśród ciszy grobowej miasta, wesołe z pod Blachy rozlegały się okrzyki. Wywoływały one poniekąd słuszne sarkania, i nieraz wyrazy zgrozy; ale nikt nie zajrzał w głąb serca młodego księcia, i nie zbadał czy tym sposobem nie chciał zatłumić choć w części pamięci nieszczęść, jakim uległ kraj cały i jego rodzina, wraz z koronowanym stryjem, do którego gorąco był przywiązany, i więcéj mu jak kto inny przebaczał błędy i grzechy. Starzy kontuszowcy sarkali na księcia, że w pałacu jego stara francuzica Vauban przewodziła, że mowy polskiej w jego ścianach nie słyszano, a w domowym teatrzyku pod Blachą grywano same komedyjki francuzkie. Były to zarzuty słuszne, ale książę Józef odebrał wychowanie francuzkie, wówczas w modzie będące, i odwyknąć od niego nie mógł: sam lepiej mówił po francuzku, aniżeli po polsku. Wszystko jednakże mu przebaczone, gdy się ukazał w ukłańskiej kurtce z szablą przy boku. Hulaszcze jego grono poszło za przykładem ukochanego księcia. Wizerunki jego, już popiersia, już w całej postaci; to pieszko to konno były wielce pokupne, i nie było domu w Warszawie, gdzieby je, z chlubą nie zawieszano na ścianach bawialnego pokoju, przy dawnych wizerunkach króla Jana Sobieskiego w pełnej zbroicy. Cały ten orszak wesołych towarzyszków z pod Blachy w napadzie Austryaków 1809 roku, świetnie się odznaczał i nie jeden śmiercią walecznego poległ na pobojowisku.

Rok pierwszy naszego stulecia 1800 zastaje kraj bez imienia, bez bytu politycznego. Skutkiem bowiem ostatniego rozbioru Polski, część jej wraz z Warszawą, przeszła pod panowanie Prusaków.

Gwarna gorącym życiem stolica, zmieniła swą postać, gdy się stała miastem prowincjonalnym. Po ulicach głucho, jeżeliś usłyszał mowę ludzką, to jedynie *szwargot* niemiecki. Tylko przy straganach na Starém-Mieście i w Bramie Krakowskiej przy zamku królewskim,

gdzie zasiadało dzielne a junacze plemię przekupek warszawskich, od czasu do czasu usłyszales, energiczne wyrażenia polskie rozniewanej pani straganiarki, a każdój z nich Niemcy się bali, bo tego w uniesieniu policzkowały i tarmosiły potężnie za czupryny. Nie powstrzymywały ich od tego *sztrafy* jakie płacić musiały: a bijąc Niemca powtarzały ulubione stare przysłowie: *zabije, zapłace!* Do zabójstwa wprawdzie nigdy nie przychodziło, ale do bijatyki często, poczem wydawać musiały z kieszeni talarki. Z uśmiechem i zadowoleniem płaciły je chętnie, pocieszając się tём słodkiem przekonaniem, że porządnie Niemca wyczubiły.

Cios, jakim dotknięta została ówczesna społeczność, szerzył chorobę czarnej melancholii i pomieszania zmysłów. Pierwszój ofiarą padł znakomity historyk Naruszewicz, drugiej Franciszek Książnin poeta, którego choroba odznaczała się grobowym milczeniem. Od chwili bowiem, gdy nią dotknięty został, słowa nie wyrzekł, nawet gdy mu głód dokuczał, tylko obłądnym a wydatnym wzrokiem ponuro spoglądał wokoło. Pomimo, rzec można, epidemicznych dwu tych chorób, niesłychanem było samobójstwo. Duch staroreligijny powstrzymywał ręce nawet dotkniętych pomieszaniem zmysłów, od podniesienia ich dla skrócenia sobie życia. Opinia publiczna i przepisy kościoła oddziaływały silnie na umysły całej społeczności. Opinia gardziła samobójcą utrzymując, że człowiek skracający sobie życie dobrowolnie nie wart szacunku i pamięci po sobie, bo mógł szukać ratunku w modlitwie i poddaniu się woli Opatrzności znosząc mężnie po chrześcijańsku niedolę; kościół odmawiał pogrzebu zwłokom samobójcy w ziemi poświęconej na cmentarzach i postugi kapłańskie.

Prasa peryodyczna jakby nie istniała, bo jedna tylko w Warszawie wychodziła *Gazeta Warszawska*, obojętna zupełnie na sprawy krajowe. Z zagranicznych zaś pism czerpała spóźnione wiadomości głównie z pruskich gazet. Żywe słowo zastępowało wówczas prasę peryodyczną, pozbawioną zajęcia i życia. Owoż taką chodzącą gazetą, a upragnioną dla całego miasta był słynny na kraj cały Fr. Gugenmus zegarmistrz. Ojciec jego, za panowania Augusta III, rodem z Bawaryi, przybył do Warszawy i w tём mieście osiadł. Tu musię syn, a nasz Franciszek urodził. Znakomity matematyk i uczony zegarmistrz pracował w Genewie lat 5, w Paryżu lat 7, gdzie skupował rzadkie dzieła do swęj sztuki należące. Biblioteka jego składała się z 600 tomów dzieł wyborowych, co na owe czasy było osobliwością. Biegły i sumienny w swęj sztuce był zegarmistrzem nadwornym króla Stanisława Augusta. Zjednał sobie chlubny w całym kraju rozgłos w swoim zawodzie, a zegarki jego roboty z napisem: *Francois Gugenmus Horloger du Roi*, były długo wielce poszukiwane i cenione. Żył lat blisko 80, umarł w r. 1820. Gugenmus, gdy doszedł lat 60, zaczął swój kunszt zaniedbywać, a z zapalem oddał się zbieraniu i roznoszeniu po mieście nowinek tak krajowych, jak i zagranicznych. Była to osobistość wydatna i oryginalna wśród murów Warszawy. Chodził bowiem dzień

cały po ulicach Warszawy, zawsze jednakowo ubrany, w surducie granatowym krojem staroświeckim, w spodniach czarnych lub ciemnych, krótkich po kolana, w pończochach białych jedwabnych i trzewikach z dużemi srebrnemi sprzączkami. Na głowie, której nigdy nie nakrywał, peruka upudrowana, wypomadowana, ufryzowana w duże loki z harbajtlem z tyłu. Kapelusik mały składany (*chapeau-bas*) pod pachą lub w rękę, kończył ubiór, którego nigdy nie zmieniał latem czy zimą, w dzień pogodny lub deszcz i największe błoto.

Nosił zawsze w kieszeniach lub rękę gazety berlińskie, hamburgskie i inne, oraz liczne korespondencye z różnych stron. Mając krewnego i przyjaciela w legionach Tremont'a Eliasza, szefa batalionu, i otrzymując częste od niego z Włoch listy, gromadził wkoło siebie ciekawą gawieź powieścią, o nowinach z Italii i kolejach legionów włoskich.

Kiedy w bitwie pod Jena Napoleon I rozbił całą potęgę pruską, pierwszy uwiadomił mieszkańców Warszawy o tym wypadku, dodając ze swjej strony: „Wkrótce tylko patrzeć, jak Prusacy z Warszawy i zabranych prowincyi polskich uciekać zaczną.”

Głośno szczegóły téj bitwy opowiadał licznie zgromadzonym na Sto-Jańskiej ulicy słuchaczom, którzy go oczekiwali zawsze, popijając wyborne piwo dubeltowe Kazimirusa. Z powodu rozsiewania wieści, na kilka miesięcy przedtém wezwany do ówczesnego generała pruskiego i gubernatora miasta Warszawy Koehlera, proszony był przez niego, aby nowin często niepewnych, oraz zatrwających wieści o klęskach wojska pruskiego nie ogłaszał. Gugenmus daje mu przyrzeczenie, że tém się trudnić więcéj nie będzie; wychodząc jednak z gabinetu gubernatora, wielce lubionego i poważanego generała, którego pamięć wdzięczną długo zachowywali w swoich wspomnieniach mieszkańcy Warszawy, przypomina sobie, że ma w kieszeni gazety niemieckie, w których donoszą o szczegółach stoczonej dnia 14 października 1806 r. krwawej bitwie pod Auerstaedt, w której Prusacy pobici zostali.

— Czy to jest prawda JW generale?

Koehler człowiek łagodny i wyrozumiały, odrzekł mu na to z uśmiechem.

— Już ja widzę, mój panie Gugenmus, że bez takich nowin politycznych obejść się nie możesz i naprózno dałeś mi przyrzeczenie nieogłaszania takowych. Uwalniam cię od danego słowa.

Ucieszony tém wielce, rzekł z ukłonem:

— Jeżeli tak dalej pójdzie JW generale, to tylko patrzeć, jak Prusacy z Warszawy i zabranych prowincyi polskich uciekać będą.

I z miną tryumfującą opuścił mieszkanie gubernatora, opowiadając każdemu o swój rozmowie z generałem Koehlerem.

Jak wiadomości polityczne rozbiegały się tym sposobem po Warszawie, a następnie w całym kraju, tak i literatura objawiała się tą drogą jedynie żywego słowa i w rękopismach.

Zył pod owe czasy Marcin Molski brygadyer wojsk Rzeczypospolitej, który mając łatwość rymowania, korzystając z każdój okoliczności, brał je za treść do swoich wierszy. Mając mnóstwo znajomych

w Warszawie, każdemu w imieniny, lub święta inne doroczne winszował. Każdy téż oczekiwał nawet z pewną tęsknotą, na wiersze drukowane lub pisane Molskiego. Ztąd wielkiej używał popularności w całym kraju. Stanisławowi Augustowi, już przy ostatnim wyjeździe z Warszawy do Petersburga, ofiarował swój poemat p. n. *Stanislaida*, którą wszyscy chwalili, lubo mało kto czytał; w kilkadziesiąt lat dopiero później wydrukowanym został i pokazał, że na te pochwały, sypane tak szczerze wcale nie zasłużył.

Ale w owe czasy Molski był w modzie; każdy wierszyk jego, każde powinszowanie, przepisywano skwapliwie i rozsyłano po kraju. Gugenmus tych wierszy nie rozpowszechniał, trudniąc się jedynie politycznemi wiadomościami. Miał on dom swój na ulicy Ś-go Jana (Nr. 27) i tu przychodzili liczni jego przyjaciele, szczególnie kiedy się dowiedzieli, że z Italii ma listy.

Było u niego liczne zebranie: rozeszła się wieść, że ma wiadomość, jak Chłopicki w górach włoskich rozbił bandę słynnego rozbójnika Fra-Diavolo i samego schwytał. Poczém wy dobył kilka arkuszy zapisanego papieru i jeden z grona zaczął czytać wiersz *do legionów polskich*. Kiedy słuchali wszyscy z rozrzewnieniem tego utworu, pięknym i potoczystym oddanego językiem, zapytano w końcu o imię autora. Gugenmus wtedy się odezwał:

— Jak mi pisze szef batalionu *Tremont*, jest to młody palestrant Cypryan Godebski z Wołynia, który przedarłszy się do Włoch, jest w legionach dobrze widziany i szanowany od swoich. Redaguje on pismo *Dekadę legionów*, nie drukuje się ona, ale z pisanego po kompaniach odczytuje. Z niej to dopiero dowiadują się jego towarzysze, co się dzieje w kraju. Ma on tu niedługo wrócić, to się dopiero nim ucieszymy, kiedy przyniesie pełną torbę nowin nieznanych.

Jakoż w parę lat później rzeczywiście Godebski przybył do Warszawy i zaraz ożywił ruch prasy peryodycznej w naszym mieście.

Oprócz *Gazety Warszawskiej*, wychodził od r. 1801 *Nowy pamiętnik Warszawski*, *Dziennik historyczno-polityczny*, tudzież *nauk i umiejętności*, pod redakcją Franciszka Dmochowskiego, tłumacza *Iliady* Homera i *Eneidy* Wergiliusza. Dmochowski należał do téj świetnej plejady zacnych mężów, którzy w sprawach krajowych przeważny udział brali. Przyjaciel Hugona Kołłątaja, był nieodstępny jego towarzyszem, i razem na obcej ziemi szukali przytułku. Z nim téż razem ułożyli plan znakomitego dzieła: *O ustanowieniu i upadku Ustawy majowej*. Jako przyjaciel Krasickiego, zajął się wydaniem zbiorowem pism jego w dziesięciu tomach. Dzieło to było skarbnicą dla każdego miłośnika literatury ojczystej.

Pamiętnik Warszawski, organ poważny, mało czytany i mało rozpowszechniony, jakkolwiek nie było w zwyczaju płacenia honoraryów autorom, dla szczupłej liczby prenumeratorów, zaledwie, pomimo poświęcenia się i pracy redaktora, mógł przetrwać tę obojętność lat pięć, i w r. 1805 zakończył swoje istnienie na XX tomie.

Z lepszą nadzieją w przyszłość, Godebski za powrotem do kraju wraz ze swoim przyjacielem Ksawerym Kosteckim, rozpoczął nowe wydawnictwo, także miesięczne: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*. Wyszło ich pięć tomików: pierwszy w 1803 r., w następnym tomiki 2, 3 i 4-ty. Nastąpiła przerwa całoroczna, i w r. 1806 ukazał się tomik V, a na czele znajdujemy ciekawe *Ostrzeżenie*, w nim zaś wiadomość o *pi-raterji* ówczesnej literackiej.

„Lubo w obwieszczeniu prenumeraty na dziełko nasze, niezamierziliśmy czasu do ukończenia *sześciu* tomików, znaczne atoli onych opóźnienie, wkłada na nas obowiązek wytłómaczenia się z uczynionej mimochętnie zwłoki.

„Oświadczyliśmy w pomienioném obwieszczeniu, że „niosąc rodakom pierwiastki prac naszych, nie możemy przyśpieszyć ich wydania bez poprzedzającej pomocy przyjaciół nauk.“

„Pewna jest, iż gorliwość zacnych rodaków odpowiedziała oczekiwaniu naszemu. Ta jednak liczba prenumeratorów, lubo dosyć znaczna jak na rodzaj pracy, nie była dostateczną do jęj przyśpieszenia. Niedosyć na tój przeszkodzie, potrzeba jeszcze było, ażeby prace nasze przedrukowanemi zostały w kraju, który do niedawnego czasu jedną z nami składał ojczyznę. Machnowka jest miejscem, gdzie chęć nieprawego zysku używa wynalazku, przeznaczonego do oświaty, na frymarczenie cudzą własnością. Nie wymieniamy sprawcy podobnego czynu: ublizalibyśmy bowiem jakiegobądź w sobie wartości dzieła, mieszcząc w niem osobę, o którój mówić wypada w sposób dla nięj niemiły. Co nas bardziej zadziwia, jest to, że na przedrukowanych dziełach spostrzegliśmy zezwolenie stwierdzone podpisem tego, który sam pisał o *prawie własności*.

„Może myślał machnowiecki wydawca, że w dzisiejszym rzeczy stanie, części kraju, będąc względem siebie obcemi, zwyczaj mógł upoważniać postępek podobny (galicyzm). Ale dający zezwolenie tak byk myśleć nie powinien i przynajmniej pod względem nauki nie śpieszyć się z linią *demarkacyjną*: ludzie bowiem poświęcający się naukom, od wieków, że tak powiemy, składają jedną ojczyznę. Niech przynajmniej w tój Rzeczypospolitej *prawa własności* szanowane będą.

„Lecz wróćmy do treści. Mimo te różne przeszkody, mamy za obowiązek uiścić się z długu, a ręka przyjaźni, która nam do tego ułatwiła środki, niechaj w tém miejscu hołd wdzięczności odbierze.“

Ale niedotrzymaną została ta zapowiedź: zamiast *sześciu* tomików, wyszło tylko *pięć*, i na tym publikacya ta się skończyła.

Przeglądając starannie cały ten zbiorek, nie znajdujemy w nim żadnego artykułu, któryby treścią swą i obrobieniem zasługiwał na przedruk: mało tu bowiem utworów oryginalnych, więcej daleko tłómaczonych, naśladowanych lub streszczanych głównie z literatury francuzkiej, którój wpływ u nas w owym okresie był najprzeważniejszym. Czasem zawadził tu jaki artykuł i z innych literatur, ale należał do rzadkiego zjawiska.

Na czele pierwszego zeszytu mamy rozprawkę: *Porównanie Jana Jakóba Rousseau z Heraklitą.*

Pierwszy raz spotykamy się tu ze sprawozdaniem z literatury rosyjskiej, a zarazem i owoczesnej greckiej. Są to raczej lekkie tylko i krótkie wspominki, niewyczerpujące wcale przedmiotu. W V tomiku znajdujemy gładkim wierszem, widać pióra Cypryana Godebskiego: *Żal Eufrozyny Jarosławny po mężu swoim Igorze.* Jest to ustęp ze słynnego poematu z XII-go stulecia: *Wyprawa Igora na Połowców*, który po mistrzowsku z oryginału przełożył daleko później August Bielowski. Znając ten utwór, z podziwieniem czytamy ten żal w niczem do swego pierwowzoru niepodobny: widać Godebski tłómaczył z francuzkiego, a francuz w formie klasycznej po swjemu go przerobiwszy zatarał w nim wszystkie ślady oryginalnej pieśni, pełnej poezyi, prostoty i prawdy!

Jaka przepaść dzieli pierwowzór od tak nędznej przeróbki, przytoczymy tu z tego czasopisma niektóre strofy, obok przekładu wiernego A. Bielowskiego.

Oto tłómaczenie z 1806 r.:

O! wy wspaniałe Putywelu mury,
 Jak mi dziś widok stawiacie ponury!
 Rozkoszne miejsca, gdzie pośród swobody
 Wiek mój szczęśliwy, wiek mój płynął młody!
 Cóż dzisiaj z waszą postawą przyjemną,
 Lub raczej powiem, co się stało zemną?—
 Gdzie tylko spojrzę i gdzie się obróce,
 Strach mnie ogarnie, albo się zasmuce;
 Czy co zatętni, czy wiatr zaszeleści,
 Zrywam się, pragnąc i bojąc się wieści:
 Wszędy się dla mnie trwożny obraz kreśli,
 Smutek mi wszystko zakrył aż do myśli.
 On dnie i nocy serce moje tłoczy,
 Sen chciałby skleić, Iza otwiera oczy.
 Ani mnie powab miejsc rozkosznych mam,
 Co były szczęścia mego świadkami.
 Wszelka już dla mnie zniknęła pociecha,
 Ni piosnki moje budzą więcej echa;
 Wesolość dawną zastąpiły jęki,
 A za kochankiem poszły miejsca wdzięki.
 Czyli zachodzą, czyli wstają zorze,
 Putywel świadkiem łez mych po Igorze!

Nie tak współczesny śpiewak polańskiego *Bojana* przedstawia osieroconą księżną Jarosławnę. Postuchajmy, jaki nam obraz maluje w przekładzie A. Bielowskiego.

Głos Jarosławny słyhać (rankiem w maju
 Kukulka takiem kukaniem się żali):
 Polecę, mówi, kukulką k'Dunaju,
 Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
 Otrę krew księciu i rany niedawne
 Na skrzepłém cie!e!

Słyhać Jarosławnę,
 Z wieżyc Putywła tak płacze zaraniem:
 „O wietrze! wietrze! czemu silném wianiem
 Hanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
 Czem miotasz strzały na lube mi woje?
 Mało ci jeszcze po gór bujać szczycie,
 I chwiać korable na morza błękiecie?
 Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?
 Z wieżyc Putywła słyhać Jarosławnę.

Próbka to mała, ale wymowna, jak pojmowano poezją i prawdę artystyczną w jój utworach.

Dział ten nie miał w owym okresie reprezentantów swoich, lubo wierszopisarzy niebrakło: chociaż w okresie przed-Mickiewiczowskim pojawili się ludzie z rzeczywistym talentem i namaszczeniem poetycznym, którzy jak młode orlęta, potrafili się wydobyć z ciasnych klatek tak zwanęj *klasyczności*.

Zabawy przyjemne i pożyteczne, zupełnie odpowiadają swój do bie. Jak martwota głucha objęła kraj cały, tak i to pismo nic żywego przedstawiać nie mogło. Naprózno przewracasz kartki, chcąc schwytać jakąś wiadomość o ruchu literackim, o nowych książkach, jakiś objaw w życiu społeczném. Nic tego nie znajdujemy: czytamy tylko fragmenta z literatury francuzkiej, czasem wiadomostkę i z innęj: wierszyki, mniej więcj udatne: sielanki i bajeczki obok anegdotek. Powieści niéma, ani opowiadań zajmujących: słowem, nic godnego uwagi. Pomimo tój czczości, *Zabawy* te mają zasługę w strzeżeniu czystości języka wpośród nacisku germanizmu, i kierowały się tu myślą Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, które się głównie w tym celu zawiązało jedynie. Pomimo obojętności ogólnęj w wspieraniu literatury krajowęj, niezaprzestawano usiłowań do obudzenia większego ruchu umysłowego. Gdy na drodze więcj poważněj trudno było znaleźć zwolenników, zaczął wychodzić: *Wybór powieści moralnych i romansów*, (od 1804—1806 r.) tomami, których wydano dwadzieścia. Zajmował się głównie tą publikacją Jakób Adameczewski, i ta publikacya lepiej szła daleko od poważniejszych wydawnictw, bo kobiety nasze zaczęły ją czytać i wspierać: w zbiorze tym mieściły się same niemal powieści tłómaczone.

Po niefortunnych próbach w rozwoju prasy peryodyczněj, nastąpiła przerwa i cisza. W r. 1806 żadnego pisma literackiego nie mieliśmy wcale. Wpośród tój martwoty ogólnęj, Towarzystwo Warszaw-

skie Przyjaciół Nauk podtrzymywało chociaż słabe życie mowy ojczystej i nauki *Rocznikami* swojemi, gdy w końcu pomienionego roku, cichy i spokojny horyzont zagrzemiał burzą i piorunami. Staje tu pytanie, cóż więc w tym smutnym okresie, miłośnik literatury ojczystej miał do czytania? Odpowiadamy, żywić umysł swój mógł starannemi wydaniem dzieł z czasów Stanisława Augusta, a teraz drukowanemi Ignacego Krasickiego w X tomach, Fr. Karpińskiego w IV tomach, w bardzo starannych edycjach, przez Fr. Dmochowskiego wydanych w drukarni pijarskiej; pysznem wydaniem *Wyboru pisarzy polskich* T. Mostowskiego, a gdy chciał się bawić beletrystyką, nawet jej nadpływał z Krakowa, w tłumaczeniach romansów *Floryana*, *Pani Zenlis* i strasznych, z niemieckich powieściach. Taki to pokarm duchowy, przy zagaśnięciu życia publicznego, służył za strawę codzienną dla ówczesnej społeczności. Dodajmy, do powyższej wymienionych, wzorowy przekład *Iliady* Homera przez Fr. Dmochowskiego.

Nie brakło mimo to zajęcia umysłowego; w kółkach rodzinnych każda wiadomość o nowej pracy przedsięwziętej w łonie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, żywo była powtarzana; każda sztuka na teatrze narodowym odegrana, była osnową gorących tam rozpraw. Rozchwytywano pieśni nadbiegłe, czy z Italii, czy z Francji, czy jak później z Hiszpanii, gdzie pułki polskie walczyły; uczono się skwapliwie ich słów i melodyi, i przy klawikordach, a więcéj jeszcze gitarach śpiewano przy każdym zebraniu. Zbiór ich stanowić może zajmujący pieśnioksiąg.

W kółkach rodzinnych, domowych, każda książka wydana, żywe obudzała zajęcie, a zgromadzenia familijne, przy skromnem przyjęciu, bawiły się ochoczą rozmową, czytaniem a najwięcéj pieśnią. A w tej pieśni nie szukano wytwornej formy artystycznej, bo o niej nie miano należnego wyobrażenia, ale myśli pięknej, uczucia prostem a zrozumiałem słowem, w rymowanym wierszu wypowiedzianego. Pieśni Fr. Karpińskiego, szczególniej téż *Filon i Chloe*, były w każdym domu znane i śpiewane nietylko w Warszawie w domach obywatelskich i po rodzinach rzemieślniczych, ale po dworach wiejskich, z kąd pod strzechy wieśniacze przechodziły. Pieśni jego pobożne: *Kiedy ranne wstają zorze*, i druga *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, rano i wieczór brzmiały po wszystkich domach Warszawy. I z pieśni Fr. D. Książki najwięcéj rozpowszechnioną była pod napisem *Matka obywatelka*, zaczynająca się od słów: „*Spij moje dziecię śpiewała.*”

Ulubiona ona była od uroczych młodych matek polskich, gdy ją nuciły nad kołyską swego niemowlęcia, jak w gronie mężkiem jego *Oda do wąsów*.

Gdy rzuć wspomnieniem w tamte czasy, widzę te grona młodzieży w pełności życia z rozjaśnionym wzrokiem, tak radośnie płaszące, śpiewające w kółku domowém; starszych z mężkami obliczami, zajętych tylko rozmową o wypadkach bieżących, matrony poważne wspominające swoich synów i mężów oddalonych, walczących w pięk-

něj Italii, lub nad Renem i Dunajem. W pierwszych, wiosenny uśmiech i radość życia, w drugich poważny nastrój, na widok piorunujących wypadków, które biegły za zwyciężkim powiewem chorągwi Napoleona I.

W towarzystwach nie myślano o grze w karty: rzadki wypadek, gdy osiwiali starcy i podżyłe matrony zasiadały do gier wówczas ulubionych jak: maryasz, rumel-pikieta, družbart lub kiks we cztery osoby. Było to zjawiskiem osobliwém, tak umiano czas zapełnić zajmującą rozmową, lub zabawą. Młodzież bawiła się w gry rozmaite, a najczęściej tańcowała rada, ulubione tańce, jak mazura, krakowiaka ze śpiewkami, a na zakończenie ulubionego drabanty. Przy większej liczbie osób zataczano kontredansa; w przerwach zaś dla spoczynku, uproszona towarzyszka, lub ktoś z grona tancerzy, śpiewali ulubione pieśni. Jak przyjęcie, tak i ubiór pańien był skromny; chętnie przybywały w codziennych sukienkach, ale za to bawiły się serdecznie i z całą duszą tańcowały. W kółkach tych domowych, pomiędzy młodzieżą zawierzywała się pierwsza znajomość, która wiodła bardzo często do stopni ołtarza.

Życie młodej dziewczycy, szczęśliwie upływało w domu rodziców pod czułym i opiekuńczym okiem matki. Wcześnie się ucząc jēj wyręczania, od lat najmłodszych wdrażała się w obowiązki gospodyni domu. Obeznaną z niemi, wyszedłszy za mąż łatwo je spełniała, umiejąc się stosować do położenia męża i jego mienia niezasobnego. Umysł jēj dojrzewał, nie nauką, ale w praktyce życia, słowem żywém tradycyi, uwagą i przestrogą matki, i poważnych matron pokrewnych. Tak czas dzielić umiały pomiędzy kościół, modlitwę i zajęcia domowe, że mniejsze zebranie w domu i zabawa była prawdziwą dla każdej przyjemnością uroczystą. Dzień za dniem znikał nieznacznie, a żadna nieczuła nudy, lub pustkowiecia życia. Z Karpińskiego uczyły się pieśni, z Krasickiego bajek, a jeżeli nadleciała piosenka, których bywało niemało, nieznanego poety, przemawiająca do serca i do myśli, znajdowała gościnne przyjęcie, i przyrastała już do rodzinnych progów.

Cała społeczność ówczesna jakby gromem porażona, widząc jak wszystko co dzień się kruszy, upada i ginie, deptane pogardliwą nogą niemieckich przybyszów, długo z przerażenia duchowego przyjść do siebie nie mogła, ani nie umiała zdać sobie sprawy z tego, co ją nagle otoczyło, i wkraczało we wszystkie stosunki obywatelskie. Stanęła więc u domowych ognisk swoich aby je osłonić, i przy nich ogrzewała krzepnące rozpaczą serca, i myśl bolesną, co już skrzydeł swoich swobodnych jak dawniej do podlotu rozwinąć nie umiała. Myśl ta była podobną do owej ptaszyny, której pióra gradową burzą przemoczone, i potamane; czuła, że nie pomogą do uniesienia się w szlaki powietrzne. Nic więc dziwnego, że życie całe zbiegało się w kół-

kach rodzinnych, że publicznych zabaw nie cierpiano, i ten rys charakterystyczny wyraźny objawiał się długo po tym okresie.

W pierwszych latach naszego stulecia, gitara angielska o metalowych strunach była najpowszechniejszém narzędziem muzyczném i znajdowała się w każdym niemal domu, więcej wykształconym. Fortepiany znano tylko z opisów, klawikordy stoliczkowe, gdziekolwiek się tylko i to w zamożniejszych domach znajdowały. Już po roku 1808, wśród smutnej wyprawy do Hiszpanii Napoleona I, gdzie pierwszy raz zachwiały się jego zwyciężkie orły; powoli zaczynała się pojawiać gitara hiszpańska, rozmiarami większa od angielskiej i strunami różna. Ale ten rodzaj gitary był właściwy tylko mężczyznom, płęć piękna zawsze pozostała przy swojej dawniej, lekkiej i łatwiejszej do grania i na jój cześć owoz piosnka z owych czasów.

Do gitary.

„Czyli mnie radość przejmuję,
Czy zgryzot jestem ofiarą,
Zawsze rozkosz w sobie czuję;
O! luba! luba gitaro!

Zbłąkane jednocząc tony,
Ślicznej rączki przyciskaniem,
Łechcąc uszy swými struny,
Wpadasz w serca swém brząkaniem.

Abyś twoim przenikliwym
Tonem, ludziom ogłosiła,
Ze w złączeniu serc ich tkliwym,
Cała jest narodów siła.

O! twojój struny zerwanie,
Uczy mnie jak się na świecie
Rwie przyjaźń, rwie i kochanie!
Cóż stałego będzie przecie?

To właśnie świat ma, co ona,
Tak się mieni z swymi losy:
Zerwała się jedna stróna,
Już fałszywe wszystkie głosy!”

Upodobanie do tego instrumentu muzycznego, jeszcze się odzywało i pomiędzy pierwszymi romantykami. I Bohdan Zaleski, należący do plejady Mickiewiczowskiej poświęcił mu wiersz następujący:

Do gitary.

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwej duszy!
Brzmiących strun twych dźwięk żaloszny,
Nicch westchnienie me zagłusz!

Niechaj głos twój z moim zlany,
 Jak sen koi me boleści;
 Niech odbity o te ściany
 Biędne serce tylko pieści.

Upój serce, upój ucho!
 Łzy wytrącaj śpiewem lotnym,
 Bo świat dla mnie puszcza głuchą!
 Ty w niej echem mym samotnym!
 W zbiegłych moich lat kolei,
 Nie znalazłem szczęścia wcale:
 Prócz tęsknoty i nadziei,
 Ciągły zawód, ciągle zale.

Coraz chwila, chwilę zganiam,
 Jako kwiaty lata więdną;
 Kiedyż ziemię tę płakania
 I wędrówkę rzucę błędną?

Ach! wieczności się nie zleknię!
 Śmierć nie budzi wstępu we mnie,
 Bo tam znajdę te dni piękne,
 Których szukam tu daremnie!

Towarzyszko życia wiosny!
 Powiernico tkliwej duszy!
 Brzmiących strun twych dźwięk żaloszny,
 Niech westchnienie me zagłuszysz!

Przywiedziemy jeszcze tu kilka pieśni, które śpiewano powszechnie przy łatwym wtórze gitary.

Cztery pory roku.

Rozyno! ja w twoim wzroku
 Widzę cztery pory roku!
 Kiedy chcesz zwabić przychodnie,
 Patrzysz jak wiosna łagodnie.

Potem jak słońca promieniem,
 Lato dopieka bez miary;
 Takie ty jednem spojrzeniem
 Niccisz w ich sercach pożary!

A gdy zwycięży już trzeba,
 Wiele w jesieni wód z nieba,
 Tyle łez w jednej godzinie,
 Z pięknych twych oczu popłynię!

Lecz gdy dokażesz co żądasz,
 Gdy już zakocha się który,
 Wtedy na niego spoglądasz
 Srogością zimy ponurój!

Duma nad strumykiem.

Jakże podobny Lucynie
 Ten mały strumyk co płynie,
 To jęj obraz rzeczywisty,
 Bo i spokojny i czysty.

Ale te brzegi zielone
 Biegiem jego rozdzielone,
 Zawsze blisko, nigdy razem
 Mego losu są obrazem!

Nie! Niepodobny Lucynie
 Ten mały strumyk co płynie,
 Bo on okrutny swym biegiem
 Dzieli nazawsze brzeg z brzegiem!

Okres od 1800 do 1820 roku był poświęcony sielankowym wyobrażeniom, wiejskim pasterkom i „czułości aż do mgłności,” jak mówiono później, gdy się nieco społeczność nasza otrzeźwiła z tęg ślamazarnej choroby, w której ani serce ani myśl zdrowa udziału nie brały.

Wydatne ślady tęg chorobliwęg przesady, naleciałęg z Francyi, z uniesieniem przyjęte na dworze króla Stanisława Augusta, zostały tak w literaturze, jak we wspomnieniach ustroju społecznego. Musiały więc przechować się i w poezyi ówczesnej.

Przejrzyjmy z owego okresu piosnki najpopularniejsze, powszechnie śpiewane przy gitarze angielskiej.

Pasterka.

Kto doniesie sercu memu,
 Co się z moim lubym dzieje?
 Któż odemnie powie jemu,
 Że tęskna lzy po nim leje?

Miły ptaszku! mijasz gaje,
 Z dalekiej lecisz krainy;
 Powiedz! gdzie mój Jaś zostaje?
 Ach! powiedz pośle jedyny!

Weź te kwiatki, weź odemnie!
 Splakaném okiem szukane,
 Serce bije mu wzajemnie;
 Dopóki żyć nie przestanę!

S e n.

Nie wiem z jakiego powodu,
 Poszła Filis do ogrodu
 I czekając na Filona,
 Została snem uśpiona.

Matka do ogrodu wchodzi,
 Czyli Filis sama chodzi;

Gdy ją śpiącą znajduje,
 Ściska, pieści, całuje!
 Filis napół przebudzona,
 Biorąc matkę za Filona:
 „O Filonie! mnie zwodzisz,
 Ze tak późno przychodzisz!..“

Najulubieńszą dla naszych panien tego okresu była piosnka następna, którą nawet we wszystkich zaściankach szlacheckich śpiewano, nietylko w murach Warszawy:

ZOSIA W OGRÓDKU.

Chciało się Zosi jagódek,
 Kupić ich za co nie miała;
 Jaś ich miał pełen ogródek,
 Ale go prosić nie śmiała.
 Wnet sobie sposób znalazła,
 Rankiem się z chatki wykradła;
 Cicho przez płotek przelała,
 Wiśnie Jankowi wyjadła.

Poznał się Janek na szkodzie;
 „Wróble to, mówił, zrobiły!“
 Postawił stracha w ogrodzie:
 „Nie będą więcej gościły!“

Na tyczce, jak się należy,
 Kapelusz pięknie osadził,
 Nawieszał starą odzież,
 Stracha w ogródku osadził;

Zosia się stracha nie bała,
 Szczęśliwie płotek przebyła;
 Z nową się sztuki naśmiała
 I znowu szkodę zrobiła.

Ale się Janek domyślił
 Co to za ptaszek tak śmiały,
 Nowe siodelka wymyślił,
 I nieźle mu się udały.

Na miejscu tyczki przybranój,
 Cicho przy drzewie sam staje,
 Odział się w stare łachmany
 I niby stracha udaje.

Podług swojego zwyczaj
 Zosia gałązki nagina:
 „A tuś mi mały hultaju!“
 Złapana biedna dziewczyna.

I tak, jak słuszność kazała,
 Skarał złodzieja przy szkodzie:
 Z początku Zosia płakała,
 Śmiała się potem przy zgodzie.

Nie znano autora téj pieśni, co wszystkim do serca przypadła, a wiecie kto nim był? Jakób Jasiński, generał artyleryi, współtowarzysz Kościuszki, co poległ w r. 1794 na szanłach Pragi nieprzyjąwszy pardonu. Dowiedzieliśmy się o tém, przeglądając starannie własnoręczne rękopisma po tym wojowniku.

Z poetów okresu Stanisława Augusta, jeden tylko Franciszek Karpiński dostąpił zaszczytu, że pieśni jego przeszły w usta narodu. Sławna jego sielanka: *Filon i Chloe*, z pełną prostoty rzewnej melodyą, we wszystkich miastach, dworach i wsiach nawet śpiewaną była. Ta to melodia tak potężnie wpływała na Mickiewicza, że gdy ją usłyszał, nabierał natchnienia do improwizacyi. Nietylko świeckie pieśni Karpińskiego znalazły takie przyjęcie, ale *nabożne*, dotąd nietylko po domach, ale w kościołach i przy uroczystościach religijnych są śpiewywane.

Do późniejszych, ale zawsze należących do tego okresu, należy następny, równie ulubiony *mazurek*:

Dwie Marysie
Kochały się
W jednym Jasiu obie:
„Albo ty mi Jasia odstaw,
Albo ja go tobie.“
Dwie Marysie
Złybały się,
I gadały o tém:
„Czém my będziemy Jasia wabić:
Oczyma, czy złotem?...“
Druga rzekła: „Ujrzym wkrótce
Kto Jasia otrzyma:
Ty go będziesz wabić złotem,
Ja będę oczyma.“
Dwie Marysie
Spytały się
Razem Jasia obie:
Czy dla wdzięków, czy dla worka
Weźmie żonkę sobie?...“
Jasio wybrał, teraz szłocha,
Narzekając na to,
Że ma żonkę, co nie kocha,
Chociaż jest bogatą.
Kto pamięta,
Że dziewczęta
Zwodzić chłopców mogą,
Ten tém bardziej
Nie pogardzi
Tą Jasia przestrogą.

Niechaj baba, niechaj stary,
 Łączą się dla chleba,
 A dla szczęścia młodej pary,
 Kochać się potrzeba.

Myśl ta ostatnia głównym była kierownikiem w kojarzeniu małżeństw w młodym pokoleniu. Szczęśliwe to były czasy, gdy prawdziwe uczucia serca miały przewagę należną w społeczności zdrowej i szlachetnej.

Gitara hiszpańska, którą nasi wojacy wracający z wyprawy hiszpańskiej, rozpowszechnili w ostatnich latach bytu Księstwa Warszawskiego, była w użyciu niemal do 1830 r., ale wyjątkowo w ręku jedynie mężczyźmi.

Odpowiednio temu układano pieśni; kilka z czasów pomienionych tu przywiedziemy.

Niesłowność.

Żeglarz w burzliwej godzinie,
 Kiedy do lądu zawinie,
 Przysięga w pierwszym zapędzie,
 Że nigdy pływać nie będzie:
 Ale jak ujrzy pogodę,
 Znowu się puszcza na wodę.
 Żołnierz ranny w krwawym boju,
 Przysięga już żyć w pokoju,
 I sławę i bój przeklina;
 Lecz jak przejdzie chwila bólu,
 To co cierpiał zapomina,
 I znów walczy w Marsa polu.
 Tak się dzieje i w miłości:
 Gdy kto niema wzajemności,
 Przysięga w tę czarną chwilę,
 Że go kobiety nie zdradzą;
 Lecz jak która spojrzy mile,
 Znów uklęka przed ich władzą.

PROŚBA DO CZASU.

O! czasie Nielitościwy!
 Coś gonił wiosny mój chwile!
 Czemu opóźniasz się tyle,
 Kiedy mam zostać szczęśliwy?
 Leniwo godziny płyną
 Na mętym życia strumieniu;
 Nadzieja kryje się w cieniu:
 Kiedyż się złączę z Aliną?

Na czasu spoczęły skrzydła
Spokojność i szczęście moje,
Przyszłą rozkoszą się poję,
Uwiązłszy w miłości sidle!

Już trzykroć na Flory skroni
Wzrok słońca rozwinął róże,
Ja sobie pomyślność wróże,
A ona odemnie stroni.

Bóstwo, władzące wiekami,
Przypieszaj szczęsną godzinę;
Kiedy wzajemną Alinę,
Uścisnę z czułości łzami!

Skoro posiędę jej wdzięki,
W strzymaj, błagam, bieg twój rączy,
I niech się powoli sączy,
Nektar rozkoszy z twój ręki.

Lecz jeśli wzgardzi me chęci,
Serce kochanki okrutne
Uciekaj! i dni me smutne,
Pogrąż w morzu niepamięci!

W kótkach domowych obywateli warszawskich zbierano się liczniej, gdy wieść obiegła, że będzie śpiew przy gitarze hiszpańskiej; przybywającego śpiewaka najuprzejmiej witano oczekując chwili upragnionej. Śpiewakami temi byli głównie wojacy powracający z legionów włoskich albo z Hiszpanii, lub urzędnicy ale w dojrzalszym już wieku, po trzydziestu latach. Pomiędzy niemi znajdowałeś wielu tak zwanych „zdobywców serc niewieścich,” na których z trwogą, ale wielką ciekawością spoglądały podlotki: starsze panny z większą powagą i surowością jakby chciały powiedzieć: „proszę zdala odemnie,” a zalotne mężatki, z wdzięcznym zawsze uśmiechem, i powabnym spojrzeniem.

Zdobywców tych ulubioną pieśnią, która jedna odrazu im współczucie wszystkich kobiet, była nosząca tytuł:

Szczęście w kochaniu.

Woda kręte brzegi pieści,
Tchem Zefir róże rozwija;
Wiatr liściami drzew szeleści,
Cień murawie chłodnej sprzyja.
Strumyk po kamykach mruczy,
Zieloność pole okrywa
I wszystko w naturze uczy,
Że kochać, rozkosz prawdziwa!
Serca miłością złączone,
Szczęścia na świecie doznają;
W niem uciechy niezliczone,
Gdyż się wzajemnie kochają.

Nieczule tylko stworzenia,
Sprzeczną duszy idąc drogą,
Gardzą darem przyrodzenia,
I szczęśliwe być nie mogą!

Trzeba było być świadkiem, jak silne wrażenie tą piosnką śpiewaków wywoływał w całym zebraniu niewieściami, oblicza ich rozpogodzone krasny barwił rumieniec, spoglądały radośnie na siebie, mówiąc tylko oczyma: „że kochać rozkosz prawdziwa!“ A gitarzysta otrzymywał podziękowanie z oklaskiem wszystkich. Gospodarz zwykle po ukończeniu śpiewu, kazał podać wytrawnego węgrzyna, wznosił zdrowie śpiewaka, i częstował go zarazem ażeby sobie „gardziółko odświeżył:” panie i panny z gospodynią na czele jednogodnie o więcej pieśni prosiły, w czem nigdy odmowy nie doznały.

Zbiór pieśni jakie śpiewano przy obu gatunkach gitar, stanowiły grubą księgę. Wchodziły tu bowiem ulubione utwory Karpińskiego i Książnina, jak mnóstwo piosnek z teatru narodowego, najwięcej upowszechnione były śpiewy ze sztuk dramatycznych Bogusławskiego, Zółkowskiego (redaktora *Momusa*) i Dmuszewskiego ¹⁾.

Zbiór ich najzupełniejszy szczęśliwym trafem miałem w rękę przed r. 1830. Panna Ewa Smólska, w sędziwym wieku przechowywała starannie sporą księgę, w której kilkadziesiąt pieśni znalazłem wypisanych, a przy każdej data, zaczynając od r. 1794. Początek jój był kreślony pięknym charakterem, nadzwyczaj starannie. Była to ręka jój narzeczonego, który po zaręczynach, gdy przyrzekł sobie wieczną miłość, jako oficer armii Księstwa Warszawskiego, w szturmie do Saragossy, przy wdzieraniu się na rynek miasta, przy boku Chłopińskiego padł przeszyty kulami.

Przysłał jój towarzysz i przyjaciel poległego pierścionek, zegarek i szkaplerz skrwawiony; pamiątki te, chowała jako relikwie, i od tej chwili, wierna przysiędze, uważała się jako wdowa.

Rzadkiej piękności panna Ewa dla swych wdzięków i nieszczupłego posagu, miała później wielu zalotników, ale w swém postanowieniu została niewzruszoną. Zjednała sobie tak powszechny szacunek, że przy poznajomieniu z obcą osobą, przedstawiano ją zawsze jako wdowę po kapitanie poległym pod Saragossą.

Pan Wawrzyniec, tak nazywała swego narzeczonego, bo nazwiska nigdy nie wymieniła, zaczął spisywać te piosenki dla niej na pamiątkę: po jego śmierci, sama niewprawną ręką, dopełniała zbioru. Dając mi do odczytania, mówiła z głębokim wzruszeniem, a na jój białym i już pomarszczonym obliczu wybijał świeży rumieniec, i piękne zawsze czarne oczy, ogniem młodości zajaśniały:

¹⁾ Największą ich ilość pomieścił Wacław z Oleska (Zaleski) w swoim zbiorze *Pieśni ludu galicyjskiego* wydanym we Lwowie 1833 r. Co mu nadają jeszcze więcej wartości, to że do słów dołączone melodye właściwe, ułożone przez słynnego skrzypka Karola Lipińskiego.

— Mój panie Kazimierzu! życzę ażebyś miał chociaż połowę tój przyjemności i rozkoszy, jaką ja miałam wpisując do tój książki ulubione nasze pieśni, i mam je teraz, gdy odczytuję ręką mego Wawrzyńca napisane. Zdaje mi się że go widzę, że słyszę głos jego dźwięczny i melodyjny, kiedy mi z nich, niektóre przybywszy do kraju nucił. Oto jego ulubiona! I wskazała na pieśń pod napisem.

Prośba do czasu.

— Głos jego, mówiła z głębokim wzruszeniem, i ze łzami w oczach, już zamilkł na wieki, zwłoki spoczęły na obcej ziemi, a ja, nieszczęśliwa wdowa!

Patrzałem z uszanowaniem na jęj wyniosłą postać, jak po tych słowach przechodziła do sypialni, tłumiąc w sobie rzewne łkanie.

Z tój książki wypisałem niektóre pieśni opuszczając znane podobczas z druku, i tu je podaję.

Nie brakło i historycznych śpiewów, szczególnież z początku pisanych przez kapitana Wawrzyńca. Była tam modlitwa konfederatów Barskich, którą chorągwie ich śpiewywały w rannym pochodzie; pieśni o Kazimierzu Pułaskim i Drewiczu, jako też o obronie Częstochowy, i o bohaterskim zgonie Pułaskiego w Savannach, gdy na czele swęj jazdy, szarżując na baterye angielskie, poległ.

Wkrótce zmieniły się czasy, inna atmosfera powiała, nowe wypadki zacierały dawne, nowe też pieśni tworzone, które zarówno gościnne znajdowały przyjęcie w kółkach rodzinnych. Tu zatrzymujemy tylko nasz pogląd na okresie sześćoletnim, w końcu bowiem listopada 1806 roku, pierwsze patrole francuzkie, ukazały się w murach Warszawy, i sprawdziły się słowa Gugenmusa, bo w kilkanaście godzin, ani jednego Prusaka *na rosadę*, znaleźć nie można było. Wszyscy drżąc z przestachu uciekali na Pragę, a ztamąd zmykali zajęczym biegiem do swego Vaterlandu.

W końcu tego okresu i nowo rozpoczynającego się z r. 1807, występuje literat mało znany a wielkich zasług Tomasz Szumski. Twardą on toczył walkę z losem. Syn oficera w wojsku Rzeczplitej, który zginął przy oblężeniu Warszawy przez Prusaków, walcząc mężnie pod wodzą Kościuszki 1794 r., sierota po śmierci ojca, bez żadnej pomocy od lat dziecinnych, szukał chleba powszedniego w rozmaitych kierunkach. Był służącym, aktorem, nauczycielem. Przebywał w głębi Rosyi, zkąd z państwem swoim wyjechał do Francyi, bawił w Niemczech. Bystrego pojęcia i zapału do wiedzy, nauczył się sam bez żadnego przewodnika trzech języków tych państw, w których przebywał. Dla polepszenia losu w Ameryce, przybył do Hamburga, zamówił sobie miejsce na okręcie, ale godzinę naznaczoną, gdy przebawił w mieście wesoło, okręt odplynał, a Szumski ruszył do Berlina, i zostawał tam czas niejaki w domu książąt Radziwiłłów, którzy oceniwszy jego zdolności i wykształcenie naukowe, wyrobili mu miejsce nauczyciela w Akademii wojskowej berlińskiej. Jako profesor pomienionęj Akademii wy-

dał w r. 1807, *Krótki rys historii i literatury polskiej, od najpóźniejszych (?) do terażniejszych czasów*, w Berlinie 1807 r. u I. F. Unger, (kosztem autora. Cena u wszystkich księgarzy i poczmistrzów złp. 6. W 16-ce, str. 204, drobnym garmontem).

Jest to w naszém piśmiennictwie pierwszy zarys historii literatury polskiej, który na lat kilkanaście wyprzedził podobne dzieło w daleko szerszych ramach F. Bentkowskiego.

Po wydaniu téj pracy, idąc za ogólnym wówczas prądem porywającym młode umysły i serca, zaciągnął się do wojska Księstwa Warszawskiego; lecz wkrótce opuścił tę służbę, przyjął obowiązek nauczyciela w gimnazjum poznańském. Wtedy założył księgarnię polską w Poznaniu, i przez cały byt księstwa, szkoły i mieszkańców tego miasta, o raz departamentu poznańskiego w książki polskie drukowane w Warszawie, Krakowie i Wilnie zaopatrywał.

Od pierwszego wystąpienia 1806 r. przez wydanie książki do czytania z prawidłami, zachęcającej Niemców do uczenia się po polsku: pracując usilnie w tym kierunku, miał to zadowolenie, że uczniowie jego Niemcy, śmiało mogli przed księdzem Onufrym Kopczyńskim stanąć do egzaminu, i wyjść z niego zwycięzko. Autor wypisów i gramatyk polskich dla Niemców, jako księgarz i pisarz, ułatwiający naukę ojczystego języka pomiędzy cudzoziemcami, niemałe zasługi położył ¹⁾. My tu nad przytoczoném powyżém dziełkiem, uwagę zatrzymać musimy.

Autor, jak w przedmowie wyraża, miał zamiar w obszerniejszych ramach pracę swoją wykonać, jakoż sam przedmiot i obfitość materiału dostarczały po temu wątku i osnowy, ale dalej, mówi, „nagle wydarzone odmiany w świecie politycznym, zawołały mię do pełnienia innych powinności ku méj ojczyźnie; nie mogłem przeto dokończyć pisma tego podług planu, który wprzód byłem ułożył, musiałem go zmniejszyć. Pochlebiam sobie że książeczka ta równie dla Niemców po polsku rozumiejących, jako i dla edukującej się polskiej młodzieży do łatwego i ogólnego poznania dziejów i literatury polskiej użyteczną będzie.“ I tą nadzieją mógł się pocieszać, bo książeczka ta była jedyną pracą w tym rodzaju, a jak dobrze staropolskie przysłowie mówi: „*Na bezrybiu i rak ryba.*“

Autor historyą polską polityczną w połączeniu z historyą literatury dzieli na IV okresy.

Epoka pierwsza zawiera królów z familii Lecha od 550—840 r.

¹⁾ Szumski umarł w Krotoszynie 1840 r., w 54 roku życia, urodził się bowiem w r. 1778. Pisał i w języku niemieckim gramatyki polskie i wypisy ułatwiające poznanie naszego języka. Godne są tu wspomnienia dwie prace Szumskiego: *Myśli ogólne o palepszeniu handlu, przemysłu, rolnictwa i edukacji narodowej w Księstwie Warszawskiem.* (Poznań, 1811 r.). *Dobra rada dla matek względem najważniejszych punktów fizycznego wychowania dzieci, przez Hufelanda, przekład z niemieckiego.* (Wrocław 1819 r.).

Epoka druga zawiera królów z familii Piasta od 842—1382 r.

Epoka trzecia zawiera królów z familii Jagiellończyka od 1386—1572 r.

Epoka czwarta zawiera królów z różnych tak obcych jak i ojczy-
stych familii od 1574—1795 r.

T. Szumski w ten sposób, ujął całość swjej pracy, idąc za modą i zwyczajem literackim owoczesnym, zastosowywania wykładów historyi, wedle panujących dynastyi, bez względu na inne przeważne kierunki. Tak wygodny plan ułatwił mu w tych epokach, mówić o dziejach politycznych, a wśród nich wspominać ludzi nauki i dzieła ważniejsze. Dwie epoki pierwsze nie mogły mu dać żadnego materiału literackiego, dopiero go dostarczyła trzecia, a biegnąca już od r. 1386; przypomina więc Długosza, Wojciecha Brudzewskiego Mikołaja Kopernika, Tomickiego, Andrzeja Krzyckiego, Dantyszka: okres Jagielloński już otwiera całą działalność literatury i piśmiennictwa polskiego. Rej, Jan Kochanowski, Piotr tłumacz Tassa, Modrzewski i Stanisław Hozyusz i wielu innych zamykają ten okres.

Epoka czwarta od 1574—1795 r., daje bogaty zasób, tak co do grona piszących, jak i utworów literackich, ale autor w dalszych i drobnych ramach nie mógł swego zadania bynajmniej rozwinąć, tém bardziej, że połączył z wykładem swoim i wypisy piękniejszych ustępów. Z tego powodu jest to zaledwie słaby zarys i szkic lekki jakby od niechcenia rzucony.

W zupełnym braku podręcznika do historyi literatury polskiej, książeczka T. Szumskiego znalazła dobre przyjęcie i rozpowszechnienie tak, że całe wydanie wkrótce wyczerpane zostało z obiegu handlu księgarskiego. Głuche o téj publikacyi milczenie w współczesnych pismach, bo krytyków ani nawet sprawozdawców, którzyby śledzili objawy duchowe nie było. W toni więc zapomnienia zginęła praca, jakkolwiek niedokładna, ale z myślą zacną podjęta przez T. Szumskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZAKŁAD ŚMIERTELNY OTTONA.

DRAMAŦ W PIĘCIU AKTACH

Henryka Spicera.

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO

Feliks Jeżierski *).

AKT IV.

SCENA I.

Pokój w pałacu.

MARYA, SYFRYD, RAJNOLD.

SYFRYD.

Racz mię zrozumieć, księżno; sam się wzdragam
Od zemsty: ślepój wiary nie wymagam.
Lecz to najgorsza, że w gnieździe zbrodniczym
Są członki, które nie dadzą się niczym
Wytepić, ani powściągnąć w ohydzie.
Prawo tu milczy.

MARYA.

Rozumiem, Syfrydzie.
I ty — przychodzisz do słabój kobiety
Z tém arcydziełem zbrodni! ty — stroskanėj
Wskazujesz tkwiące w jēj sercu sztylety;
Jakbyś nie wiedział, że nad sprawcą rany
Ja — nieszczęśliwa — pomścić się nie mogę.

SYFRYD.

Księżno, bądź dobrej myśli: wiem ja drogę,
Na której zbrodniarz ten *sam* się uwikła.

MARYA.

Zbrodniarz?... ha, prawda; prawda, bo niezwykła,

*) Dokończenie — patrz zeszyt za marzec z r. b.

Dawna, jak słyszę, zawziętość was dzieli.
 Lecz w jego życie niewtajemniczony,
 Wiesz o tém, o czém wszyscy już słyszeli,
 O czém świat może bić we wszystkie dzwony.
 Moją *szlachetną* względność jawnie błotem
 Obrzucił,—dobrze, że wspominasz o tém.
 Ale, gdyby to... ot, naprzykład listy,
 Kartki,—o! wtedy mam ślad oczywisty,
 Spisek odkrywam, chwytam go i gniotę
 Wraz z buntownikiem, żart jego karczemny....
 Nędznik ten!

SYFRYD.

Podły!

MARYA.

Jak ty, jota w jotę:
 Rodzony bracie zbrodni, i nikczemny
 Oskarżycielu! Było się z czém śpieszyć
 Do mnie bezbronnej... Stratować wyrodney
 Język potwarzy, cześć zhańbić, pierś przeszyć:
 A! to rozumiem: to byłby czyn godny
 Tych waszych ślubów, jedwabni minstrele,
 Chobre jasełka, pięknoty czciciele!
 Lecz już mi ciebie zanadto,—precz!—Twarzy
 Ciemżców oko me długo nie znosi.
 Ufam ci—i złorzeczę.

SYFRYD.

On poprosi

O posłuchanie.

MARYA.

Fałsz!—ani się waży.

Wzbroniałam.

SYFRYD.

Jeśli Wasz zakaz wykona,
 Sam się oskarży.

MARYA.

Tak,—rzecz ułożona.
 Powiedz-no, przed kim on mnie tak potwarzał?...
 E! nie dbam o to... Dajcie przyjaciela,
 Ach, przyjaciela, arcy-przyjaciela,
 Żeby tę sprawę za swoją uważał;
 Dajcie.

SYFRYD.

O księżno! cały legion czeka
Tylko skinienia; i to nie z daleka,
Nie; jak na hasło czarodziejskiej laski,
Ja, Rajnold, Ulrych,—jak piorun z orkanem
Spadniemy.

MARYA.

Mając widocznie niesnaski
Z hrabią Amala, byłym szambelanem,
Temeście nieco ufność osłabili.
Rajnold niech będzie tu—okiem i uchem,
Syfryd—naczelnym dowódcą nad ruchem;
A wreszcie... może się burza przesili.

RAJNOLD.

Wybacz, przeświecna pani, że tu godzę
W punkt najdrażliwszy: a nuż wśród przechwałek,
Wzniesi powody trwogi nasz pyszałek?
O! wtedy...

MARYA.

Kto tu śmié mówić o trwodze?
Jestem królową!—a królewskiej dumie
Przystoi trzymać w prawicy pochodnią
Kary za zbrodnie, nie trwogi przed zbrodnią;
Na rany Boga, jak to pan rozumieć?
Czyżto majestat już upadł tak nisko,
Że mu na pierwsze zuchwalcze zjawisko
Tarczy potrzeba?

Odejdźcież rycerze!

(odchodzą, dosłuchując wyrazów Maryi).

I tam, w ukryciu czatujcie jak jeże
W kłęby zwinięte, z nastroszoną siercią,
Ciętą, iglastą,—zaprawioną śmiercią.
I biada zdrajcy, który stopą hardą
Waży się stąpić na nią...

Irmengardo!

Stań przy mnie... Jakiś gość rozmowy mojej
Życzyć się zdaje.

IRMENGARDA *(nieco zmieszana)*.Pani, on *tu* stoi.

MARYA.

Niech wejdzie.—Ależ, co ten przestraszony znaczy?

IRMENGARDA.

Nic.

MARYA.

Nic, powiadasz?—to mi patrz inaczej.
Ja zbladłam,—prawda; ale zkądże tobie
Blednąć? Jak widzę, zostałyśmy obie
Rasą bez cery; naszą krew czerwoną
Razem z myślami wpiło w swoje łono
Serce.—Słyszalas?—niech wejdzie.

(*odchodzi Irmengarda, zbliża się Amala*).

Mój panie!

Przychodzisz jakoś — nieoczekiwanie.

AMALA.

Tam, gdzie uczucie *obowiązku* wzywa,
Mija się względy.

MARYA.

Więc?... czekam na słowo
O *obowiązku*; mów, jestem cierpliwa.

AMALA.

Pani! książęciu, który dziś nanowo
Wrogów prawicą zamyśla potrwożyć,
Ulżyj brzemienia tarczy, i ten głuchy
Odmet zażegnaj; racz na mnie, racz włożyć
Niby poselstwo miłosnej otuchy;
Wioń na pałacy ból tchnieniem ochłodnym;
A każdą kroplę gojącego zdroju
Niebo odpłaci i geniusz pokoju.

MARYA.

Niestety, panie, jesteś na odchodnym...
Głos tajemniczy, tęskny, jak tułacz
Wiatru jęczenie przez ruin pustkowie,
Szepcze mi, że już nigdy nie zobaczę....

AMALA.

Kogo?

MARYA.

Ochłodziło... przebóg! zimne mrowie
Wskroś mnie przechodzi.—O wy, złotowieszce
Gaje oliwne, kwiaty Aragonu,
Gdzie wy jesteście?—czy to się do zgonu
Chyli dzień Boży?—tak wcześniej?

AMALA.

Nie jeszcze.

MARYA (*zwracając się do okna ze drżeniem*).

Chyli się—chyli i wszystko odpływa
Na zachód wieczny. Patrz! orkan się zrywa;

W czarny, brzemienny prąd jego porwana,
 Walkę śmiertelną wszczyną pierś bociana.—
 Śmiało, mój ptaku!—tylko los człowieczy,
 Zimny jak ojczym, przed klęsk naszych stekiem
 Sercu dzielnemu nie daje odsieczy.
 Śmiało, mój ptaku!—nie jesteś człowiekiem.

Ha! wybrnął!... krzewu dosięga zmokniętym
 Żaglem; piersiami konaru się czepia,
 I oto żeglarz nad bagnem zasypia.
 To mi król jego pałaców cementem
 Jest miłość,—burze złamać ich nie mogą.

(gwałtownie zwraca się do Amali).

Mój hrabio, pan mięgnieważyłeś srogo.

AMALA.

Nigdy a nigdy myślą ni wyrazem.
 Lecz patrzeć na mnie z tym mętym obrazem
 Poniżających wspomnień,—o! to rani,
 Znieważa księżnę. Pozwól odejść, pani.

MARYA.

Goi-ż to ranę, jeśli kto najkrwawszy
 Sercu cios zada; a potem wśród rzeszy
 Zdrajczco się kryje, nie pożałowawszy
 Swojej ofiary. *(ironicznie)* Ależ, hrabia śpieszy...

AMALA.

Tak! i cień jego na zawsze się cofa
 Z przed oczu księżnej, unosząc zniewagę.

MARYA.

Ach! powiedz raczej, snując nową sagę
 Bardom obozu.... Jak tam pierwsza strofa?

Dama królewska zgubiona,
 Nasza hiszpańska Dydona.
 Dusza księżnej śni o mrzonce—
 Pieśń o śniadój aragonce.

I tym podobne... Odejść pan zamierza?
 Proszę pamiętać, że w zbroi rycerza
 Rysa być może.

AMALA.

O! nie tak głęboka,
 Abyś ją całym wysileniem oka,
 Dumna królowo, dojrzeć była w staniu.

MARYA.

I to nie wzgarda? to nie urąganie?

AMALA (*wyniosłe*).

Pani! spełniwszy nakaz, uniżenie
Czekam odprawy.

MARYA (*z łagodnością*).

O! na okamgnienie,
Pół okamgnienia... wstrzymaj się, mój luby!

(*na stronie*).

A jeśli to fałsz?—jeśli chwila próby
Skrzesze głos łaski w tém sercu z dyamentu?
Może niewinny.—Ja potwarz odrączę,
Ja go ocaleę na skrajach odmetu,
Ocale!

(*głośno*).

Strzeż się,—wokół, pod to lśniące,
Ciche powietrze, pod uśpione fale
Schował się piorun—i czyha...

AMALA.

Na Boga!

Prześwietna księżno, nie pojmuje wcale
Twoich napomknięć.

MARYA.

Nie czczy to przestroga:
Gdybym dziś mogła,—jak więźnia z okucia,
Wykupić pierwszy świt mego uczucia;
Miłość—jak wtedy marzyłam—wzajemną,
Powiedz, czy miałbyś ty litość nademną?
A nie urągał nad rzewném dziecięciem—
Nad wierną tobie—bezmyślném zakłęciem?
Czy nie maskowałbyś trupiego mrozu
Kwiatkami waszój poezyi obozu?
Lecz znając serce, oszczędził je, zabił
Z politowaniem; a do mąk nie wabił,
Które rozkładasz na lata i wieki?
Powiedz.

AMALA.

Od chwili, jak ziemia poczęta,
To świat straszliwszój mary nie pamięta,
Jak mara twoja. O! zamknij powieki
Przed czarownicą. Pierw, ten wiatr ponury,
Co rdzę posiewa na trawnym kobiercu,
Strugę ubiegłą skręci na szczyt góry,
Niż przeciw sławie cesarza w mém sercu,
Jeden puls zadręga, myśl jedna się spaczy

Na wiarołomstwo.

O! księżno! ty raczěj,
 Ty się ulituj! Oto najofiarniej
 Jaskinia złego, bezwiedna zaraza
 Twego oddechu, sprawa wszech męczarni
 Klęczy u twego podnóżka: zdepcz płaza,
 Bo on jest twoim; ale prawdy mowa
 Jest tylko jedna—i ta zagrobowa,
 Ułudna mara, kołacze daremnie:
 Echa miłości nie wywołasz ze mnie,
 Jak dźwięku z lutni, gdy lutnia się zatnie
 W wiecznym milczeniu; rozbij ją!... okruchy
 Ozwą się trzaskiem, lecz dźwiękiem otuchy,
 Nie! Nigdy!...

MARYA.

I to jest słowo ostatnie?

Ha, śmieszny odwet! na tyłu mąk sprawcę
 Nędzne twe życie, którym ja wśród walki,
 Rycerskiej stokroć widziała na stawce
 Za rękawiczkę. Zważno obie szalki:
 Oto ja! księżna, młoda, pokochana!
 Przyszłego berła poprzedzona słońcem,
 Aureolą cesarskiego miana,
 Biegłam przed tobą, byłam czujnym gońcem,
 Siostrą, piastunką, wszecz i podłuż drogi
 Rwałam kołące głogi i te głogi
 Wpinała w serce własne; od ponurój
 Pychy daleka, na tę skroń, dla której
 Światło wszech koron zdało się za bladym,
 Wdziałam ten piękny, miłości dyadem,
 Ja byłam wszystkiem, co twórcza obfitość
 Pędzła fantazyi mogła kiedy stworzyć:
 Wszystkiem ci była!...

AMALA (*blagalnie*).

O księżno! miej litość!

MARYA (*z dzikością*).

Nie! tu, na klęczkach śłać mi się i korzyć,
 Tu! tu jest miejsce na krzywoprzysiężną!
 Skruczę—o nieba, jeśli ja w odwecie
 Zabiłam litość, toż we mnie, wy przecie
 Litość obudźcie!...

AMALA.

Czém to grozisz księżno?

MARYA.

Śmiercią! kiedy krwi wulkan zarumienia
 Twarz bladą, nie jestto znak ocalenia!
 Taśma czerwona na obłocznym łęgu
 Rozsadza cichy opal widnokregu
 Dni twoje, lirabio, dni rozgłośnej wieści
 Już się spełniły—w pulsach, krew tętniąca
 Już ostatniego dobija tysiąca.
 Lecz wymów jedno słówko współbolesci;
 Ocal mnie z sobą! a potem—mój miły,
 Niechby się z posad cały świat załamał,
 A nas, w pośrodku, gruzy przywaliły!
 Powiedz: „O Maryo! jam wtedy nie kłamał,
 Kochałem!”

AMALA.

Jako panią i królową.

MARYA.

O! niebo, przebacz! to zbir... Nie! na głowę
 Moją nie spadnie ta krew! wszak do mety
 Bliższą mam drogę...

(wyrzywa Amali sztylet).

AMALA *(powstaje).*

Nie w piersiach kobiety,
 W moich, ten pocisk ugrzęźnie śmiertelny,
 Królowo, oddaj moją broń!...

MARYA.

Bezczelny!
 Niewie, że w dłoni téj, w obliczu, lśni się
 Świętość królewska.—Ha!ibo!

(Ulrych, Rajnold i inni wypadają z ukrycia).

RAJNOLD.

Stój, tygrysie!
 Hej, wiara! za mną, za mną do odsieczy!
(zwracając się do Maryi)
 Bo téż to dufność zbyt wygórowana.

MARYA.

Dufność? Okiełzać mi tego szatana,
 Niech mię językiem swoim nie kaleczy.
 Wrogu! o, przeczuł to mój duch proroczy,
 Że czarném *fatum* brzemienne masz oczy;
 Z piersi gad zieje, z liców śmierć wygląda.
 Wszak nie szczędziłam łez, groźb, przepowiedzi.

AMALA.

Prawda!

RAJNOLD.

Więc pani najjaśniejsza, żąda...

MARYA.

Sądu na zdrajcę.

RAJNOLD.

Badanie poprzedzi...

MARYA.

Krótkie?

RAJNOLD.

W godzinę, możnaby rozwinąć
Artykuł karny i skazać ku grozie
Potomnych na śmierć....

MARYA.

Proszę nie pominąć
Form prawa; pan mój pracuje w obozie,
Na mnie więc rzędy spadają zwierzchnicze;
Lecz w zbrodni, która mnie z blizka dotyczy
Sama przez siebie sądzićbym nie śmiała;
Skoro więc w radzie zapadnie uchwała
Prześle ją władzcy.

SCENA II.

(Przed pawilonem Ottona; w obozie Otto, Herman i rycerze).

OTTO.

Zdrowom ja wróżył, że popłoch jest blizki,
Uciekli—były to same odryski
Bojów gasnącej pochodni; więc sprawa
Poszła na sucho.... Oto ma buława,
Weź ją. Dalibóg, od tej krotofili,
Z dwojgiem „rąk białych” od tej, mówię, chwili
Wierzcie, nie wierzcie: ale, bez przesady!
To żart, nie wojna, bez mistrza biesiady
Nie pomnę żadnej z walk, świetnej pamięci:
Śmiałej, prażącój, co to w mózgu kręci,
Żebym nie krzykuął, choć na oślep, zdala:
„On to być musi, nikt tylko Amala!”

HERMAN (*jowialnie*).

Ten, co ma żonę, czyli rozmarzony,
Ten, co raz walczył o rękę dziewicy,
Nie wart mi i tej starój rękawicy.

OTTO.

Fałsz, fałsz! postawcie kobiet legiony,
Zbierzcie wdzięk wszystkich a wszystkich pospołu,
Złóćcie na jedną,—i ta, jakim księżę,
Tak go do swego serca nie przywiąże,
Jak ja...

Rycerze, zasiądźmy do stołu.

(wchodzi Ulrych z orszakiem).

Jacyż to gońce, złowieszczą nasłani?

ULRYCH.

Cesarzu! w imię Najjaśniejszej Pani,
Przyjm własnoręcznie jój list.

OTTO *(czyta list i upuszcza go).*

Duchu Święty!

Powiedz mi starcze, stojęż ja na ziemi?

HERMAN.

Ach!

OTTO.

Czyśmy jeszcze synami bożymi,
Czy ludźmi, czy już dzikimi bydłety?
Patrz: zpopod świata, strącone potęgi
Idą wyrzucić z posad ziemiokręgi,
Wydrzeć z nich Boga... Anala...

HERMAN.

Mój władzco?

OTTO.

Czytaj,—on zbirem, on był świętokradzcą,—
Nie mogę,—czytaj... słyszałeś?

HERMAN *(porywa list).*

Cesarzu!

To fałsz, bezecne oszczerstwo!

OTTO.

Milcz, łgarzu!

HERMAN.

Ktośkolwiek jest tu łgarzem—niech nim będzie
Stary twój sługa; choć w wojaków rzędzie
Zjadł zęby; przecież, jeśli i on mami,
To stratuj jego siwy włos nogami.
A ja przysięgnę na ten wiek, u schyłku,
Że to bezbożne kłamstwo.

OTTO.

Hola, zgnitku!

Jeszcze mię drażnisz?—fora, jak najdalej!

(odpycha go z gniewem).

Wy, stróże prawdy! dziś, jednym zachodem
 Chorągiew zdrajcy zdjąć z rycerskiej sali,
 Jako przekłętą, pod kata przewodem
 Wlec po ulicach miasta, uwiązaną
 Do końskiej pięty. Jutro... nie, dziś rano:
 Dopóki potwór ten ziejie płucami
 Pod Bożem słońcem, to ściska i plami
 Nasze powietrze, tchem zatrzuwa zgnitym.

Ulrychu! oto mój pierścień—nie zwlekam—
 Śpiesz, a jak księżna orzekła, orzekam:
 „Sąd, a po sądzie śmierć“.—Na koń!

Skończyłem.

ULRYCH.

Publicznie? Wprawdzie, jako rycerz, może
 Zażądać śmierci tajemnej.

HERMAN.

Broń Boże!

Chyba się wzdrygasz przed miłością tłumu.
 A żeś wróg jego, więc krwawém igrzyskiem
 Raczyc się będziesz, jak ten pies ogryzkiem.

OTTO.

Milcz, nie potrzeba tu twego rozumu.

(do Ulrycha).

Jako wyzuty z praw, nie pokryjomu,
 Jawnie poniesie śmierć—nie skąpić sromu,
 Ale wszem wobec, od krańców do krańców,
 Jako ów zastęp Bożych rozesańców
 W gloryi słonecznej, zwiastujcie przybycie
 Na gody godów, jakie dłoń mściciela
 Zgotować mogła dla ludów wesela.
 Czemuż w tym zbrodniu tylko *jedno* życie?
 Kat ma być partacz, aby zdrajca króla
 Czuł, że umiera.

HERMAN.

Vivat Kaligula,

Zwany Ottonem Trzcim!

OTTO (porywa się do miecza).

Ty siepaczu!

HERMAN (nadstawiając piersi).

Zgnieć, nie bądź pół-tyranem.

OTTO (rzuca mu się na szyję).

Oj rębacz,

Do krwi zaciąłeś; jednak duchy oba
 Są jednym... dzielnie! to mi się podoba.

Serca mego już nic nie rozczuła,
Nie lży, nie boli,—bo to serce króla.

(do Ulrycha i jego orszaku).

Na koń!—Mój Boże, czy choć na ostatku
Poczuję skruczę?

(odchodzi Ulrych i inni rycerze).

Chodź, chobry mój dziadku;

Przejdźmy się społem; jak bojowie prości

Gwarzmy o bojach,—jakby ta zakała

Cale krwi mej nie odfarbowała

Z farby żołnierskiej... Biedna potomności!

I wy, ofiary blasku i obłudy:

Książęta—otóż wymowne zadatki

Odczarowania! Mniemacie, iż ludy

Na lep braterstwa zwabicie do klatki?

Bodaj tak...

(odchodzi w głębokiej zadumie).

SCENA III.

Więzienie.

AMALA, EBBA, ANNA, później RAJNOLD, Kapitan straży i jego towarzysze broni.

(Amala odstępuje od Ebby, jakby od spowiedzi; w oddaleniu siedzi Anna, płacząc.)

EBBA.

Dusza wzmocniona—w namaszczeniu Pańskim—

Stań z wiarą na jej wierchołku niebiańskim

I zowad opuść dłoń ku padłowi

Na chwilę.

AMALA *(zwraca się do Anny)*.

Zbliż się, ostatni łańcuchu,

Ciążący skrzydłem gotowej do ruchu

Duszy Amali,—nim dźwięk trąb zapowie

Chwilę odlotu, niech pierś nieszczęśliwa,

Jak przez jastrzębia kokosz napadnięta,

Przed rozszarpaniem wylęknę pisklęta

Przytuli wszystkie a wszystkie ogniwa.

Ach! bo z ostatnim uściskiem twój rączki,

Już się odpręgna odemnie, sieroty;

Rozproszą—lecz nie na martwe obrączki,

O nie! na czyste, tak święte klejnoty,

Że je śmierć, owa pokłósnica czarna
Musi wybierać wszystkie, co do ziarna.

ANNA.

Stwórco mój! czemuż tam, w niebieskie łany,
Kwiatek miłości tak skąpo zasiany,
Że śmierć, nieczuła na błagalne jęki,
I ten—jedyny—wydziera mi z ręki.
Mężu, ktoś wchodzi.

(*ukazuje się Rajnold*).

AMALA.

Głos?

RAJNOLD.

Ty wiesz, od kogo.

Cesarz ci raczy darować... nie życie
(Własne twe usta przyświadczyć tu mogą,
Że niepodobna), — lecz więcej niż życie.
Zbrodnię krwią zbrodnia spłacić on pozwala,
Dla potomności cześć twoją ocala.
W sali rycerskiej poczet zabezpiecza
Dla twojej tarczy, chorągwi i miecza,
Wśród najdzielniejszych; lecz zastrzega wzajem
Przysługę—i to publiczną, przed krajem.

AMALA.

Przysługę więźnia na przedśmiertnym kroku?

RAJNOLD.

Głośne przyznanie słuszności wyroku.

AMALA (*szyderczo*).

Mężu, ja cierpię—ale żadna rada
Tak jadowicie w krew mi się nie wpiła,
Jak to, że pana, który mię posyła
Na pień katowski, *tak dobrego* pana,
Uczcić nie mogę darem tej pociechy
Niewinnój...

Jakież tam jeszcze mam grzechy?
Kto mię przeklina, kto oczy łzą rosi?
Mów-że, nie rabuj mnie zwłoką rozmowy.

RAJNOLD (*z wahaniem się*).

Syfyd...

AMALA.

Czy także o pociechę prosi?

RAJNOLD.

On ci zasyła serdeczne „bądź zdrowy.“

I tego, że dziś umierasz, zazdrości,
 Bo cześć unosisz w nieskazitelności;
 Krótkiem jest życie, wieczną jest sromota.
 A jutro, jutro... któż przyszłość rozmota?
 Kto, wobec wielkich, los maluczkich zbada?
 Jutrobyś, może, w niełasce, w szalbierza,
 Łotra okuły więzy, zpod pęgierza
 Szedł na śmieć.

AMALA.

— I to twój Syfryd powiada:
 Ha! czy on życie ubóstwia, czy gani,
 Wyjdzie na jedno: obaśmy zesłani,
 Na wspólną drogę, a ciemną jest, ciemną:
 Trzy dni przemienie: on zejdzie się zemną.

RAJNOLD.

Zkąd ty wiesz o tém? czyś z gwiazdy wyszedził?

AMALA.

Wiem, i zalecam abyś go uprzedził.
 Owa, co w próżni przestworzach się toczy,
 Przyszłość bezdenna, ma język proroczy,
 I w pokrewieństwie cudowném, nakłania
 Ucho, skarbnicę tajników otwiera,
 Temu, co zgonem niewinnych umiera.
 Rajnoldzie, przyjmij słowo pożegnania.

(Rajnold odchodzi).

Anno! ty jesteś moja; żaden w świecie,
 Przed zapadnięciem wiekuistej ciszy,
 Żaden rozjemca, ślubnych nie rozplecie
 Dłoni, prócz śmierci.

ANNA.

Gdy Otto usłyszysz...

AMALA.

Nic nie usłyszysz; tylko głuche wieści,
 Że mąż, co bojów stoczywszy czterdzieści,
 Życie mu zbawił szkarłatną fontanną
 Z krtani, już skonał.

Nie wierzysz mi, Anno?

ANNA.

Gdyby ta białość, rozlana po cerze
 Żywěj martwicy, rzec śmiała „nie wierzę,
 Zdarłabym z duszy kłamczy ten pokrowiec,
 Jak mylno napis na księdze natchnienia
 Prawdy tak świętej, jak księga więzienia.

AMALA.

Żegnam cię—*wielkim*, jedno słowo powiedz:

Nie chcę być dłużnym na cesarskim dworze
Cichego słówka: „Zapłać, Panie Boże.“

ANNA.

W grób swój, w pomroczone wrzeźbiony podziemie,
Ten pocałunek, po chwili zadrzemie
Snem ubóstwienia.

AMALA.

W rozstania się dobie,
Anno, ja więcej przekazuję tobie:
Honor, szlachetne, jednorodne dziecię;
Wskrześ go, podźwignij; niech w potomnym świecie,
Duchy pokoleń, praw, ludów, ogarnia,
Wiekom przyświeca, jak morska latarnia;
Synów rosnących niech ojciec ostrzega
Że jest cześć, ale nie miecza, zaguby,
Niech imię twoje, z ust do ust przebiega,
Młódź namaszczając, jako symbol wieczny
Cnoty rycerskiej.

(zewnątrz słysząc dźwięk trąb).

ANNA.

Ach! słyszysz? mój luby,
Te trąby, głoszą nasz sąd ostateczny.
Przed śmiercią... rozwiąż mi usta!

AMALA.

Nie mogę,
Ja oczyszczonym będę, lecz nie pierwéj,
Aż Bóg sam wskaże oczyszczenia drogę,
Przedtém, bądź niemą, płacz i milcz, bez przerwy.
Konam, z pochodnią wiary przed oczyma,
Że Otto rękę od gwałtu powstrzyma
Nad czią zmarłego.

Gdyby śmiał, nie ramię,
Lecz palec podnieść na to święte znamię
Niepokalanéj, rycerskiej pamięci;
Wtedy: masz prawo zerwania pieczęci.
Anno... bądź zdrowa!

(do Ebbj).

Ty, ojczy pokoju!
Jeszcze tve siwe włosy nie zbieleją,
Kiedy zawołasz „umierał z nadzieją.“

(słysząc dźwięk trąby).

Wiém, wiém: to hasło ostatniego boju;
Odhodzę, ojczy! ty ojcem bądź dla niéj—
Ojcem ..

(wchodzi kapitan straży i jego przyboczni).

Witajcież, goście pożądani.

Ojcze, wprowadź ją

(wychodzi pod strażą).

ANNA.

Słyszę—on kroczy,

Na śmierć—niewinny—i to w żywe oczy,
Słońcu południa, nim modra stolica
Bogu wyrzała przez okno księżycą,
Nim zasnął w mroku świat łez, krwi i chleba.
I brwi nie zmarszczą wiekuiste nieba,
I próżno pukam do ich niedościgle
Dalekiej bramy, zapartej na rygle.

EBBA.

O! nieszczęśliwa, i tu, na Golgocie,
Miarkuj się; gdyby każda myśl zbrodnicza
Miała zasepiać tych niebios oblicza,
To kiedyż słońce świeciłoby cnocie?

ANNA.

Czy już te oczy mi kłamią? czy szydą
Z bólów? czy same z bólów już nie widzą?
Ja im nie wierzę.

Ojcze, stań przy kracie,
Jak on wygląda? czy mężnie, czy ciosu
Z zimną krwią czeka?

EBBA *(u kraty).*

W wielkim majestacie:

Słońce olśniło kędziór jego włosu,
Spojrzał w to słońce, nie pobladł, nie spłonął;
Czuć, że duch wieczny wskroś niego przewionął:
Wielki Amala... wiekopomna chwila...
Już—już—nie zadrzał, teraz się pochyła.

(bocznemi drzwiami wchodzi Syfryd, staje na uboczu i przypatruje się obojgu).

— Dziecię! mów zanną *(żegnając się ukląkłszy).*

Panie! zmiłuj się nademną,

Według wielkiego miłosierdzia Twego.

ANNA *(zrywając się nagle).*

O! to dźwięk trąbki: tam kędyś za rzeką —
Tam, za podgórzem—daleko, daleko...
Słyszysz oddźwięki?

— Wszak to od północy

Leży cesarski obóz?

EBBA.

— Nie, od wschodu.

ANNA (*klęcząc*).

Ty, coś na świętym wschodzie zgon wszech rodu
 Powstrzymać raczył, przybądź ku pomocy.
 Ottonie, powstań; przecz w gniewieś się zaciął
 Na bojownika twego? Oto kat wymierza
 Pocisk na głowę wiernego rycerza:
 Ocal go, stratuj jego nieprzyjaciół.
 Wszak on stratował Twoich, starł: jak żmije
 Deptał.

Ach! (*z krzykiem rozpaczcy upada*).

EBBA.

Dziecię moje.

ANNA.

Już nie żyje.

Ja cios *poczułam*.EBBA (*zstępując od kraty*).

Wieczne odpocznienie:

Umarł!

SYFRYD (*pokazuje pismo*).

Patrz.

EBBA.

Co to jest?

SYFRYD.

Ułaskawienie.

AKT V.

SCENA I.

Sala rycerska.—W około zawieszzone flagi, zbroje, trofea, herby i t. d.—Ry-
 cerze zgromadzeni w uzbrojeniu.

HERMAN.—WELF.

HERMAN.

Mamy sąd...

RYCERZ.

Biada, rycerzu, kolego!

HERMAN.

Zhańbią nas wszystkich, niełaską jednego.
 Jasne pioruny! nie drwiny-ż to proste?
 Nos ucinają za to, że ma krostę:
 Dla ocalenia wdzięków...

(*Wchodzi Ulrych, Rajnold, kawalerowie i t. d. a za nimi kat.*)

(*do Welfa.*)

Co u licha?

Ogon czerwony zpod pięty Ulrycha
 Wyrasta?

WELF.

To kat.

HERMAN.

Co?

WELF.

Kat—i dyabelsko

Patrzy mu z oczu.

HERMAN (*do kata*).

A zasie, psie cielsko!

Bo trzasnę?

(*wciąż do kata, przechodzącego obojętnie.*)

Wara, rycerskie postacie

Plamić—słyszałeś? precz (*wypycha kata*).ULRYCH (*przerywając mu*).

Ależ mój bracie...

RAJNOLD (*szepcze do kata*).

Puścić to płazem; czekaj w korytarzu,

(*kat wychodzi.*)

Wiém, kto tę zwłokę wymógł na cesarzu.

HERMAN (*występując naprzód*).

Ja—i cóż dalej?

RAJNOLD.

Względu troszkę, względu.

HERMAN.

Na targu czeka Trubchen, mój kuzynek,

Sprzedając szpinak, jaja i barwinek;

Chciałby się także napatrzeć obrzędu:

I ciebie, mistrza...

RAJNOLD (*z gniewem*).

Panie?

HERMAN.

Co tu pilić?

Możnaby płuca świeżym tchem zasilić,

A nuż z nienacka, prawda się wyświeci?
Nuż ktoś, sięgając po skarb, wśród rupieci
I brudów duszy dojrzy, ku ohydzie,
Skielet sumnienia!

RAJNOLD.

Więc, o cóż tu idzie?

HERMAN.

Pytasz? więc nie wiesz, pod czyjém wezgłowiem
Jęczy zduszona prawda? Kto ją zdoła
Wywołać z więzów śmierci?... ja ci powiem,
Kto zdoła, winien, musi, i wywoła;
Król furji, który klnąc światu zatrata,
Przed samém królów berłem się nie korzy:
Ogień.

RAJNOLD.

Co słyszę! ogień? to sąd Boży?
O! cesarz nigdy nie zgodzi się na to.

HERMAN.

Rycerz—więc musi. Niegdyś nasze panie
Aby ująć pług na zamaskowanie
Szałów młodości, dla skrycia zakały
Przekupywały świadków; ot, niebogi,
Stawiać na okaz, białe, czyste nogi,
Jakoś szczęśliwie krochmalić umiały
Imię pomięte i honor obwisły.
Dzisiaj i wiara ma swoje wymysły,
Znamion chce jawnych: znamiona naczyniem
Wiary być muszą.

WELF.

Jak zbadasz skrytości?

HERMAN.

Dziś z prawdą poczynają jak z budyniem:
Gotują prawdę. Oskarżasz, mój mości,
To zanurz ręce w kipiącym ołowiu;
Jęknąć—broń Boże—lada szczerb na zdrowiu,
Lada spaczenie—przegrałeś: z kadłuba
Zdejmą ci głowę.

WELF.

A jeżeli próba

Padnie zwycięzko?

HERMAN.

A! wtedy wyzwany
Musi umierać; gdyby jakieś ślady
Fałszu, sam kościół... sza!—Otto się zbliża.

(*Wchodzi Otto uzbrojony, w orszaku idzie Syfryd, wielu rycerzy i otoczenie*).

WELF.

Czyż to jest Syfryd? iście zdjęty z krzyża,
To zmore w zbroi—ależ blady, blady!

HERMAN.

Nie dziw—tu noce bezsennością drażnią,
Tam sny widmami straszą wyobraźnią;
Odcięta głowa upiora przybłądy,
W próżni zawistszy, posoką ocieka,
Do ucha szepcząc mu krwawe legendy,
A słowik czarny—sumienie, dopieka.
Ottoniel! chętniej w szalonej odwadze
Stoczyłbyś gotów potyczek czterdzieści,
Niżli pogrozić tój jedwabnej fladze,
W bojach zszarzanój.

SYFRYD.

Hej! znikłeś bez wieści

Mistrzu wezwany!

(*kat wraca*).

OTTO (*przed trofeami Amali*).

O! niech się napieszczę
Twoją pamięcią—niech pożyje jeszcze
Chwilę cześć twoja; widziałem, jak świta,
Jak wre, jak wokół grzmią jezdne kopyta,
Aż wraz szlachetnym rumieńcem zapłonie
Wojna-Dziewica!

HERMAN (*opierając się na mieczu*).

Do dzieła, Ottoniel!

Głupie są dzieci niewiasty; ich duchy
Mędrsze,—lecz *jego* duch tobie przebacza.

SYFRYD.

Pewnie go spłodził chłop, a krew prostacza
Snadnie się w zbrodni obwija łańcuchy.
Bitny bo bitny—ale krwią plugawy.

OTTO.

Wiész ty, Syfrydzie, co to jest Bóg sławy?
Wiész ty, że wojna własny szczep wytwarza?
Ilota w zbroi, tak dumnie ci kroczy
W polu czerwieni, jak i syn cesarza.
Pod tchnieniem śmierci bratnio się jednoczy
Proch z prochem; może ze zgliszczów pogrzebu
Niewolnik rychlój wzbije się ku niebu.

Nie mów mi przeto, że w rycerskim szranku
Męstwo prawdziwe świecić nie jest w stanie
Bez gwiazdy rodu.

HERMAN (*do Syfryda, na stronie*).

Połknij to, kochanku.

Co? smaczne?

SYFRYD.

Jesteś gbur.

HERMAN.

Jak z kim, mój panie.

OTTO.

Jeśli, panowie, razi wasze oczy,
Że sprawiedliwość leniwie się toczy,
Słuchajcież: chłopiec ten (o złote czasy!)
Dłoń moję wprawiał w rycerskie zapasy;
Lecz (prawda w samym gniewie niezachwiana
Wyznać tu każe)—on ręką Tytana
Potrząsał drzewem,—ja, licząc w konary,
Owoc zbierałem.

SYFRYD.

W obec takiej kary

Na wiarołomcę, jakież to zaszczyty,
Jaką nagrodę zyska prawowity?

OTTO.

Słuchaj: zabiłem zbrodnię; nie zabiję
Sławy—z człowieka włókna się rozprysły;
Pamięć rycerza śmierci nie zażyje.

(*niespokojnie, spojrzawszy na trofea*).

Panowie! chyba zemnie szydzą zmysły;
Oto chorągwi, jakby wzdęte żagle,
Fakdy jedwabne zatrzęsły się nagle,
Niby coś szepeczą: „nie tykaj zuchwalcze!“—
Pierw śnieg i płomień ślubem się połączą,
Niż Ja i Hańba.

Nie—ostrza rozplączą

Cudne przedziwo Marsa... Hej! służalcze
Sromoty, przybądź—i piętno zakału
Wyciśnij—żywo—i precz!...

(*W chwili gdy kat porywa trofea Amali, ukazuje się Ebba, wprowadzając Annę w welonie*).

EBBA (*do kata*).

Stój, szatanie!

OTTO (*podnosząc rękę*).

Kto śmie przerywać bieg ceremoniału?
Kto?..

ANNA.

Sprawiedliwość, Najjaśniejszy Panie!

OTTO.

Wyrzekła swoje.

ANNA.

To drwiny, nie słowa.

OTTO.

O! zgrozo, kto ty jesteś?

ANNA.

Jestem wdowa,

Wołam o sąd i prawo.

OTTO (*zasiadając na krześle*).

Przystąp bliżej:

Słucham i sądzę.

ANNA.

On siedzi wysoko.

OTTO.

Kto?

ANNA.

Mój wróg.

OTTO.

Pan Bóg, nad nim, jeszcze wyżej.

ANNA.

Mogę więc ufać w sprawiedliwe oko,
Króla?

OTTO.

Jam sędzia, i sądy poczynam,
Ufaj więc.

ANNA.

Zaknij się na tron.

OTTO.

Zaklinam.

Mów!

ANNA (*drżącym, uroczystym głosem*).

Co orzeka sprawiedliwość mściwa

Na tego, co krew niewinną przelewa?

OTTO.

Śmierć; tak mię wspomóż Przenajświętsza Trójco!
Śmierć, bez odwłoki.

ANNA.

Ty jesteś zabójcą,

Ty... Ten, którego skazałeś na ścięcie,
Mąż mój, Amala, był niewinnym; święcie,

Rycersko wierny potrójnej przysiędze:
Księżnie, książęciu i Bożej potędze.
Królu, zejdz z tronu; ja, Amali żona,
Głowy się twojej domagam.

(ruch i szemranie w sali).

SYFRYD.

Szalona,

Szalona: straż! usunąć tę zmore.

OTTO.

Ani się ważcie stawiać mi zaporę
Pozwaniu sprawcy, choćby ostrzeżono,
Ze każdy z jego włosów jest koroną.

SYFRYD.

Ależ ta jędza niech wie, niech pamięta,
Ze twa cesarska osoba jest święta.

OTTO.

Jakto?

SYFRYD.

Na mocy praw.

OTTO.

Ja też nie siłą:

Prawem króluję; przebóg! tożby było
Hańbą, gdybym ja, stróż arki przymierza
Ludów z bogami, praw ochronna wieża,
Głowa i serce, sam wyzuł je z prawa.

(do Anny).

Mów: czy grożąca z ust twoich niesława,
Ma dowód? świadka?

ANNA.

Chcesz świadka zobaczyć?

(za danym przez Annę znakiem, odkrywają ciało Amali, w trumnie, u wejścia).

OTTO.

To on... niewiasto, mów, co to ma znaczyć?

ANNA *(wpatrując się we zwłoki, ze zdumieniem).*

O! dziwo... czyżby serce mego pana
Czuć jeszcze mogło? Od rana do rana,
Siedzę nad zmarłym; wszak nie tak daleki,
Czas od świtania—suche miał powieki.

A teraz?

(zwracając się do zgromadzenia wskazuje ręką na zwłoki)

Patrzcie wy ludzie bez serca,
Czyż to nie duma? nie spokój głęboki?
Kto z was śmie wyrzec: „tō był przeniwierca,
Zbrodniarz!”

OTTO (*odwraca oczy*).

Kobięto, zasłoń mi te zwłoki.

ANNA.

O! królu, cząstka, którą ci przyniosła,
Jest twoją. Moja, do niebios przyrosła,
Już się nie lęka pogromów tyrana.
Króla przed Królem skarżę, ja stroskana;
Zejdź z książęcego krzesła; bierz, olbrzymie,
Śmierć za śmierć.

SYFRYD (*do Ottona*).

Mąż ten pokalał twe imię.

ANNA (*do Ottona*).

Życie, tak czyste, kazałeś mogiłą
Zasypać!... prawda, twojém ono było;
Przez lat dwadzieścia, dni i noce spędził
W usługach tobie; tyś *ciała* nie szczędził,
Ale *duch* żąda, aby tam po zgonie,
Pamięć imienia wzbija się bez skazy,
A pamięć nie wiesz, że ceni się drożej
Nad miliony!... Wahasz się Ottonie?
Otóż: pozywam ciebie przed sąd Boży.

(*poruszenie w sali*).

OTTO.

Dzika niewiasto, cofnij te wyrazy,
Czy to wieś marna, czy dowód bezsilny
Potępił zbrodnia? powiedz nieszczęśliwa!

ANNA.

Więc topór kata ma być nieomylny?
Lub ta, słońca bezprawie, pokrywa
Ceremoniału? czerń, co zwykle broni
Zwycięzcy? motłoch?

OTTO.

Przemów-no ty do niéj
Hermanie! na co się waży szalona.

ANNA.

Rad mi nie trzeba. Śmiało, po ramiona
Zapuszczę ręce w gorejący ołów,
Bez obrażenia. O! gdyby te siły,
Wątła ta postać, jednym nerwem były
Nagim; to zdam go na łaskę żywiołów
I na niełaskę. Prawda się ostoi
Przed Bogiem. A cóż *ciebie* niepokoi?
Na Pomazańcu boleść nie postanie;
Przedemną anioł rozbroi pożogę;
Postanowiłam!...

OTTO (*z wahaniem się*).

A więc ty, kapłanie,
Zwróć ją na tory rozwagi.

EBBA.

Nie mogę.
Uleż musiałem naleganiom wdowy,
Gdyż mi się zdało słyszcć zaświatowy
Głos, który nasze padolne te kraje
Rzadko nawiedza.

OTTO.

Wszak jeszcze zostaje
Próba przez miecze; niech sobie obierze
Rycerza.

ANNA.

Panie! są dzielni rycerze,
Lecz kiedy chwila stanowcza doścignie,
Najdzielniejszemu prawica się wzdrygnie,
Godząc na ciebie. Nie, sama ja stanę!
Stanę i ufam, że Wszehmoc niebieska
Da mi wygraną; a ja za wygraną
Głowy twój żądam. Ocalenia deska,
Jedna dla ciebie: znieś wyrok niesławy,
Rzeknij do wieków potomnych „był prawy,
Nieskazitelny był,” a na potwarcę
Ja wydam wyrok.

OTTO (*zrywa się*).

O! wściekły obłądzie!
Chciałaś potopu? zamykam drzwi w arce...
W więc księżna tobie do nóg słać się będzie?
W więc winną fałszu my księżnę uznamy,
Tak oddaloną od grzechów i plamy,
Jak cherubińska piękność od poczwary,
Jak ty i gniazdo twe, od czci i wiary.
O! za stu mężów, gdyby w nich zpod stali
Serce tak biło, jak biło w Amali,
Otto do sromu ręki nie przyłoży!
Nie, nie!...

Kobięto, wybieram sąd Boży,
Ale, pamiętaj! jeśli cię omyli
Zakład śmiertelny; jako winna zbrodni
Zamachu na mnie, ty umrzesz w tój chwili!...

ANNA.

Umrę w tój chwili.

OTTO.

Mężowie czcigodni,

Wzywam was!

(*do Anny*).

Twoja, albo moja głowa!
A teraz spowiedź, niech będzie gotowa
I moja dusza; czas boży nie zwleka,
A jak Bóg Bogiem, z dwojga z nas, zaiste,
Jedno zachodu słońca nie doczeka.

(*wychodzą*).

SCENA II.

(Galerya w pałacu.—Marya wchodzi blada i znekana pod opieką Irmengardy i Kunigundy).

KUNIGUNDA (*na stronie do Irmengardy*).
I tak bez końca, tuła się i tuła.

IRMENGARDA.

Snu jej potrzeba, gdyby sen poczuła
Na swych powiekach, to jak głos lekarza
Zmusiłby chorą legnąć na postanie.

MARYA (*oblędnie*).

Spocząć, ach spocząć!... Nigdyż nie ustanie
Ten pogrzebowy pochód do cmentarza?
Ach! ach, przeklęty zakrystyan, wciąż kłamię—
I grób już minął;

Okryjcie mi ramię.

IRMENGARDA (*do Kunigundy*).
To serce mówi do niej: „wejdz na łożo,
Spocznijsz!”

MARYA.

Doprawdy? Nie! to być nie może.
Pierś ta jest pustą; świetny pałac Boga
Łukiem środkowym zapadł się do proga;
Na odświęconym dziedzińcu, gonitwa
Robaków; węże wstrętne kręgi toczą,
Oczyszczająca zagasła modlitwa;
Tylko z wiatrami wiatry się szamoczą,
Majestatyczna wieża w gruz upada:
Paszczą, zbroszoną w krwi, wilków gromada
Wietrzy i wyciem napełnia pustkowie;
Prawdziwe gwiazdy spadły.

Daj wezgłowie,

Spocznę!

IRMENGARDA.

To miejsce zneka cię, oziębi!

MARYA.

A on? on spoczął jeszcze głębiej, głębiej!
Suknię, wezglowia, strój, pasma, pasemka,
Wszystko znieś!

(pochyla się, przemożona znużeniem, przynoszą poduszki i t. d.)

KUNIGUNDA *(na stronie do Irmengardy)*.

Czyto sen?

IRMENGARDA.

Niby to drzemka;
Lecz nie spoczynek. Gdyby jakaś miła,
Rzewna muzyka nad śpiącą kwiliła,
Taka, wiesz? co to myśli nie zamąca,
Ale kołysze; pieściwa, wabiąca,
Dawne wspomnienia, tajniki najskrytsze:
Poproś Lotara, niech zagra na cytrze.

(wewnątrz słychać muzykę).

KUNIGUNDA.

Lotar dosłyszał.

(słychać cichą, melancholijną arya, przerywaną chwiltami, w miarę, jak Marya mówić przestaje).

MARYA *(szepcze na w pół sennie)*.

O! nie śpiesz mój drogi,
Beau Sieur Amala, oszczędzaj ostrogi;
Już Langwedocya! rumak niezużyty
Raj nam przebija dumnymi kopyty.
Nie śpiesz! zaklinam ciebie, żałośnica!
Na czarne oczy, twoje czarne włosy,
Dumę i miłość, co ją tak podsycą,
Na te bezdenne, ozywczę niebiosy,
Z których błękitnej cysterny wskroś cieką
Strugi żywota. Jużem tak daleko!
A zda się, jakby wczoraj do strumieni
Śniadój Hiszpanii, tętniących nieśmiało
Do gór, do jarów, do leśnej zieleni,
Słów pożegnania echo dobiegało;
A dziś, na skroniach gór, na basztach grodu
Krwawo-czerwone draperye zachodu
Słońca Germanów; dziś ochrzypła żmija,
Ren, powitalnie falami wywija.
Tak, już daleko!

Słychać dzwon, w kościele
Cizba—kochanku, widzisz! to wesele?
Królewna chaty o dorodnym wzroście
Będzie królową; w ich orszak ochoczy
Wejźmy na chwilkę, nieproszeni goście;
Z błogosławieństwem! bodajże te oczy

Miłości—wszędzie widzą miłość, wszędzie.
 Stańmy! czy rumak płoszy mi się w pędzie?
 Czy moją rękę, kraj ten głuchoniemy
 Władzy pozbawił od zimna?

Rycerzu!

Ty mi przyrzekłeś, tam! na odwieczeru
 Słótko tajemne; pierw, niż odjedziemy;
 Tajemne! ale być miało złowrózbie.
 Póki czas, powiedz! zapomnij o służbie!
 Czyż miłość nie jest droższą niż korona?
 Nie śmiesz?—zapóźno! już tętnią kopyta,
 Drżą dzidy, w grzmocie wybucha z chmur łuna
 Los mój cesarski! a dusza zabita!
 Widzisz? zabiłeś! mnie krwawe łzy płyną,
 A ty je tarnią ocierasz!—Gadzińo!..
 Ha, minstrel! drzemkę, nudy chciał odpędzić;
 Precz knechcie. Jaktó? ja mam go oszczędzić?
 Jestem kobietą.

IRMENGARDA.

W oczach nam uwiednie,
 Snując pasemka smutku, aż ją dojmie
 Obłąd ostatni.

(wchodzi Syfryd).

Kto, tak nieogłędnie
 Śmie tu przerażać chorą?

SYFRYD *(okazując pierścień cesarski).*

Mam rękojmię

Woli cesarza; a jeśli On wskaże,
 To przyznasz pani...

MARYA *(zrywa się).*

Kto tu jest? Lotarze!

IRMENGARDA.

Vou Syfryd.

SYFRYD.

Z sali rycerskiej przybywa
 Z wieścią niezwykłą, księżno miłościwa.

MARYA.

Zaprawdę, jeśli duch trupa Amali,
 W przedśmiertnym majestacie, z groźną twarzą,
 Strasząc was, kroczy po rycerskiej sali,
 Wcale mię twoje wieści nie przerażają.

SYFRYD.

A przecież straszne przebiegły tam dzieje,
 Od których krasny policzek sinieje,

I zwiędnąć może, jak róża od szczyrbu
 Szpon nawałnicy. Otóż, można pani,
 W poważnej ciszy staliśmy zebrani;
 Wtém: przed skruszeniem hrabioskiego herbu
 I tarczy, dziś już shańbionej, na salę,
 Wdziera się jego żona i zuchwale,
 Głosząc niewinność męża, zażądała
 Sądu Bożego.

MARYA.

A księcia uchwała,

Odmawia?

SYFRYD.

Owszem, zalecił dosadnie
 Przygotowania do sądu.

MARYA.

Więc, gdyby...

Gdyby przegrała?

SYFRYD.

Wtedy, bez pochyby,
 Za potwarz, głowa jój pod mieczem padnie.

MARYA.

A gdyby?...

SYFRYD.

Pytasz, księżno? o! daremnie;
 Sercem odgadnij, czyja krew tu idzie
 Na stawkę—przebac: nie wyjdzie odemnie
 Wyroczone słowo.

MARYA.

Ha, więc to, Syfrydzie...

Drugie morderstwo, zły duch i niewiasta,
 Ziarnko zasiali, i oto wyrasta
 Kwiat świętokradztwa—zbliża się godzina:
 Cóżes wyczytał na twarzy Ottona?

SYFRYD.

Spokojność, która do skonu nie skona;
 Jak w chwilach boju, kiedy hełm podpina
 Przed sprawą śmierci; nie zamglony troską,
 Na sąd i panią przezemnie zaprasza.

MARYA.

Mistrz, mistrz! bo przyznasz, że wybrał mistrzowsko
 Na posła, ciebie, Syfrydzie, Judasza,
 Wspólnika zbrodni, o nie: to przewisko
 Zbyt jeszcze blade: węża kusicicla.

SYFRYD.

Pani!

MARYA.

Łuk pomsty, niepochybnie strzela:
Słowa nie cofam. Stanęliśmy blisko
Kresu téj stęchłej legendy żywota.
Co tu żal trwonić? lub okruszać z błota
Głos prawdy? *ty* mnie zgubiłeś nikczemie...
Czego drzysz? zbójco! to kiedy się we mnie
Serce ocknęło, rękę mą odwiodło
Ku przebaczeniu, ty, prawicą podłą,
Jęk miłosierdzia zdławileś—ha! z czoła,
Krew ci do serca ścieka!

Mój, zatruty, .

Bitny wojaczku! klękaj do pokuty,
Bo „dnia trzeciego głos trąby anioła,
Zabrzmi nad tobą” czyś słyszał, czyś zbadał
Wróżbę Amali?

SYFRYD (*obojętnie*).

Trzy dni już minęło,

A żyję.

MARYA.

Tak i Cezar zapowiadał;
A fatum uśmiechnęło się, bo głucho
Tłało pod ziemią bratobójcze dzieło;
Kaska, miecz ostrzył.

Ty pałasz otuchą?

Szczęśliwy, gdybyś ją we mnie rozzarzył,
Tchem jednym, jedną iskierką obdarzył;
Jabym ją berła najdroższym klejnotem
Okupić chciała.

SYFRYD.

Księżno, potem o tém.

Nie traćmy czasu, cesarskie rozkazy
Naglą i ciebie, spieszmy się, królowo.

MARYA.

„Naglą?” Syfrydzie, jegoż to wyrazy?

SYFRYD.

Tak.

MARYA.

Jest to pierwsze i ostatnie słowo
Rozkazu.

(do Kunigundy, ofiarując jęj podarek).

Żegnaj, pieść się z tą perełką:
Na radość, w oczku jęj mignie światelko;
Na smutek, łez cię nauczy.

KUNIGUNDA (*klękając*).

O księżno!

MARYA.

Pójdź Irmengardo; pan, przewodź na czele.
 Wszak to rzecz wasza, dusz przywłaszczyciele,
 (Zwani rycerstwem) wołą wszechpotężną
 Na odpust zgrozy pędzić nasze tłumy,
 Ssąc krew z ich twarzy, oblicze swój dumy
 Krwią tą rumienić... Bezbożny odwiecie
 Za stronność Bogu, że wam dał w kobiécie,
 Zadatek siebie, niedowagą siły,
 Czuciem dowążył. Nie onaż w zawily
 Chaos żywota tchnęła Boże tchnienie;
 Z pochodnią w rękę, aby się pustkowie
 Przyjrzało sobie... Mężowie, mężowie!
 Silni na gwałty, mądrzy na zwodzenie.
 Co wy poczniecie, gdy Stwórca zasiędzie,
 Na wiec ostatni, a świadczyć Mu będzie,
 Niema łza nasza?

(wychodzą).

SCENA OSTATNIA.

Nawa katedry św. Jana.—Kaplica i ołtarz w jej środku.—Kapłani.—Ambo-
 na.—Przygotowania do ordalii, na podwyższeniu stoją dwie głębokie wazy,
 z piecem pod każdą i inne przyrządy, w oddali u drzwi głównych, otwartych,
 widać pień karny i kata.—Straż.—Księża i t. d.

*(od prawej strony wchodzi Otto i jego orszak, z lewej Ebba i Anna)*OTTO *(do Hermana)*.

Kroczy, jak gdyby natchniona; Hermanie,
 To, albo wiara, albo obłąkanie.

HERMAN.

O! ta kobiéta nie jest obłąkaną.

OTTO.

Czytamy w dziejach o cudownej skrusze,
 Że miłość mocną jest uspić katusze,
 Że wiara w Bogu (wszak krewne to miano:
 Miłość i wiara) z językiem ognistym,
 Z lawą ołowiu, może igrać sobie,
 Jakby z różyczką, o porannój dobie,
 W rosie skąpaną. W jej duchu przejrzytym,
 Jest głąb' tajemna: trupio-niema, głucha,
 Utkana z włókien męczeńskiego ducha.
 Przysięgłbym że jej piekielna ta masa,
 Co wrąc, krwią, kości szpikiem się wypasa,
 Boleć nie będzie, że tu wiara, wyśle
 Puklerz przed ogniem.

HERMAN.

O! i ja tak myślę.

OTTO.

Tak, tak: urągać nam będzie na chwilę,
Świadczyć, więdnącym, zmarszczonym w bezsile,
Liliowém ciałem... strasznym jest sąd Boży!

A potem? niebo cudów dziś nie tworzy,
Biedna duszyczko, z obłędu bezdrożna...
Może, i prawa.

Gdyby jeszcze można
Wstrzymać sąd.

HERMAN.

Można.

OTTO.

Jak? bo konam z szafu.

Jak?

HERMAN.

Panie, możesz odmówić ordyaku.
A kościół (po cesarzu, w pierwszym rzędzie,
Sędzia téj sprawy), błogosławić będzie;
Ty, lud stroskany—że z głową téj wdowy
Ważysz los twojej namaszczonej głowy—
Tybyś królestwo, tybyś świat pocieszył.

OTTO.

Otóż, Hermanie, twój głos mię rozgrzeszył.
Chcę sądu.

HERMAN.

Paniel

OTTO.

Potomni usłyszą,
Że „był król Otto,“ ale nie dopiszą,
„Że w sądzie Bożym zejść nie chciał z wierchołka
Dumy, na pozew nędznego pacholka.”
Wszystko gotowe?

EBBA.

Tak, na zagajenie
Czekam królowej.

OTTO.

A właśnie przybywa.

(*wchodzi Marya, w towarzystwie Irmengardy, Syfryda, Lotara i innych, straż-
że i t. d.*).

Gość pożądaný; niestety, na scenie,
Arcyzłotróżbnój; księżno miłościwa,
Zasiądź.

MARYA.

Gdzie?

OTTO.

Przy mnie.

MARYA.

Nie siądę na tronie,
Wśród widowiska krwi: posadź mię w gronie
Najuniżeńszych.

(zasiada na niskiem krześle w pobliżu tronu).

OTTO.

Niech powódka złoży
Swój głos ponownie.

(występuje Anna).

Czy nie odwołujesz?

ANNA.

Nie.

OTTO.

Więc wszem w obec otwieram sąd Boży.

(Od wnętrza słyhać głos organów.—Śpiew, podczas którego powstają wszyscy.—Ebba, towarzyszący mu kapłani i t. p. wchodzą na podwyższenie, przygotowane do ceremoniału).

EBBA.

Wielkie a wszechwidzące nieba! w których ręku
Ów kruszec, próżen myśli i marnego dźwięku,
Stać się ma, w imię Boga, waszym niewolnikiem,
Opatrzonym potęgą życia i językiem!

Niech ta niewiasta, mimo cielesne kalectwo,
Wolna od mąk, o prawdzie złoży tu świadectwo.
Niech mocą namaszczenia, przez lawę gorącą
Wyjdzie i oczyszczoną i oczyszczającą.

(Śpiew.—Napełniają wazy; ogień rozżarza się w piecach).

Niech niewinność i prawda, zdradziecko zabita,
W majestacie jawności przed nami zaświta,
A ten żywioł, co prawych żarem nie dosięgnie,
W ciele winném niech broczy, w mózgu, krwi i ścięgnie;
Niech dumną dłoń piekielnych mąk ukropem parzy,
Że śmiała drażnić Boga bluźnierstwem potwarzy.

(Śpiew w tonie minorowym — dwaj księża i dwaj rycerze prowadzą Annę na miejsce obrzędu).

Powódko, słuchaj: jeśli jaka plama
Kazi cześć twoję, której dziś ty sama
Życiem masz bronić, to gwoli tój plamy
Wzywamy ciebie, owszem, zaklinamy
W imię kościoła, zbawienia, czci bratniej:
Odstąp, powódko, odstąp; raz ostatni
Powtarzam: odstąp...

Lecz jeśliś bez zmaży,

To wejdz...

(Po ostatnim jego wyrazie, Anna wchodzi na podwyższenie.—Ebba zstępuje).

OTTO (nakazująco).

Hej! bacność na moje rozkazy.

Gdy skinę palcem, zagasię paliwa

Natychmiast...

(Anna zwraca się twarzą do widzów, i nie spuszczając oczów z cesarzowej, ręce obnażone po ramiona zanurza w wazach.—Chwila ciszy — a po niej następuje ruch niespokojny wśród widzów).

GŁOSY (pomieszane).

Cud, cud!... Tam Bóg się odzywa

O wyrok...

OTTO.

Dziwne, niepojęte rzeczy;

Albo nie czuje — albo nad-człowieczy

Owiął ją spokój,—albo ja w obłądzie

Marzę.—Już dosyć.—Starcze, więc to będzie

Dowód stanowczy?

EBBA.

Byle tylko ciało

Do końca śnieżną białość zachowało.

HERMAN.

Zachowa.

OTTO (niecierpliwie).

Dosyć....

EBBA.

Władzco namaszczony,

Nieubłagalne są nasze kanony:

Jeszcze minuta. Nie przyspieszaj chwili;

Skoroście życie na szale włożyli,

Z jej ocaleniem, panie, *twoje* życie

Upada,—niech się wola nieba święci.

ANNA (nagle, tuląc się do Irmengardy).

Kto stanął przy mnie?—czy widzisz ty, dziecie,

Mgłę tę błękitną?... wije się i kręci

Nad roztopioną lawiną rozpręża,

Mgła jadowita, stęchła, jak dech węża.

IRMENGARDA.

Ach!

MARYA (zrywa się).

Nie patrz na mnie—chcesz mi duszę w łonie

Przepalić—ona płonie, płonie—spłonie.

Ludzie, szatani, wy ludzie-szatani.

Zagaście ogień piekielny, zagaście.

O! już nie piecze, nie trawi, nie rani,

On ssie krew.

(Rzuca się ku Annie. Straż zastępuje drogę lancami).

EBBA *(oziębłe).*

Jeszcze mgień oka dwanaście.

!MARYA.

O! klątw dwanaście; o! dwanaście kroci
 Błuznierstw wszechświata—książęta, iloci,
 Mnichy, żołdacy! niech spadną przekleństwa
 Na wasze karki, dżumo człowieczeństwa!
 Chcecie wy prawdy? to ją z krwią wyleję...
 On był niewinnym!

OTTO *(zrywa się z tronu).*

Zagasić płomienie.

MARYA.

Wiernym tronowi—świętszym nieskończenie
 Nad świętość!

Nie wy, guseł kaznodzieje!

Ja go zgubiłam! ja!...

(upada na podwyższenie).

OTTO *(wskazując ręką Annę).*

Kto w Boga wierzy,

Wynieść ją!

EBBA.

Ta niewiasta nie należy
 Do królów ziemi; ciała męczennicy
 Tknąć się nie godzi niczyjój prawicy,
 Jako niczyja, łzy jej nie otarła
 Przed umęczeniem.

OTTO.

Mój ojczel!

EBBA.

Umarła.

Ciało zabite; ale tam! duch czujny
 Tryumf nad zdradą obchodzi podwójny.
 Bracia! te zwłoki namaszczenia trudem,
 Sepłniły swoje—złożmy je na mary.

(podnoszą ciało Anny i składają na wezglowiu).

SYFRYD.

Umarła? proszę! i to ma być cudem?

EBBA.

Człowieku! ślepych oczu, słabój wiary!
Nie cudem; niebo cudów nie roztrwania
 Na drobne plagi; ani dla zdeptania
 Jednej złej duszy, jednej krnąbrnej chuci,
 Praw swoich snopa wszechświat rozrzuci!
 Proszszemi węzły duch Boży zespaja
 Plemię światłości, a wrogów rozbraja.

Widzisz ich? hołdów okadzeni dymem
 Pod wielmożności kroczą baldachimem;
 Ale nie widzisz, jak gwiazda przewodnia
 Drogi ich znaczy; mniemasz, że wśród prądu
 Oni zaginą? O nie! ta pochodnia
 Wyda ich.

OTTO.

Teraz wracajmy do sądu.
 Składam koronę,

(zdejmuje oznaki monarchy).

Której już nie włożę
 Na moje skronie. Daj to wielki Boże,
 Aby nie czarna, jak pogrom dzisiejszy,
 Ale promienna myśl, sąd spokojniejszy
 Wdziął ją na skronie następcy. Ojczyzno!
 Jam nic dobrego nie spełnił dla ciebie!
 Lecz *złe* usunę; lecz w gruzach zagrzebię
 Obchód ten, tchnący mordem i zgnilizną;
 Dziś już ostatni:

Znoszę ordyaty!

Z góry przeklinam w historii te karty,
 Któreby kiedyś poważić się śmiały
 Ze czią, odciérać rys smutny, zatarty.
 Ebbol! acz sprawa nawpół rozświetlona,
 To przecież z mroku wynurza się strona
 Fałszu i prawdy.

Słuchajcież: kat czeka,
 Czeką i zbrodzień.... ja!

EBBA.

Kanon orzeka
 Inaczéj; ksiązę w ojcowskiej dobroci,
 Łez nam oszczędzi i nie osieroci
 Matki ojczyzny; oto niechaj staną
 Trzy zamki, niechaj potrójne ich miano
 Znaczą trzy łaski Boga-Zbawiciela,
 Które ci kościół przeczemnie udziela
 Ku odpuszczeniu grzechów!

OTTO.

Niech tak będzie!
 A teraz, kogoż na pomszczenie wyda
 Dłoń moja?

(drżącym głosem do Maryi).

Ciebie, smutne współnarzędzie!

MARYA.

O! pierw na mego współnika, Syfryda!

On uknuł zbrodnią; on widmem bezcześci
Drażnił.

OTTO.

Syfrydzie!

MARYA (*przerywając mu*).

On we mnie zaciekle!

Krew parł ku zemście! on siał opowieści
Oszczęstw Amali!

HERMAN.

Fałszywe jak piekło.

MARYA.

Wiém o tém. Ale jest tu tajemnica
Jeszcze straszniejsza; kiedym ja, nędznica,
Chciała zawiesić, a potem, przez gońca,
Wyrok odwołać kazałam; kryjomie
Zdrajca ten, rozkaz przetrzymał do końca....
Amala umarł!

OTTO (*z najwyższym uniesieniem*).

Ty plago i sromie

Rodu męzkiego! Strącam cię ze szczytu
I czci rycerskiej, a z godziną świtu
Oddaję katu! skrusz się aż do zębów
Sumienia swego; pierwszy brzask słoneczny,
Ludziom da światło, a tobie--mrok wieczny,
Kędy płacz będzie i zgrzytanie zębów!

(*Straż wyprowadza Syfryda*).

A ty, przylotne! zalotne ździebełko,
Moje prześliczne, fałszywe światło!
Nie wódz ty dłużej dusz na pokuszenie;
Zejdź z oczu świata! tam kędyś w zacienie,
Gdzie niéma oczów!

MARYA.

Przebaczysz?

OTTO.

Po zgonie,

Na strasznym sądzie.

MARYA.

O! pierwej Ottonie

Przebaczysz! mszczę się za ciebie. Bądź zdrowy!

(*upada*).

OTTO (*rzuca się rozpaczliwie i porywa ją w objęcia*).
Maryo, co czynisz?

MARYA.

Zdejmuję okowy

Słońcu przyszłości twojej.

O! jak błogo...

Pierw, niż marzyłam.

OTTO.

Ratunku!

MARYA.

Dla kogo?

(z jękiem cisnąc rękę do serca).

Niż już przecięta; poco się tu żalić!
Jedno mię niegdyś mogłoby ocalić,
Jedno—dziś gdyby ziarnko piasku morza,
Co się tam siania w ziarnek milionie,
Dźwignąć mnie miało z śmiertelnego łoża,
Władzco, jabym się nie schyliła po nie;
Złóćcie mię przy niěj.

(kładą ją obok Anny).

Bliżej, jeszcze bliżej!

(całuje Annę).

Jaka słodziuchna jěj twarz!

O kochanko!

Czemuś mi siostrą nie była? bratanka?
Mybyśmy społem błąkały się, chyzjój
Od wiatru biegły polnego; światami
Lasy nam były, lilie koronami;
Ani świadomym o waśniach, żalobie,
Bo z kąd tam waśnie? z kąd lzy?... Żadne, żadne.
Wielki Ottonie! niedługożem tobie,
Świat twój mroczyła. Maluczko, a spadnę
W otchłań ponocną; wtedy z pod mogiły
Błysznią dni nowe i będą świeciły
Spokojem tobie.

OTTO.

Nie błysznią, nie błysznią!

Maryo przebaczam tobie, choć zawisną
Przeklinam dolę; a jak ja na ziemi:
Niech i Bóg w niebie usty ojcowskiemi
Odpuścić raczy!

Zbladła, pierś się wzdyma:

Ciebie mój ojczec! przyzywa oczyma.

(zbliża się Ebba).

Prowadź ją!

(Ebba prowadzi Maryę do kaplicy).

MARYA.

Umarł!—duch jego na szali
Waży się z moim. Ale nie truchleje,
Przed widmem jutra... spełniły się dzieje!
Zamknijcie księgę: niech u stóp Amali

Śpi do dnia sądu! przed światem zakryta,
 Aż jój skrytości on kiedyś przeczyta!
 Jedyne tłumacz; cóż jest na tym świecie
 Nie tajemnicą? wy! zbożni, snujecie
 Siatkę pajęczą, którą mędrzec zimny
 Starga szponami—tak! wieczną koleją,
 Serca tu płaczą, rozumi się śmieją.
 Proch nad próchami!

(słychać dzwon pogrzebowy).

Rozumiesz te hymny?

Jakaś tam dusza wylekła od gromu
 I mąk, powraca szczęśliwie do domu;
 Szczęśliwie, z wiarą!...

(szepcze, jakby wtórując hałsu dzwonów).

Duch się korzy, kruszy ciało,

Bujne serce spopielało;

Jako ongi Magdalenie:

Daj mnie grzesznej odpuszczenie!

Próżność próżności i proch zatracenia.

IRMENGARDA *(do Ebby)*.

Przemówcie do nięj, twarz dziwnie się zmienia!

Duch spływa w oczy, aż go ubezwładnią

Bole.... O! Stwórco! ulituj się nad nią;

Odpuść jój!

[MARYA *(słabnącym głosem)*.

Gdzież jest chorągiew Anali?

Tu! widzę, widzę, więc nie rozszarpali?

To dobrze! gdzież jest tarcza?

LOTAR *(wskazując ręką)*.

Tu!

MARYA.

Gdzie? ciemno!

Dojrzyć nie mogę; te szare kolumny

Gną się, jak wierzby, żałośnice trumny;

Gdzie tarcza? tarcza—nie drażnij się ze mną.

LOTAR.

Tu, księżno!

MARYA *(dotykając rzeźby na tarczy)*.

A to?

LOTAR.

To godło, pod którym

Walczył nasz hrabia, słońcąc niem, jak murem

Piersi szlachetne: „Para białych dłoni,
Złożonych do modlitwy.”

MARYA.

Ach!

(upada pod tarczą, umiera).

K O N I E C.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Życie i śmierć geniuszu greckiego, ostatnia praca Edgara Quineta.—*Wiedeń i życie wiedeńskie*, przez Wiktora Tissota: Sacher Masoch, Kulczycki, założyciel kawiarni w Wiedniu.—*Wspomnienia* hr. d'Haussonville.—*Nabab*, powieść Alfonsa Daudet.—*Pocziwy biślak*, obrazek dramatyczny.—*Les Bourgeois du Pont Arcis*, dramat Wiktoryna Sardou.—*Rozbitek*, poemacik Franciszka Coppée.—Zwłoki Krzysztofa Kolumba odkryte w San Domingo.—Zmarli członkowie Akademii Nauk: Becquerel, Wiktor Regnault, Claude Bernard.—Obchód dwusetletni połączenia Flandryi z Francją.—Rękopisy pozostałe po Thiersie.—*Dioscuren*.—Noworocznik wiedeński: *Dziady*.—Dziennikarstwo u różnych ludów Europy.

Chwile wielkich tryumfów lub wielkich klęsk, jeśli wielka idea przewodniczy walczącym, są w literaturze i sztuce każdego narodu dobą nowych posiewów, które przyszłość rozrodzi w bujne plony. Nie naszą rzeczą badać, ażali świeże tryumfy pruskie oddziały już tyle na literaturę i sztukę niemiecką, aby nowy ich kierunek zapowiadać miał światu nową epokę Peryklesa, wykwitła z tryumfów Platei i Salaminy. Co zaś do literatury francuzkiej, widzimy tu już niejedno ziarno porzucone z wiarą w przyszłe odrodzenie. We wszystkich umysłach wyższych objawia się tu potężnie uczucie wielkiej klęski i wielkiej boleści narodowej. Do prac obmyślanych pod wpływem takich uczuć, należy niezawodnie świeżo wydane dzieło Edgara Quineta, p. t.: *Życie i śmierć geniuszu greckiego*. Autor obmyślił tę pracę, lecz nie miał czasu jój wykonać; rzucił na papier kilkadziesiąt stronic, w ostatnich chwilach życia; choroba wytrąciła mu pióro: w tydzień potem już nie żył.

„Gdzież mam szukać schronienia, by nie widzieć tego, co widzę, by nie słyszeć tego co słyszę? Schronię się oto na skałę niedościgłą,

w świat grecki! Pokażę, jak się tworzył w czasach klasycznego rozkwitu!“

Tak rozpoczyna Quinet; na ową to skałę pragnie pociągnąć za sobą cały naród; tam zapalić go tchnieniem bohaterstwa i ofiary, z tych wyżyn pokazać mu owe żywotne krynice, w których narody czerpią siłę odradzającą.

W obec Grecyi, małej, rozbitej, ubogiej, staje oto Kserkses na czele milionowych ludów. Wschód barbarzyński toczy się na Grecyą. Rozkopano już górę Atos, zbudowano most na Helesponcie; pyszny mocarz schłostał niesforne fale, uczcił słońce ofiarą; za chwilę wydobędzie miecz z pochwy. Zwykła mądrość ludzka w poddaniu się Persom widzi jedyną deskę zbawczą. Gdyby przemogły rady pseudo-mędrców, geniusz grecki byłby skonał w pierwszym zawiązku.

Mała garstka Hellenów, która opuściła Helladę, a poszła za Persyą, przepadła niemal dla historii. Związek z barbarzyńcami odebrał duszę odstępcom, zaćmił im rozum; nigdy już nie powstał z upadku.

Ateny ocaliły Grecyą. Autor śladem Herodota prowadzi nas przez Termopile na pola Salaminy. Wszystko napozór stracone; w przeddzień bitwy wodzowie gotowi rozproszyć się w obec azyatyckiego nawału. Bitwa przechyli wnet, — nie los jakiegoś państwa, — rozstrzygnie ona przyszłość ludów, losy całej ludzkości! Nakoniec, kiedy brzask wschodzącego słońca oświecił posągi greckich bogów, kiedy odgłos zwycięstwa zabrzmiał na polach Salaminy, a następnie Platei i Mikale, kiedy Wschód skruszył się o włócznie heleńską, coż zapisały dzieje? Tryumf prawa nad gwałtem, zwycięstwo słabych nad mocnymi, cudowne owoce bohaterskich wysiłen człowieka, przewagę ducha nad materją.

„Sztuka grecka — mówi Quinet — zrodziła się z wojen persko-medyjskich; jest najpiękniejszą ich koroną. Księgi i marmury wykwitają pod tchnieniem tych zwycięstw. Hellada blizka upadku, tryumfuje nad barbarzyństwem! Jakiż pisarz, jaki poeta, jaki rzeźbiarz, nie odpowie godnie takiej chwili? Tłómaczy to niesłychaną twórczość tych czasów. Któryż wierchołek góry nie przystroi czoła świątynią, aby oddać dziękczynny hołd bogom za ocaloną Helladę? Grecya uczuła się niezwyciężoną; objawia to we wszystkich dziełach swoich. Sztuka grecka zrodzona ze zwycięstwa: oto charakterystyczne jój piętno.

„Szczęśliwe ludy, których geniusz budzi się pod wpływem tryumfów — ciągnie Quinet — wszystko idzie im bez oporu. Myśli piękne i formy harmonijne rodzą się same w ich umysłach. Pogoda pełna twórczej siły, przyświeca im na każdym kroku. Idą naprzód z hymnem na ustach!“

Taki to rozwój geniuszu narodowego u Greków zamierzył autor pokazać na każdym polu sztuki: tak w dramacie jak w historii, tak w rzeźbie jak w architekturze, tak w wymowie jak w pieśni lirycznej. Brakło mu czasu na tak obszerną pracę, w kilku jednak rzutach

pióra podnosi najważniejsze pytania, potrąca mnóstwo żywotnych myśli.

Zaczyna Quinet od sztuki dramatycznej; tkómaczy tajemnicę jej nagłego a tak potężnego rozkwitu. Wojna persko-medyska zmusiła Greków do powołania wszystkich ludów plemienia swego. Rozesłano odezwy do Korcyry, do Italii, na sycylijskie wybrzeża, wszędzie, kędy brzmiała mowa Hellenów. Miasta, niechętne sobie, zapomniały odwiecznych waśni wobec olbrzyma grożącego zgubą wszystkim. Wielcy tragiccy poczuli snuć na wążek złote nici ludowych podań, rozpierzchłe po dalekich od siebie okolicach; przedmioty nastreczały się same z siebie. Poeta wybiegł poza ciasny obręb miasta lub pokolenia swego, rozwinął orle skrzydła i szybował ponad całym plemieniem. Podania wszystkich ludów greckich odrzmięły w ateńskim teatrze; ztąd niesłychana twórczość w dziedzinie dramatycznej.

Rzecz godna uwagi, że imiona trzech wielkich tragików połączone są najściślej ze wspomnieniem Salaminy. Eschyles walczył tu za niepodległość grecką; młody wówczas Sofokles, tańczył w chórze na cześć odniesionego zwycięstwa. Eurypides, jak mówi legenda, urodził się w dzień bitwy. Tradycya przechowała to zbliżenie; czuli bowiem Grecy, że tryumf Salaminy zbudził iskrę geniuszu tragicznego w trzech nieśmiertelnych poetach!

Quinet jednym rzutem pióra określa tych tragików. Byłby niewątpliwie rozwinął przedmiot, gdyby pióro nie wypadło mu z ręki. Znajdujemy zato wśród przytoczonych notat liczne zapiski autora; jedna z tych zwróciła szczególnie uwagę naszą, jako zastosowana do czasów dzisiejszych. Autor zapytuje: jaką powinna być zasada teatru? Powtarzamy odpowiedź:

„Rozszerzać, podnosić serca, było zadaniem teatru greckiego. Ażali to powtórzy się jeszcze w przyszłych czasach? Wielkie podania ludzkości znikłyż na zawsze ze sceny naszej? Dokonano już wiele, wyłamując się z więzów ciasnego klasycyzmu, ale wszakby należało pod panowaniem idei demokratycznych dać sztuce dramatycznej szerszy rozwój, przypomnieć wielką misyą, jaką teatr spełnił w starożytności.

„Poruszyć głęboko duszę widza, pomieścić go, już nie w greckim, ale w jakimś idealnym społeczeństwie, gdzie panuje piękno, dobro, sprawiedliwość; pokazać mu, że jest wygnańcem z tych wyżyn, bronić mu, aby nie przywykł do płaskiej miernoty; włożyć mu czasem na głowę koronę nieśmiertelną, dać mu potem uczuć cały niesmak dni przepelzanych, całą gorycz upadku; wielką tęsknotą za idealnym światem nadać nowy hart duszy: oto powołanie teatru; tak scena ma wychowywać społeczeństwo.

„Szczęśliwy poeta dramatyczny, skoro może oswajać nas z widokiem bohatera, abyśmy uczuli wpływ wielkiej jednostki, podnosili siły nasze w tém dobroczynnym zetknięciu, podążali za nim w wyższe sfery.

„Co jest główną podstawą dramatu? bohaterstwo. Podnosić umysły do bohaterских wyżyn: oto moralny cel sztuki dramatycznej.

„Prawdaż to, że czasy bohaterские już skończone? Pokażcie mi, że człowiek przestał walczyć!“

Walka więc dla celów najwyższych, to jest ofiara ma być, według Quineta, głównym bodźcem każdej literatury narodowej. Na miarę tego to kryterium należy oceniać wartość utworów poetycznych!

Od dramatu przechodzi autor do historii; w Herodocie pokazuje żywotny odblask tryumfów Salaminy. Herodot był jego ulubieńcem; w ostatnich czasach rozczytywał się w nim z rozkoszą. „Skończyłem Herodota—rzekł do żony na krótko przed skonem—smutno mi, która książka potrafi go zastąpić?“

W krótkim studium, jakie mamy pod ręką, Quinet pokazuje stopniowy rozwój geniuszu wielkiego historyka. W pierwszych księgach Herodot jest poprostu kronikarzem: opowieść jego wlecze się po małą, ciągle w niej powtarzania. Po Salamynie i Platei ulata jak orzeł w nieskończone wyżyny. Z razu widać w nim rodowitego Jończyka, tak z charakteru jak i z mowy; w miarę jak idzie naprzód, staje się Ateńczykiem; styl jego treściwy, dosadny, zaprawny solą atycką; dyalekt nabiera czystości. „Ostatnie dwie księgi, to nieprzebrana kopalnia patryotyzmu i bohaterstwa!“

Herodot w malowniczy sposób pokazuje ludy, ciągnące z dalekich, nieznanych krańców Azji, niby koryto wielkiej rzeki, co pochłania wszystko po drodze. Straszna ta fala uderza wreszcie o brzeg maleńkiej, niedojrzanej okiem Hellady. Tylko patrzeć jak ją zaleje, zmiecie całkiem ze świata. Obraz ten z razu wspaniały, staje się prawdziwie szczytnym, kiedy owa słaba i drobna Hellada występuje do walki z olbrzymem Wschodu. W miarę opowieści, Herodot ożywia się nagle; ręka marmurowa, gotowa dotąd kręślić wszystko co pod nią wpadło, drży poruszona silnym tętnem.

„Widzę, mówi Quinet, ów kolosalny posąg, z oczyma nieruchomymi, czołem nieprzebręganym, jak na kresach dwu światów przybiera ludzką postać, jak otwiera kamienne usta, i z majestatyczną powagą odróżnia Greka od barbarzyńcy.“

„Rozumiem, dodaje autor, jaka siła podtrzymała ojca historyków w olbrzymim jego dziele, jaka pobudka pchnęła go wśród ludów barbarzyńskich, aby z żywych ust zebrać rozpierzchnęte szczątki starych podań, i w rozmowach z tubylcami, schwycić echo zapomnianej przeszłości. Byłaby podobną ta mozolna wędrówka, gdyby nie przyświecał jej cel wspaniały? Tym celem było dla Herodota pokazać światu konieczne starcie Grecji ze Wschodem, a w końcu tryumf Salaminy i Plateów.“

Na lat sześćdziesiąt przed Quinetem, znakomity badacz dziejów naszych Jan Potocki, z równą miłością rozczytywał się w Herodocie. Z owychto wędrówek po Scytyi historyka greckiego, z owychto rozmów toczonych z tubylcami na rozdrożu dwu światów, wyprowadził

nasz starożytnik najważniejsze wnioski dotyczące się zapadłej przeszłości naszej; na tejto zasadzie oznaczył poza Dnieprem, kresy dzielące rolników osiadłych w miejscu, od koczowników stepowych, dwa ludy odrębne od siebie, lubo oznaczone w starożytności jednakiem mianem Scytów.

„Heroizm najściślej złączony z mądrością, mówi Quinet, oto główna cecha geniuszu greckiego. Czas dzisiejszy rozdziera tę ścisłą jedność, bohaterstwo nazywa szatem. Grecy zrozumieli, że mądrość leży w heroizmie, a heroizm w prawdziwej mądrości. Kiedy cały poptop ludów uderzył z Kserksesem na Grecyą, szaleństwem było ze strony Greków wystąpić przeciwko tym nawałom. Dzisiejszy świat szczydziłby z podobnego zuchwałstwa; Grecy tymczasem zawdzięczają mu nieśmiertelną chwałę. Szał Salaminy i Platei od mężów czynu przeszedł do mężów słowa i dłuta, rozbudził w umysłach iskry twórczą, stał się duszą Grecyi. Heroizm ożywił nie tylko Leonidasa w Termopylach, nie tylko Arystydesa i Temistoklesa pod Salaminą, a Pauzania-sza pod Plateami; ożywił on zarówno poetów, filozofów i rzeźbiarzy: odżył w Eschilesie i Sofoklesie, w Pindarze i Fidyaszu, w Platonie, Herodocie i Demostenesie. Dzieła Hellady wiecznie czarować będą umysł ludzki, bo zrodzone z mądrości i heroizmu. Odkąd Grecy rozerwali tę jedność, przemienili się w Bizantynów.“

„Gdyby Grecy upadli pod orężem Medów i Persów, dodaje autor, czyżby ich dzieła tchnęły tą szlachetnością, tym majestatem, jaki towarzyszy zwycięztwu? Sądzę, że jarzmo wycisnęłoby ślady swoje, nawet na czole bogów! Jowisz wykuty dłutem Fidyaszowem, byłżeby tak olimpijski, gdyby schylił głowę przed bogami Daryusza i Kserksesa?“

„Gdyby Ateny poddały się i zdradziły Helladę, ażaliby Pallas Atene świeciła tym nieśmiertelnym blaskiem? ażaliby tak śmiało podniosła tarczę i tak bezpiecznie otoczyła nią swoje miasto? Cały geniusz Fidyasza nie dokonałby tego cudu, nie dałby tej potęgi zwyciężonej Palladzie, niewolnicy Ormuzda i Arymana! Konie nawet Partenonu, podniosłyby głowy tak wysoko, pomknęłyby tak rączym pędem, gdyby je podcinał bicz Medów?“

Po apoteozie bohaterstwa, pokazuje Quinet pierwsze znamiona upadku. W Alcybiadesie widzi prototyp późniejszych Helenów, którzy zatracili w sobie miłość ojczyzny, poczucie obowiązku. Wdzięk zastępuje w nim męzką cnotę. Wdzięk to szatański; z róż co wieńczą piękne jego czoło, zmija podnosi głowę. Gdy widzi chwiejące się Ateny, rzuca je na łup Sparcie; Spartę rzuca pod nogi Persom. Człowiek praktyczny, wróg wszelkiego wyższego ideału, zostawił po sobie najsmutniejszy ślad w dziejach. „Potrzeba było, dodaje autor, czasów tak praktycznych jak nasze, aby przeniwierca znalazł apologistów, którzy usiłowali oczyścić z zarzutów jego pamięć.“ Przymówka to wyraźna do obszernego dzieła p. Henryka Haussaye, poświęconego Alcybiadesowi, wydanego przed dwoma czy trzema laty.

Nic smutniejszego nad obraz upadku, skreślony w kilku szerokich zarysach przez Quineta. Widzimy tu Ateny, po czasach najwyższego blasku, staczające się w przepaść. Próżno Demostenes powołuje Helladę do obrony przeciw macedońskim zdobywcom; próżno piorunem słowa, przypomina chwałę Salaminy. Ateny budzą się, ale na krótką chwilę; zaledwie że przebrzmiały filipiki, poddają głowę pod jarzmo Aleksandra. Plutarch zowie to wyzwoleniem!

Po Macedonii przychodzi Rzym; zdobywa Grecyą. Sulla zalewa krwią Ateny, burzy Epir, uprowadza ztąd tłumy jeńców; Mumiusz z głównią pożarą, przebiega sławny Korynt. Milkną pocii, grobowe milczenie zalewa tę Grecyą, która niedawno była mistrzynią ludów, jasną pochodnią świata. W trzy wieki potem Plutarch przyklaskuje zdobywcom! Plutarch we współczesnym sobie Neronie, widzi dobroczyńcę i oswobodziciela Grecyi!

„Jakim sposobem, zapytuje autor, ludzie tak wysoko podniesieni jak Grecy, mogli tak prędko runąć w przepaść, i zatracić nawet wszelkie poczucie upokorzenia swego?”

I taką daje odpowiedź na pytanie:

„Historya nie tłumaczy nam téj nagłej przemiany umysłów. W ciągu trzech wieków od Demostenesa do Plutarcha, wielkie milczenie zapanowało w świecie greckim. Tymczasem jednak w Atyce i Peloponezie ludzie przemawiali to z trybuny, to po szkołach i targowiskach. I cóż oni mówili? Każde miasto miało swego sofistę, słuchały go tłumy! Owa to długa praca sofistów, dzień po dniu, rozkładała greckiego ducha, aż wkońcu stoczyła go na próchno!”

„Ateńczycy pogodzeni z upadkiem, obrzucili potwarzą Demostenesa, i innych patryotów. Plutarch pozbierał te potwarze i przekazał je wiekom!”

Przy Plutarchu wypadło pióro z rąk Quineta. Nie odżałowana to szkoda; znał on i kochał świat grecki, badał go od lat pięćdziesięciu! Bojowa pieśń wyzwalających się Helenów, kołysała jego młodość; później w r. 1829 należał do wyprawy greckiej: zwiedził Moreę i Peloponez, na polach Salaminy zaczerpnął tego bohaterskiego tchnienia, pod którym Hellada rozwinęła się tak potężnie. Pragnął poświęcić jęj pracę ostatnią, a co więcej, pragnął obrazem jęj tryumfów, jęj nieszczęść i upokorzeń, dać Francyi zbawienną przestrożę. Kilkadziesiąt ledwie stronic zdołał rzucić na papier, lecz i te nie będą stracone dla przyszłości, połyskuje bowiem tą iskrą geniuszu, piętnującą wszystkie dzieła Quineta.

Powiedzmy jednak prawdę: geniusz to czysto pogański. Rozświeca on błyskawicą zapadłą przeszłość, ale nie wytknie na przyszłość nowych dróg, nie tchnie w naród swój siły odradzającej. Ostatnie dzieło Quineta, to śpiew łabędzi nad upadłą Helladą; cudny śpiew, godny tych łuków i kolumn, ponad któremi tak harmonijnie ulatuje, ale niestety, nie dźwignie on tych zwalisk, jak łzy Maryusza nie wskrzesiły, powalonęj w grzyby Kartaginy!

Próżno poeta woła: „O Jowiszu oswobodzicielu! daj nam takie dni Salaminy i Plateów, abyśmy jak Helenowie, w radości ducha i pokoju, tworzyć mogli dzieła nieśmiertelne!“ Słowa te przebrzmiały bez echa ponad Olimpem; a czemu? bo Olimp od wieków opustoszał!

Wiktor Tissot, młody Szwajcar aklimatyzowany w Paryżu, wyrobił sobie od lat kilku specjalność w literaturze: chłoszcze Niemców na każdej drodze, gdziekolwiek ich napotka; mści się zawzięcie za Francją. Pięć lat temu, kiedy sprawa miliardów tak jeszcze była palącą, umiał skorzystać z okoliczności przy pierwszym wystąpieniu, i nazwał książkę swoją o Berlinie, *Podróżą do kraju miliardów*. Był to obraz obyczajów niemieckich przesadnie skarykaturowany; że jednak nakreślony był z wielkiem życiem, okraszony dowcipną werwą, że potrafił zwłaszcza strunę drgającą silnie w sercach, publiczność francuzka przyjęła go z oklaskiem. Czterdzieści pięć wydań rozleciało się na wszystkie świata strony. Drugie dzieło: *Prusacy w Niemczech*, równą prawie zdobyło wzięłość! W trzecim z kolei pod tytułem: *Podróż do krajów anektowanych*, autor mniej rozwinął talentu, dzieło też wydane przed dwoma laty liczy tylko dwadzieścia pięć wydań. Obecnie ukazała się nowa publikacja Tissota: *Wiedeń i życie wiedeńskie*. Autor zna dobrze to życie, uniwersyteckie bowiem nauki odbywał, jak mówi, w stolicy austriackiego państwa.

Nieprześlągnięty wróg Prusaków, Tissot dla Austrii okazuje za to niejakię względy. W najściślejszym przymierzu jęj z Francją, uważa jedyną rękojmię przyszłej pomyślności ludów i stałego pokoju w świecie. Przez tę różową gazetę patrzy na dwór wiedeński, który podnosi niemal do apoteozy. Arystokracja za to odmalowana ze strony bardzo ujemnej; niższe warstwy nie lepiej się przedstawiają. „Węzły społeczne, mówi Tissot, związane tu kwiecistym wieńcem uciech i zabaw, a nie żelaznym łańcuchem powinności. Co czyniła Austriya po Solferyno? Śpiewała! Co czyni po Sadowie? Tańczy!“ Muzyka i płaśy, oto główny cel życia Wiedeńczyków; starsi zabawiają się giełdą i stołem najwytworniejszym w całych Niemczech.

W tém określeniu wcale niema przesady; nie wszystko jednak zaleca się prawdą w książce Tissota. Łatwo zdobyte trumfy rozuchwaliły go zbyt; pozwala też sobie mistyfikować czytelników w najdziwniejszy sposób. Z wieży np. Stefańskięj ogarnia archipelag ludów składających austriacką monarchię. Widzi ztąd na północ kraj węgierski, kraj wielkich serc i rycerskiego zapału; od zachodu spozstrzega kraj pracowitych i gospodarczych Czechów, ten nieprzebrany śpichlerz Austrii; na południe widzi tyrolskie Alpy, a w cieniu ich bohaterską ludność, wiary wypróbowanej. „Powyżej Węgiei, przez ścianę Karpat, podziwia piękną Galicyę, i jęj błękitne jeziora, drzemiące w głębi czarnych dolin, jęj strome góry pokryte śniegiem, zarosłe dziewiczemi lasami, w których niedźwiedź gnany obławą, znajduje bezpieczną uchronę. Klimat tu ostry, ziemia jałowa, ziemia wiecz-

nych lawin i wodospadów. W rozrzuconych tu i owdzie zameczkach, niezliczona a marnotrawna szlachta spędza lekko życie wśród uciech; tu konają średnie wieki uwieńczone różami!“

Tak to Galicya przedstawiała się oczom Tissota, gdy patrzył na nią z wierzchołka Święto-Stefańskiej wieży. Czego nie dopatrzył z tych wyżyn, to mu powiedział Sacher-Masoch, według niego, pierwszy geniusz w dzisiejszej powieściowej literaturze. Jadąc do Wiednia od Tryestu, Tissot wstąpił w progi uwielbionego przez siebie autora, zamieszkałego w Brück am Mur u stóp Sömmeringu. Czytelnicy nasi znają bezczelnego oszczercę Galicyi; niechże zobaczą, w jakim świetle przedstawia go p. Tissot. *Swój swego pozna*, mówi przystawie, nie dziw, że obaj przystali do siebie odrazu; przypatrzmy się bliżej jednemu i drugiemu: dziwne uderza w nich podobieństwo. Obaj zarówno okłamują czytelników, obaj zawdzięczają rozgłos we Francyi, chwilowym raczej względem, niżeli rzeczywistej zasłudze. Obaj chłoszczą Prusaków, z tą różnicą, że Sacher walcząc obosiecznym mieczem, pastwi się zarówno nad biedną Galicyą. Kto wie, czy na tę drogę nie pociągnie za sobą przyjaciela. Niema już zakątka w germańskiej ziemi, któregoby Tissot nie zwiedził i nie przepuścić przez bicz swojej krytyki. O czémże teraz pisać? Jeśli go nie ustraszą owe niedzwidzie galicyjskie, którym przypatrzył się z wieży Stefańskiego kościoła, zwiedzi zapewne Lwów i Kraków, a może i Warszawę. Tylko patrzeć, jak leciuchném piórem nakreśli obraz rozpląsanych i rozspiewanych nadwiślanek, tak jak naszkicował obraz pięknych pań znad Dunaju. Ale dajmy pokój tym domysłom; zobaczymy jak Tissot opisuje Masocha.

„Nie znałem go dotąd, mówi on, ale byłbym go odgadł w pośród tysiąca, po charakterystycznej fizyognomii. Autor powieści galicyjskich odznacza się pięknym typem słowiańskim. Oczy ma wielkie, płomienne, włos czarny, bujny, kędzierzawy, usta delikatne, cerę bladą, znak wielkiej czułości nerwowej. W obejściu skromny, miły, uprzejmy. Sądząc z utworów, pewien byłem, że w Don-Juanie z Kołomyi, zobaczę jakiegoś stepowego sułtana; on tymczasem otoczony rodziną, urzeczywistnił na ziemi ideał szczęścia domowego.“ Z miłością zwiedza Tissot pracownią mistrza, istną komórkę, do której pszczołka znosi z kwietników słodkie miody. Przez okno tego *sanktuarium* wpływa balsamiczny aromat łąki, połączony z żywiczną wonią lasów. Kiedy poranek piękny, Sacher z młodą żoną galopuje konno po lesie, chwyta uchem harmonijny szum jodek, poi oko promieniem słońca, zatrzymuje się co chwila, by nie spłoszyć ptasząt na gniazdkach.

Nie samą jednak ambrosyą karmi się Sacher-Masoch w tym podalpejskim Edenie; Tissot wspomina, iż rzeka Mur obfituje w wyborne pstrągi, że lasy pełne sarn i dzikiego ptastwa.

Sacher tytułuje się Ritterem. Na zapytanie Tissota, czy cesarz zaszczycił go w ten sposób za literackie prace, opowiada cynicznie rodowód swojego szlachtetwa. „Tytuł mój dziedzicznym jest, rzeczce

z dumą: cesarz nadał go ojcu memu w nagrodę zasług położonych, w czasie zamieszau w Polsce roku 1831, 1846 i 1848. Ojciec mój był urzędnikiem policyi we Lwowie, gdzie się urodziłem w r. 1836: młodość moja ubiegła wśród żandarmów, żołnierzy, złodziei i konspiratorów!"

Wieczorem zebrało się towarzystwo z powodu przybycia Tissota. Sacher-Masoch zabawiał gości improwizowanemi dykteryjkami. Przedmiotem ich było społeczeństwo warszawskie przed pięćdziesięciu laty i nasz sławny komik Aloizy Żółkowski. Dowiadujemy się niestworzonych rzeczy, zmyślonych na karb wielkiego artysty. Był on, jak mówi Masoch, ulubieńcem publiczności warszawskiej, jak niemniej faworytem naczelnego wodza w. księcia Konstantego. Znosił księciu wiadomości krążące po Warszawie; słowem pełnił w Belwedrze rolę trefnisia. Niewarto powtarzać tych bajek; tyle w nich prawdy, jak w tém, że nazwisko Żółkowski, to prosty pseudonim, że artysta nazywał się inaczej; były w nim zatem dwie osoby, całkiem odrębne od siebie.

Wcześniej stracił on żonę, mówi legenda Masocha, miał tylko dwie śliczne córeczki, wychowywane przy ciotce. Ojciec odwiedzał je często. Miłość jego dla nich tak była wielka, że ukrywał przed nimi swój zawód; kiedy cała Warszawa przyklaskiwała mu gorąco, same tylko córki nie wiedziały, że ojciec występuje na deskach teatralnych. Znały go jedynie pod rodowitem nazwiskiem. Dnia jednego o mało się rzecz nie wydała.

Panienki poszły z ciotką do jakiejś wielkiej pani. Ta nie wiedząc, że Żółkowski ich ojcem, zabrała je z sobą do teatru.

Nazajutrz potem Żółkowski odwiedził córki.

— Ojciec!—wołają ściskając go—jak my téż zabawiły się wczoraj!

— A to gdzie, moje gołąbeczki?

— Byłyśmy w teatrze z panią T.

Żółkowski zbladł jak ściana.

— Widziałyśmy sławnego Żółkowskiego!

— Doprawdy.... i cóż?

— To najpierwszy artysta w świecie!

— Nie spostrzegłyście w nim jakiego podobieństwa?

— Z kim ojciec? powiedz!...

— Naprzykład ze mną?

Dziewczynki spojrzały po sobie z zadziwieniem.

— Żartujesz z nas, ojciec! tyś taki piękny, on straszny, istny dziwoląg!

Artysta odetchnął, odniósł największy tryumf, jakiego mógł się spodziewać. Własne dzieci nie poznały go na scenie!

Tak brzmi legenda o sławnym komiku, którego nazwisko przemienił nawet Sacher, zowiąc go Zulchowskim. Kto wie, czy autor powieści galicyjskich nie weźmie go kiedyś za bohatera jakiegoś nowego utworu. Mamy nadzieję, że rodzina wielkiego artysty odezwie się z protestacją przeciw banialukom, których tu nawet nie powtarzamy,

a które bardziej krzywdzą jego pocziwą pamięć, niż ten niedorzeczny wymysł o córkach i mniemanym pseudonimie.

Jeżeli świeże zdarzenia tak sfałszowane, nie dziwny się bajkom przyczepionym do zapadłej przeszłości. Sacher, oprowadzając Tissota po starym zamku książąt styryjskich w charakterze dawnego profesora historii, opowiadał mu życie Ernesta żelaznego. Ztąd dano mu ów przydomek, że w dwu palcach zgniatał misy żelazne. Książę ten szukał godnej siebie małżonki. Znalazł ją w księżniczce polskiej Simburgii z Morsowii. Księżna uganiała po kniejach niedźwiedzie; tak była silną, że wbijając gwóźdź do muru, używała pięści zamiast młota.

Więszm prawdopodobieństwem nacechowane podanie o Kulczykkim, założycielu pierwszej kawiarni w Wiedniu. Tissot podjął je z miejscowych tradycyi, a nie z opowieści Sachera. Przytaczamy owo podanie.

Do końca XVII wieku, żadne miasto chrześcijańskie nie miało jeszcze kawiarni. Pierwszą otworzył w Wiedniu polak Kulczycki, podczas pamiętnej odsieczy Jana Sobieskiego.

Było to w r. 1683. Wiedeń, po raz drugi obleżony przez Turków, lękał się co chwila katastrofy. Mimo oporu hr. Stahremberga, Wiedeńczycy czuli że muszą się poddać, jeśli wojska posiłkowe nie nadsygną im w pomoc. Porozszyłi gońców naprzeciw armii cesarskiej, którą dowodził Karol książę Lotaryngii; żaden z nich jednak nie uszedł baczno oka Turków: trupami ich kołysał wiatr u bram obleżonego grodu. Postrach ogarnął unysty, nikt nie śmiał wychylić głowy z miasta.

Był w Wiedniu młody jeszcze Polak Jerzy Kulczycki, powierchowność gładkiej, bystrego rozumu, pełen odwagi, gotów na wszelkie niebezpieczeństwo; przed kilku laty przebywał czas jakiś w Konstantynopolu, znał język turecki i obyczaje wschodnie. Miał on sklep na przedmieściu Leopolda. Zaciągnął się jako ochotnik do kompanii wolnych strzelców kapitana Franka. Jednego poranku Kulczycki przedstawia się komendantowi.

— Czego chcesz?—zapyta Stahremberg—chodząc niespokojnie po sali.

— Panie komendancie—rzecze Polak—gotów jestem przedrzeć się przez linie tureckie; dotrę wnet do wojsk cesarskich: zaręczam głowę moją.

— Powieszają cię Turcy, jak powiesili tylu innych!

— Nie powieszają mnie, panie komendancie!

— Czy masz jaki talizman?

— Być może!

— Nie wchodzę w tajemnicę twoję. Chcesz więc koniecznie leżeć im w paszczę?

I komendant zatrzymał się, spojrział mu bystro w oczy.

— Przejdę przez obóz, poniosę rozkazy do armii i zdam sprawę panu komendantowi—odrzecze stanowczo.

Stahremberg pomyślał chwilę.

— Przyjmuję ofiarę—odpowiē nakoniec.—Jeśli dobrze się sprawisz, jak cię mam wynagrodzić?

— Nie żądam nic! sam czyn będzie mi dostateczną nagrodą.

— Zgoda, wieczorem otrzymasz mój rozkaz. Bóg z tobą, możesz odejść!

Dzień był skwarny, jak zwykle w sierpniu. Nocą straszliwa burza rozszalała się nad Wiedniem i okolicą. Kulczycki przebrany za Turka, wyszedł ze służą, Jerzym Michałowskim, który był tēż kiedyś na Wschodzie. Nazajutrz z rana, kiedy dotarli do obozu, zatrzymano ich, powiedziano przed agę. Kulczycki zapytany poco przybył, opowiada, że jest kupcem z Belgradu, że chce wejść w układy o dostawę żywności dla wojska.

Przypadło to w myśl adze, kazał ucześnieć mniemanego Bulgara i słuęę; sam tymczasem poszedł naradzać się ze starszyzną.

— Zaczekajcie tu—rzekł odchodząc—ale bądźcie ostrożni; armia cesarska obozuje u stóp Leopoldsberga.

Kulczycki nie omieszkał korzystać z ostrzeżenia. Udaje, że się przechadza, pogwizduje swobodnie. Tym sposobem dotarł do przednich straży. W dniu 17 powrócił do Wiednia, sprawiwszy się jaknajdzielniej. W kilka dni potēm Jan Sobieski i książę Lotaryngii wpadli z nienacka na Turków. Jak wiadomo, nieprzyjaciel odbiegł w bezładzie i zaniechał oblężenia; obóz wpadł w ręce wojsk chrześcijańskich.

Stahremberg każe przywołać Kulczyckiego; chce go koniecznie wynagrodzić. Dzielny Polak nie przyjmuje pieniędzy, pragnie tylko, aby mu pozwolono zabrać liczne worki kawy, porzucone w obozie.

— Weź się sobie—rzecze Stahremberg—ale powiedz-że mi, na co przydać się mogą te zielone i twarde ziarna?

— Wnet opowiem—zawoła uradowany Polak—racz posłuchać mnie tylko hrabia. Dawno temu, w roku 1285, derwisz nazwiskiem Hadży Omer, wygnany z Mekki, schronił się do pobliskiej pieczary. Tam za cały posiłek znalazł tylko ziarna dzikiej rośliny, zwanęj *kha-wa*; począł jeść surowe, ale że miały smak gorzki, przyszło mu na myśl upalić je na węglach, rozetrzeć i zalać ukropem. Był to napój smaczny i ukrzepiający. Derwisz częstował nim podróżnych. Wkrótce wieść o wybornym napoju doszła do szejka; ten widząc w odkryciu wyraźną łaskę Bożą, przebaczył winę szczęśliwemu wynalazcy, pozwolił mu wrócić do klasztoru. Odwar z tych ziarn stanowi dziś ulubiony przysmak Turków; warto aby i chrześcijanie chcieli go zakosztować. Skoro wasza ekscellencya pozwala mi zabrać te worki, obowiązuję się przyprawiać kawę po turecku.

— Zabierz je wszystkie — odrzecze Stahremberg — co więćej, gmina miejska ofiaruje ci dom na przedmieściu Leopolda, w nagrodę położonęj zasługi; możesz w nim przyprawiać twoje khawę.

Kulczycki zabrał się do dzieła. Z razu chodził od domu do domu, roznosząc filiżanki z kawą na tacy; później, kiedy Wiedeńczycy zasmakowali w tym napoju, tak że się stał konieczną dla nich potrzebą, najął skromny lokal przy ulicy Szkolnej. Gdy liczba amatorów mnożyła się z dniem każdym, założył wielką kawiarnię pod *błękitną butelką*, gdzie pozostał do śmierci. Umarł w 1703 r. Wziął za godło butelkę błękitną z powodu, że kiedy był ranny w początkach obłęzenia, narzeczona jego, córka cyrulika, przynosiła mu balsam w takiej-że buteleczce.

Zobaczymy jak wyglądała kawiarnia Kulczyckiego. W głębi płonęło wielkie ognisko; przy niém kipiła woda w kociołkach miedzianych, poustawianych symetrycznie. Dokoła sali pod ścianą ciągnęły się długie ławy, lecz nie było wcale stolików; każdy trzymał w ręku filiżankę lub stawiał ją na ławie. Dwie latarnie wisały u sufitu. Kulczycki z długim cybuchem w ustach przechadzał się po sali rozpromieniony. Co wieczór pod *Błękitną butelką* widywano hr. Stahremberga. Bywał tu także kapucyn Owiani, spowiednik Sobieskiego; on to przed bitwą błogosławił wojsko ze szczytu Kahlenberga. Książę Eugeniusz sabaudzki przychodził także na filiżankę kawy. Ludowy śpiewak Augustyn bawił gości dowcipną piosenką.

Po śmierci Kulczyckiego otworzono w Wiedniu kilka innych kawiarni. Turkomania zapanowała w mieście. Palono tylko tytuń turecki, używano tureckich cybuchów, noszono tureckie szlafroki i pantofle. Na maskaradach snuli się tylko Turcy w ogromnych turbanach. Muzyka turecka tak przypadła wszystkim do ucha, że u klawikordów urządzono jakiś osobny pedał, naśladujący bębny i cymbałki tureckie. Przed kawiarniami malowano czarnookie odaliski, rozparte na miękkich wezgłowiach; słowem, Turcy lubo pobici zapanowali w Wiedniu.

Mamy przed sobą nowo wydane dzieło p. Haussonville, członka Akademii Francuzkiej, p. t.: *Souvenirs et Melanges*. Tytuł publikacyi pozwolił autorowi pomieścić w niej najrozmaitsze przedmioty. Widzimy téż tu i mowy akademickie, i bardzo ciekawe wspomnienia z życia ojca, zmarłego trzydzieści lat temu.

„Postanowiłem — mówi autor — opisać to życie pełne prostoty i prawości, aby mój syn, który nie znał dziadka swego, nie powiedział kiedyś, że w ręku mojem zerwała się nić tradycyi, tak słabo łącząca dzisiaj pokolenia.“ I autor wywiązał się wybornie: z niepospolitym talentem nakreślił żywy obraz zapadłych czasów, nad którym panuje dziad, stary arystokrata z dworu Ludwika XV.

Wszystko w domu chyliło głowę przed starcem; dzieci drżały na każde jego słowo.

— Panie synu! proszę wyjąć ręce z kieszeni! — mówił starzec do syna, spostrzegając go w téj zbyt familiarnéj postawie. — Tak zagadniony kapitan wojsk królewskich, z głęboką pokorą przyjmował napomnienie.

Obok surowego dziadka, ukazuje autor niemniej surową postać babki. Wszystko w domu szło jak w zegarze. Pora obiadu i wieczery najściślej była przepisana. Stara hrabina uschłaby raczej z pragnienia, niżliby poniosła do ust trochę wina lub wody w czasie nieoznaczonym.

— Husson, czy ja piłam? — zapytywała przy obiedzie stojącego za jéj krzesłem kamerdynera.

— Pani hrabina piła już — odpowiadał stary sługa; słowa te były dla niéj wyrokiem.

W chorobie nawet odrzucała lekarstwo; brała je tylko w godzinach zwyczajnego posiłku.

Możnaby wnosić, że syn wychowany pod wpływem takiej atmosfery domowej, powinien był zahartować się na twarde próby i zdobyć wolę żelazną, którój żadna siła nie złamie. Cały jednak bieg życia pokazuje w nim zręcznego żeglarza, kierującego umiejętnie łodzią swoją. Nie potępiajmy go jednak jeśli zmienia co chwila godło na swym sztandarze: jeśli po liliach widzimy na nim orły, po orłach znów lilie, po liliach koguta galskiego!

Oprócz wpływu ojca, starego arystokraty, inne jeszcze wpływy działały na ten umysł. Dla ojca królewskość była jedynym wyrazem ojczyzny, żywotném jéj wcieleniem; dla syna ideałem stała się Francya; pragnął służyć jéj bądź co bądź, bez względu czyje ręce podejmą ster rządu.

Ciekawy to bardzo życiorys. Autor pokazuje ojca dzieckiem jeszcze na dworze w Wersalu i Tryanonie. Ciotki królewskie, córki Maryi Leszczyńskiej, otaczają go szczególną opieką. Młoda królowa Marya Antonina daje mu role paziów w komedijkach odgrywanych na dworze. W czternastym roku młodzian otrzymuje stopień porucznika, w piętnastym zostaje kapitanem. Rewolucya przecina wreszcie to pasmo utkane kwiatami. W roku 1791 stary ojciec powołuje syna: daje mu list, paszport i skórzany woreczek pełen złota.

— Jutro, skoro świt — rzecze — ruszaj do obozu książąt; bądź zdrów: masz tu trzysta luidorów na drogę.

Autor kreśli ciekawy obraz życia emigrantów francuzkich; powtarza najwierniej słowa zasłyszane z ust ojca, nie odbiera im żywotnej barwy. Widzimy tu wytwornych paniczów, zabierających się wesoło do rzemiosła; wielkie panie z igiełką i nożyczkami w ręku. Anglicy nie mogą pojąć téj swobody umysłu, z jaką wygnańcy znoszą twarde próby i niedostatek.

Niemniej ciekawy powrót do kraju. Haussonville po dziesięcioletniém oddaleniu, sądził, że Francya przedstawi mu najsmutniejszy obraz, że zastanie kraj w rumowiskach. Z paszportem holenderskim przebiega północną Francją, widzi wszędzie ruch, życie i dobrobyt. W Paryżu wszystko tóż tak jak było. Staje przed ojcem; znajduje go w tymże samym pokoju, w témże krześle, przy biurku, przy którym go

zostawił. Starzec uszedł szczęśliwie gilotyny, czekał na syna, aby zgrzybiałą ręką pobłogosławić mu przed skonem.

Nastąpiły wkrótce czasy cesarstwa. Haussonville nie chciał pozostać na uboczu; przyjął obowiązki szambelana. Nieraz u dworu musiał cierpieć ostre przycinki i żarty Napoleona z dumy arystokratów; filozoficznie jednak znosił te sarkazmy. Za restauracji otrzymał wyższy stopień w armii królewskiej, a następnie krzesło w Izbie parów. Wsteczny kierunek Karola X oburza go; trzyma się dworskiej klamki z przekonaniem, że służy Francji. W początkach monarchii lipcowej składa przysięgę Ludwikowi Filipowi. Umarł, niedoczekawszy drugiego cesarstwa, z którym byłby zapewne umiał się pogodzić.

Życiorys Haussonville'a jest historią współczesnej szlachty francuskiej, wpływającej czynnie do rządów, nie schodzącej ze stanowiska swego w kraju. Można jęj zapewne wiele jeszcze zarzucić; trudno jednak powiedzieć o nięj, jak mówiono o ojcach w początku tego wieku: „Niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.“ Wspomnienia hr. d'Haussonville malują wiernie przewrót w pojęciach szlachty francuskiej, i dlatego to głównie zasługują na uwagę.

Alfons Daudet, pełen siły powieściopisarz i głęboki psycholog, uwieczony niedawno przez Akademią za *Dom Rizlera i Spółkę*, wywołał nowe oklaski powieścią p. t.: *Nabab*. Charaktery osób oddane tu z wielką mocą, jakby wyrzeźbione dłutem biegłego mistrza. Oto jest osnowa powieści.

Bernard Jansoulet, człowiek ubogi, ale rzutny i ufny w gwiazdę swoją, popłynął dwadzieścia lat temu do Tunis dla zebrania majątku. Rzeczywistość przeszła wszelkie nadzieje. Powraca bogaczem, przywozi do stu milionów; ztąd dają mu nazwę *Nababa*. Jansoulet nie chce poprzestać na tém. Przez dwadzieścia lat pracował w pocie czoła; zdobyte złoto nie nagrodzi mu trudów; pragnie znaczenia i rozgłosu, chciałby poruszyć świat do głębi, stać się ważną dźwignią w dziejach współczesnych kraju swego, marzy o zaszczytach i władzy. Życie paryżkie zupełnie mu nieznane. Prowansal z rodu, ztąd szczerzy i łatwowierny, zwierza się każdemu ze swych zamiarów. Ludzie korzystają z łatwowierności bogacza, kofyszą go nadzieją, zwodzą obietnicami, prawią mu najdziwniejsze bajki. Bogacz w prostocie ducha, gotów zawsze wziąć szych za szczere złoto; staje się tóż pastwą zgrai spekulantów, która szarpie go na wszystkie strony.

Na czele tój żarłocznej sfory stoi markiz de Monparon, sześćdziesięcioletni *lovelace*, mumia wymalowana i utrefiona w najśmieszniejszy sposób. Markiz wziął udział w zdobyciu Konstantyny; to mu daje położenie w świecie. Jest on prezesem jakiegoś banku korsykańskiego; pociąga Nababa w zachwiane przedsiębiorstwo. Idzie potém doktor Jenkins, modny szarlatan, filantrop, wynalazca sławnych pigulek. Ten zakłada w majątku Jansouleta żłobek dla niemowląt, w którym nowonarodzone ssą kozy i mrą jak niewiniątka pod nożem herodowym.

Występuje tu jeszcze dyrektor teatru Cardillac: po trzykrotném bankructwie błaga o nowe subsydia; zdobywa je przemocą. Zręczny dziennikarz Moessard, pisze na cześć Jansouleta pochwały i reklamy w kolumnach jakiegoś skandalicznego pisma, bierze za wiersz po dziesięć luidorów; stary Schalbach sprzedaje mu na wagę złota fałszowane oryginały Potera i Hobemy; wreszcie hrabia de Bois Landry urządza ekwipaże, pycha mu co ma najgorszego w własnej stajni. Nieszczęśliwy bogacz wszystkim wierzy, uśmiecha się do wszystkich, pełną garścią rozrzuca złoto. Szarańcza ta pożera plony zdobyte tyloletnim mozołem.

Nabab poznaje się wreszcie z księciem Mora, słynnym mężem stanu; opłaca milionem franków, publiczny uścisk ręki zręcznego dyplomaty. Pomijamy mnóstwo szczegółów. Koniec końcem, ogromny majątek topnieje, istny śnieg marcowy. Podczas gdy fałszywi przyjaciele wyzyskują bogacza pomału, zawistni nieprzyjaciele wypowiadają wojnę. Baron Hemerling, dawny jego wspólnik, dziś główny poplecznik beja tunezyjskiego, ściga Nababa na każdym kroku; na bursie tamuje finansowe jego operacye, w świecie rzuca nań czarną potwarz; w Tunis kopie pod nim dotki, gubi go w opinii beja.

Nakoniec bej przybywa do Francyi; na prośbę Nababa obiecuje odwiedzić go w pysznym zamku St. Roman. Bogacz przygotował wszystko najświetniej: teart, fajerwerk, walki byków, chóry orfeoniczne i t. p. Mnóstwo gości zaproszonych z Paryża towarzyszyć ma bejowi, przybędą osobnym pociągiem. Uradowany Jansoulet czeka na stacyi. Otaczają go władze wojskowe i cywilne z departamentu; tłum przyklaskuje, brzmia wesołe okrzyki. Nagle sygnały oznajmniają pociąg: lokomotywa ukazuje się w kłębach pary, zwalnia biegu, staje nakońc. Jansoulet otwiera drzwiczki, wstępuje na stopień, a oto bej, obok Hemerlinga, rzuca mu w twarz obelżywe słowo: „wracaj do siebie kramarzu! noga idzie tam, gdzie ją prowadzi serce, moja nie wnijdzie w progi człowieka, który odarł kraj mój najbezczelniej.“ Daje znak, lokomotywa świszczy, pociąg wyrusza w dalszą drogę.

Nabab w rozpacz; wszystkie klęski spadły na niego. Znieważony publicznie, staje się celem ogólnego pośmiewiska. Nie dość że roztrwonik tyle złota napróżno, ostatnia zguba grozi mu z innéj strony. Ma on jeszcze wielkie kapitały w przedsiębiorstwach tunezyjskich. Bej kładzie na nich rękę; domaga się ośmdziesięciu milionów wynagrodzenia za mniemane kradzieże, jakich Jansoulet miał się dopuścić w jego kraju.

Nieszczęśliwy Nabab przeciera oczy jak człowiek nagle ze snu zbudzony. Widzi najokropniejszą rzeczywistość. Klęski sypią się gradem. Krzyż legii honorowój, przyrzeczony niedawno, który miał otworzyć mu drogę do innych zaszczytów, krzyż ten połyska na piersi doktora Jenkinsa. Wybór na członka izby, opłacony milionem franków, przyszedł wprawdzie do skutku, lecz go unieważniono, wpłynęły na to intrygi barona Hemerlinga. Jedyne człowiek może go jeszcze

ocalić: tym jest książę Mora, minister stanu; jego słowo rozkazem dla Izby. Mora przyrzekł opiekę Jansouletowi; Izba zatwierdza wybór, lecz minister umiera nagle; zabiły go pigułki Jenkinsa. Nabab zgubiony. Przywdziewa mundur deputowanego; idzie w nim za karawanem dobroczyńcy; krótki tryumf: w kilka dni potem Izba reguje go stanowczo. Policja grozi administratorom banku korsykańskiego. Wreszcie jednego wieczoru, na przedstawieniu opery, Jansoulet znieważony, wtykany palcem, umiera w łoży tknięty apopleksyą.

Taka jest treść dramatycznej powieści. Autor wyrzeźbił po mistrzowsku postać Nababa. Ten pyszny dorobkowiec, cały utopiony w złocie, który, gdyby stał na świeczniku, byłby celem pośmiewiska i wzgardy, przeprowadzony przez najokropniejsze próby i utrapienia staje się celem współczucia powszechnego. Inne typy równie śmiało oddane. Możliwy wprawdzie spostrzedz w utworze brak jedności; liczne epizody nie łączą się ściśle z głównym przedmiotem. Chłszcząc na prawo i lewo ostrą bronią, autor dotyka czasami przedmiotów któreby uszanować należało; w każdym razie, pod względem talentu, ostatnia jego powieść nie ustępuje poprzednim utworom. Alfons Daudet stoi dziś niewątpliwie, w rządzie najpierwszych powieściopisarzy francuzkich. Nabab przełożony na język angielski, wyszedł o ile wiemy w Ameryce.

Teatra paryzkie ożywiły się w końcu zimy. Dramat *Balsamo*, wysnuty przez Aleksandra Dumasa z powieści ojcowskiej, ukaże się w tych dniach na deskach Odeonu. Teatr ten przed trzema miesiącami sprawił prawdziwą niespodziankę, przedstawieniem archaicznego misteryum, pod tytułem: *Le bonhomme Misère (Pocziwy Biédak)*. Wszystko tu oryginalne i legendyczne, i forma utworu, i tytuł i muzyka. Przy dźwięku stariej melodyi z XV wieku, podnosi się zastona. Wysoki mur, pomalowany błękitno, zasiany w złote gwiazdy, przecina całą scenę. Wpółrodku widzimy wielką bramę maurytańską. Dekoracya ta wygląda jakby olbrzymia stronnica średniowiecznej księgi. Występuje poeta ubrany według mody wieku XV, kłania się publiczności. Opowiada w prologu, jak wędrując po Włoszech z towarzyszami, zaszedł na nocleg w progi wiejskiego plebana, jak po wieczerzy, kiedy sen kleił oczy podróżnym, gospodarz jął opowiadać różne dziwy, a między nimi legendę o pocziwym biédaku.

Poeta schodzi ze sceny i w téjże chwili rozmykają się podwójne wrzeciędzie bramy maurytańskiej. Z poza nich ukazuje się pierwszy obraz oznajmionej legendy. Noc, deszcz pada, błyskawica raz poraz przebiega ciemną przestrzeń. Wpółrodku wsi, u studni gotyckiej, niewiasta bije kijanką chusty, nie zważając na deszcz i burzę. Śpiewa starą piosenkę na ton rzewny. Tymczasem św. Piotr i św. Paweł, dwaj nierozdzielni przyjaciele zjawiają się ubrani tak, jak ich widzimy na obrazkach. Tuniki ich szare, przewiązane powrozem, płaszcze jaśniejszej barwy. W rękę trzymają długie kosztury, zagięte w gó-

rze. Obaj skrzepli od zimna i głodu, kołatali już do chat i dworców. Odrąceni zewsząd, przy świetle błyskawicy spostrzegają niewiastę u studni, pytają gdzieby mogli znaleźć przytułek?

Niewiasta patrzy, te postacie jakoś jęj nie obce.

— I czemuż to—rzecze—wino nie pada z nieba zamiast wody! ale chęć nie wystarczy, jam sama bardzo biedna.

I pokazuje podróżnym drzwi zamożnego domu: tam mieszka stary bogacz, zimny nieużyty samolub.

Święci kołaczą: bogacz wychyla głowę przez zakratowane okienko.

— Czego chcecie?—zapyta.

— Prosim o garstkę słomy, mrok zapadł, czasby wypocząć starym kościom.

— Precz ztąd! mój dom nie jest karczmą dla włóczęgów.

Święci nie rzekli słowa, odchodzą pokornie. Deszcz leje coraz gwałtowniej.

— Zgadłam że tak będzie—rzecze niewiasta—ale znam ja we wsi poczciwego człowieka, ten was pewno przygarnie.

— I któż on taki?

— Człowiek to bardzo stary, dziwne ma obyczaje.

Dobrem za złe odplaca, krzywd ludziom nie liczy:

Uboziuchny, cierpliwy i pelen słydczy.

Za śladem Chrystusowym stąpa wciąż po ziemi,

Wesoł, jak ta ptaszyna, co piorki szaremi

Trzepocze, gdy na wiosnę Bóg słoneczko zsyła,

Niepomni, że jęj zima skrzydełka zmroziła!

Dziad nie straszy nikogo, aoz odzian w łachmany,

Ile ma lat, nikt nie wie!... Dawno ludziom znany,

Jakim jest, z siwą brodą, czołem pooranem,

Nikt go tu nie pamięta dzieckiem ni młodzianem;

Gdzie, kiedy się urodził, to istna zagadka,

Śmierć pamiętna o wszystkiém przepomniała dziadka.

On was przyjmie w swe progi...

Święci idą z niewiastą. Brama gotycka zamyka się. Obraz pierwszy skończony.

W drugim obrazie widzimy ubogie wnętrze chaty. Izdebka zimna, pusta. Noc, starzec rzucił się już na garstkę słomy; wtém zakołatano do drzwi. Wstaje odzian łachmanem, wita podróżnych ze szczerą gościnnością. Stawia na wieczerzę co Bóg dał, piękne gruszki ze swego ogrodu. Goście pytają z kąd frasunek na czole gospodarza. Biédak odpowiada, że wielka grusza całą jego chudobą, a tę złodzieje co noc obierają z owocu.

Ja przecież nie nastaję na złych ludzi zgubę,

Ale radbym przez twardą przepuścić ich próbę.

O cud Pana Jezusa błagam z głębi duszy,
 Kiedyś jaki zły człowiek przystąpi do gruszy,
 Niech się cały uwikła wśród splotów gałęzi;
 Niech go moc tajemnicza dopóty w nich więzi,
 Aż ja klątwę zażegnam. Toż się z nich naśmieje,
 Gdy będą błagać łaski, te lotry złodzieje,
 Z twarzą zbladłą od trwogi, z wylupiatém okiem,
 Przyczajeni jak ptacy na drzewie wysokiem.

Święci spojrzą na siebie i uśmiechną się słodko. Paweł rzecze do starca:

Wszelki czyn miłosierdzia liczy Pan Bóg w niebie,
 Może dziś ten cud łaski wymodlim dla ciebie:
 Spełni się czego żądasz.

— Dzięki wam!—rzecze biédak.

Święci powstają z ławy, ściskają pocziwą rękę gospodarza, słodkiem żegnają go słowem:

Pan doświadcza swych wiernych, ale miej nadzieję,
 Zawsze doczeka żniwa, kto plon Boży sieje:
 Po dniach trosk i zawodów, przyjdą dni łaskawsze!

Na to biédak, rzecze, z pokorą:

Jęknąłem z bólu nieraz, alem ufał zawsze!

Trzeci obraz okazuje nam ogródek starca i gruszę pokrytą owocami. Złodziej uwikłany wśród gałęzi, napróżno się szamocze. Na krzyk jego przybiegają dwaj sąsiedzi; chcą go uwolnić, lecz sami przyrastają do drzewa.

Wchodzi biédak, surowo napomina więźniów, wypuszcza ich na koniec, złodziejowi daje nawet kilka gruszek dla dzieci. Gdy odeszli, goni myślą cudownych gości, którzy nocą nawiedzili jego ubogą chatę. Siedzi głęboko zadumany. W téjże chwili staje przy nim piękna niewiasta. Lica jój blade, włos kruczy spada na fałdy białej szaty. W rękę trzyma srebrzystą kosę. Przystępuje do starca, kładzie mu rękę na ramieniu.

— Czego chcesz?—zapyta biédak zwracając głowę.

— Chodź z mną—odpowié—godzina twoja uderzyła.

Biédak opiera się.

— Jakto? miałżebym umrzeć w chwili gdy cud Boży zapewnił mi spokojność? Zaczekaj trochę!

Próżno błaga: śmierć nie ustąpi.

— Dobrze więc, pójdę z tobą, ale pozwól mi jeszcze skosztować tych pięknych gruszek, co się złocą na drzewie.

— Zgoda—odpowié śmierć.—I czemuż stoisz? żądasz-li czego jeszcze?

— Jam stary, złamany, ciężko mi wleźć na drzewo. Tyś młoda; gdybyś mi zerwała kilka gruszek?

— Zgoda na to, ale potem uczynisz co ja każę?

I śmierć wspina się na gruszę, zrywa wskazany owoc; chce zléć... niepodobna! Zakłęcie nie wyłącza nikogo. Biédak trzyma śmierć w mocy swojej. Śmierć zżyma się, błaga o litość.

Co, ja niezwyczęzona, taki srom ponoszę?
Przekleństwo! starcze miły, zastanów się, proszę,
Nie zawszeż to myśl zdrową kryje włos gołębi?
Nigdyż ty w przyrodę nie wniknął do głębi?
Pomnisz-li, że potężna téj twórczyni władza
Wszystko zmienia, poprawia, niszczy i odradza!
Te zmiany, co dla ziemi plon ożywczy niosą,
Któż je spełnia, człowieku? ja tą twardą kosą.
Śmierć to zima, za zimą wiosna kroczy z bliska,
Grób wszystko w siebie chłonie. Do tego kotliska
Wrzucam ludzkiego kruszcu rdzewione odłamy,
W tym ogniu wnet się zlewa nowy spiż bez płamy.
Jam oracz pracowity. Na jałowej glebie
Tą kosą, niby pługiem, wiecznie w ziemi grzebię;
Gdzie przyjdę, za mną siejba faluje bogata,
Na pożytek przyszłości... W tym ogrójcu świata
Mnie nad żywota drzewem wieczne zdane czaty,
Zbieram z niego wyschłe pączki i zwiędłe kwiaty.
Niechże zdrowych owoców nie émią czarną skazą,
Jam zło, ale konieczne! Straszném jest żelazo,
Gdy pali, przecież leczy z gangreny zjadliwój.

Potrząsasz głową, starcze, zdrzał włos twój siwy!

A iluz to Łazarzy w długiej życia męce

Z otuchą ku mnie słabe wyciągają ręce?

Ja leczę ich; mój balsam niechybny na rany,

Roztrącam kraty więzień, z rąk zdzieram kajdany:

Chcesz-że uwiecznić starość i ciężkie jój troski?

Czy słyszysz? płaczą miasta, we łzach toną wioski;

Jęki z pobojowiska chórem płyną ku mnie.

Tyle nędznych rozbitków pragnie ciszy w trumnie,

Tyle serc zrozpaczonych we mnie widzi tarczę,

A ty śmierć dobroczynną uwieżyłeś, starcze?

Puść mnie... puść...

Starzec ustąpił.. śmierć odchodzi.. rzuca mu na pożegnanie smutne słowo:

Na téj okrągłej ziemi nie zmogą cię lata,

Nędzo: wiecznie żyć będziesz póki starczy świata!

Oryginalny ten obrazek, tak odrębny od zwykłych sztuk teatralnych, żywo zajął publiczność paryzką. Byliśmy na jednym z pierwszych przedstawień; zadowolenie zdawało się powszechne. Krytyka podniosła piękny utwór.

Ta legenda, przerobiona w popularny sposób, mogłaby bardzo wzbogacić repertuar naszych zapustnych szopek, zwłaszcza, że łatwo dopatrzeć w niej powinowactwo z naszymi klechdami o *biędzie i o śmierci*.

Oddawna zapowiedziana sztuka Wiktoryna Sardou, ukazała się wreszcie na deskach teatralnych. Dramat ten p. t.: *Les Bourgeois du pont Arcis*, zawiódł zupełnie oczekiwanie nasze. Zdawało nam się, że autor, świeżo zaszczycony godnością akademika, nie zechce szukać przedmiotu w skandalicznych tajemnicach życia społecznego. Niestety! natóg wziął górę; chęć szukania gwałtownych efektów przemogła nad innymi względami. Głównym bohaterem dramatu jest szlachetny syn, który dla uszanowania spokoju matki, nieutulonej po stracie męża, bierze na siebie winę ojcowską i przyjmuje wszystkie jej konsekwencye, z poświęceniem szczęścia własnego. Wszystko jednak kończy się pomyślnie. Matka przebacza zmarłemu dla miłości syna, skrzywdzona ofiara przebacza uwodzicielowi dla miłości stu tysięcy, które jęj wyliczono; narzeczona szlachetnego młodzieńca przebacza ukochanemu przez miłość wprzód nawet, nim jego niewinność dowiedziona została: publiczność wreszcie przebacza akademikowi, że nie nastroił ducha na wyższy dyapazon, skoro ją tak umiał poruszyć i zabawić. Niechże nakoniec czytelnicy przebaczą nam także, jeśli nie chcemy poniewierać pióra, rozbierając tego rodzaju sztukę, która całą udatnością swoją nie nagrodzi pierworodnego grzechu, leżącego w jęj skandalicznej treści.

Do przyszlęj kroniki zostawiamy sprawozdanie z dramatu historycznego wierszem, znanego poety Franciszka Coppée, p. t.: *Wojna stuletnia*. Dramat ten, napisany zaraz po wojnie francuzko-pruskiej, nie mógł być przedstawiony dla względów czasowych; obecnie wyszedł z druku: utwór to bardzo piękny.

Dajemy dziś w przekładzie poemacik tegoż autora, pod tyt.: *Le nauragé*. Słynny artysta dramatyczny Coquelin, deklamował go kilkakrotnie na tegorocznych prankach dramatycznych.

Rozbitek.

Przed rybacką gospodą w pobliżu przystani,
Siedzą przy długim stole majtkowie zebrani,
A Jan, z licem zgorzałém i siwą czupryną,
Bez ręki, bo ją stracił niegdys w Nowaryno,
Nad szklanką pełną grogu, z fajką w ustach siedzi,
I dziwi rozpowiada ciekawęj gawiedzi:

„Tak, rzecze, lat sześćdziesiąt właśnie dziś dobiegu,
Raz pierwszy z tęj przystani odbilem od brzegu;
Nasz statek trzymasztowy, stary grat, wpół-zgnity,
Zdatny chyba na ogień,— a toć, Boże miły!

Zwano go Honoratką, i do tego piękną!
Wiatr dmie w oczy, że żagle o mało nie pękną.

Jam rósł bosi, sierota, przy stryju, co głowę
Lubił zaléwać trunkiem; co dnia plagi nowe
Na biedne plecy moje sypały się gradem,
Nie zliczyćby siniaków na mém licu bladém;
Na myśl samę, po skórze przechodzą mnie dreszcze!
Oj! byłoż na tym statku stokroć gorzej jeszcze!
Tu ja się nauczyłem co cierpieć, i krzykiem
Nie ulżyć nawet sercu!

Majtki ze sternikiem

Coś gwarzą, a ja słyszę gdzie ten statek zmierza.
On tam na afrykańskie pędzi gdzieś wybrzeża;
Kapitan murzynami nieludzko frymarczy.
Co ja przy nim wytrwałem! na to słów nie starczy.
Obrotny to był człowiek, istny kat z rzemiosła,
Twarda mu dyscyplina do ręki przyrosła;
Wciąż nią wali, a bluza żelzywemi słowy:
Wszyscy drżą, ja najbardziej chłopiec okrętowy.
Jam wystawion na pierwsze pioruny i burze:
Piotr czy Paweł zawinił, wszystko na méj skórze
Odbiło się razami; ów szturgnie, pchnie drugi,
Do śmierci nie przepomnę téj pierwszój żeglugi!
Ten uderzy w policzek, tamten w bok kulakiem,
I nikt nie miał litości nad biednym dzieciakiem;
Wszyscy wrzeszczą i wałą, drą kędziory z czoła,
I mówią: dla żeglarzy to jedyna szkoła!

Łez się w końcu przebrało! nie płakałem prawie,
I byłbym już bez chyby zmarł w onéj przeprawie,
Kiedy Bóg mnie pocieszył w doli nieszczęśliwej:
Wśród niepoczciwych ludzi był tam pies poczciwy,
Jak ja żył w poniewierce i strasznym uoisku.
Szczerego przyjaciela znalazłem w tém psisku.

Piękny to czarny *Terre neuve*, ztąd Krukiem go zwano.
Oczy miał jakby złote; pamiętam, co rano,
Ledwie ze snu się zbudził, na mój głos przybieży,
Jak cień włóczy się za mną lub u nóg mi leży;
A gdy po wrzawie dziennéj wszystko milknie nocą,
I na nieba sklepieniu gwiazdy zamigocą,
Gdy ten i ów kącika na spoczynek szuka,
Kładę się na pomoście, przytulon do Kruka,
I oburącz z miłością szyję mu ogarnę,
I strugą łez gorących zléwam kudły czarne.

Pchany wiatrem żaglowiec na falach się waży,
A pies grubym ozorem liże mnie po twarzy.

Biódny mój Kruk, on wiecznie na oczach mi stoi!“

Jan poniósł do ust szklankę.

„Oj tak, bracia moi!

Mieliśmy wiatr pomyslny, ale skwar dopieka,
Nad wieczorem kapitan zwietrzył coś z daleka.
Straszny człek, ale żeglarz dzielny, co się zowie!
Zmarszczył brwi, jakieś troski chodzą mu po głowie.

„Widzisz tam czarne ziarnko?“—rzecze do sternika.
Tamten na to:

„Oj czarne, wprost ku nam pomyka!“

„Hej, służba! gość nie lada! żwawo na drabiny!
Przytwierdzić maszt do masztu, pociągnąć za liny,
Zwinąć żagle: tam burza zbiera się okrutna!“
Poskoczą żwawe majtki, w lot zwinęli płótna.
Kapitan przygotował wszystko jak należy,
Lecz okręt stary gruchot. Aż tu wiatr uderzy,
Tańcujem jak szaleni; choćby same czarty
Stanęły tam u rudła, okręt wichrem party,
Nie wytrwa, trzeszczy cały; już woda na spodzie,
Już i pomost zalany: brniemy po pas w wodzie.
Wicher nami szamocze, ulewa wzrok ślepi.
Do szalupy! kto żywy!... tam schronić się lepiéj!
Statek przepadł! Wtém pomost zawalił się cały,
Huk, jakby grom uderzył lub działa zagrzmiały:
Wpadliśmy wszyscy w morze!

Co tam było zemną,

Tego ludzkim językiem powiedzieć daremno.
Kiedy statek tonący na dno mnie porywa,
Cała przeszłość mi w oczach stanęła jak żywa;
Widzę przystań szeroką, i kościółka wieże,
I wioskę, i skaliste widzę to wybrzeże,
Gdzie zbierałem muszelki...

Już usta i uszy

Pełne wody, tchu brakło; coś dławi mnie, głuszy,
Nie umiem całkiem pływać; serce ledwie bije.
Wtém Kruk paszczą zębatą schwycił mnie za szyję;
Widzę, pusta szalupa kołysze się blisko:
Jednym rzutkiem zamachem dopadło jój psisko.
Wyteżam wszystkie siły, czepiam się krawędzi;
Wskoczyłem w nią, pies za mną, wiatr szybko nas pędzi:

Dwu nas tylko łódź krucha z rozbicia uniosła,
Lecimy w siną przestrzeń, bez masztu, bez wiosła.

Miałem ja dość odwagi, acz chłopak nie duży.
Pogoda nastąpiła niedługo po burzy;
Wziąłem rzecz na rozwałkę: jeśli jakiś statek
Nie zjawi się dziś, jutro, trzebaż naostatek
Umrzeć śmiercią głodową! Kędy powieść oczy,
Spiętrzona tylko fala za falą się toczy;
Brzeg daleko, do lądu łódź dotrzeć nie zdoła:
Samemu jak tu straszno, jak pusto dokoła!
Lepiej było gryźć piasek na dnie chłodnej fali!"

Jan popił trochę grogu i ciągnie rzecz dalej:

„Pięć długich dni, pięć nocy może dłuższych jeszcze
Kolyszem się na wodzie; głód w żelazne kleszcze
Ścisnął moje wnętrze; zrazu mi do ucha
Coś szepce: może jutro... daremna otucha!
Jutro nic nie przyniosło, czy wytrwać tej męce?
Kruk siedzi u mych kolan i liże mi ręce.
Na niebie ani chmurki, słońce ciska żary,
Naprawdę wzrok w błękitne zapuszczam obszary;
Żagiel na widnokregu ani się zabieli.
W dniu piątym straszny płomień ucałowałem w gardzieli,
Twarz pała, krew mi w żyłach kipi gorączkowo.
Kruk wcisnął się pod ławę, nie poruszy głową;
Oczyrna tylko zerka trwożliwie na strony:
Wzrok psa płonie jaskrawo jak węgiel rozpalony.

Chodź tu, rzeknę, mój druhu,—niechże cię pogłaszczę!
On nie ruszył się z miejsca, lecz rozmyka paszczę.
Przystąpię... wstał ponuro, kitą nie zatrzępie,
Stoi... utopił we mnie płomieniste ślepie;
Zmarszczył straszliwie nozdrza, schwyciłby mnie może,
Gdybym z oczu mu nie zbieg!... Co to jest? mój Boże!
Do krawędzi zębami przyczepił się gniewnie,
Co widzę? Piana kłębem toczy się po drewnie.
Pięć dni nie jadł i nie pił, żary mózg przepiekiły:
Odgadłem całą prawdę... biedny Kruk .. on wściekły!
On, co mnie wyrwał z toni, ocalił mi życie,
Jedyny mój towarzysz... bracia! czy słyszycie?
On się wściekł! on oszalał!... ach! kto pojąć w stanie!
Ta łódka na szerokim sama oceanie,
A w niej to biedne dziecko w obec tego zwierza!
Żar słońca południowy w głowę mnie uderza,
Drzę jak liść, oczy moje ślepną od promieni;
Odbiegłem w kąt; nóż ostry dobywam z kieszeni,

Instynkt rękę prowadzi; szal ogarnia zmysły,
 Pies zawył przeraźliwie, kły białe zabłysły,
 Wymknąłem się, jak, nie wiem, garścią za kark schwyć.
 On łeb na gwałt przekręca, wylupił źrenice:
 Bóg siłę tchnął cudowną w słabą dziecka rękę;
 Kolanem przycisnąłem rozwartą paszczkę,
 Zachrapał całą piersią, niby miech w kuźnicy,
 A ja ostry nóż w gardło utkwilem do grdycy.

Zabiłem jedyne i pierwszego druha!

Jak się potem w mój piersi dopukano ducha,
 Jak mnie w krwi starzanego podjęli majtkowie,
 Co wracali do Hawru, ani śladu w głowie,
 Nic tego nie pamiętam.

Od tych dawnych czasów,
 Włos mój wpośród wojennych pobierał zapasów,
 Szedłem w ogień na oślep gdy komenda każe.
 Pomnę, jak straszno działa rykły w Trafalgarze,
 Jak z pontonów plymuckich zbiegałem z drużyną,
 Jak mi rękę urwała kula w Nawaryno!
 Tylem się namozolił i przeboleł tyle,
 A gdy obliczam w myśli te ojęzkich prób chwile,
 Żadna tak mi kamieniem piersi nie przyciska,
 Jak ta, gdy mój krew wytoczył z żył wiernego psiska.
 Nie zamknąć mi dziś powiek, przegwarzmy noc długą,
 Bracia moi.

Szynkarzu, daj tu szklankę drugą!"

Kilka miesięcy temu, wspominając dzieło p. Antoniego Latour: *Walencya i Walladolid*, mówiliśmy o domu Krzysztofa Kolumba w ostatniem z tych miast i o grobowcu jego w Hawannie. Byliśmy wtedy w błędzie zarówno jak sam Latour. Nikomu na obu półkulach nie przyszło wtedy na myśl, aby grób w Hawannie miał być pustym lub ukrywał cudze zwłoki. Dziś tymczasem grób ten jest przedmiotem najżywszych sporów hiszpańsko-amerykańskiej prasy.

Wiadomo, że stosownie do ostatniej woli Kolumba, zwłoki jego przeprowadzone zostały w r. 1536 na wyspę San-Domingo. W lat dwieście sześćdziesiąt potem, w skutek powstania Murzynów (1795 r.), postanowiono przenieść te zwłoki do Hawanny. Tymczasem dziś, mieszkańcy San-Domingo utrzymują, jakoby odkryli pod wielkim ołtarzem w katedrze Ś-go Dominika owe drogocenne szczątki. Oto szczegóły dotyczące odkrycia.

W dniu 10 sierpnia 1877 roku, robotnicy, zajęci naprawą katedry, wynaleźli w sklepie podziemnym, obok tronu arcybiskupa, skrzynkę ołowianą, długą na 49, szeroką na 20 centymetrów. Pojedyncze

litery i wyrazy zredukowane według praw abrewiacyi, tworzą na skrzynce następujący napis: *Descubridor de la America, primer almirante, Cristobal Colon, Almirante, Illustre y esclarecido varon de Cristobal Colon* (Wynalazca Ameryki, pierwszy admirał, prześwietny Krzysztof Kolumb).

Podjęto skrzynkę 17 stycznia r. b. w obec miejscowych władz i konsulów rozmaitych państw, reprezentowanych w San-Domingo, tudzież komisji, wyprawionej przez rząd hiszpański w Hawanny; pomieszczono ją na wspianiałym katafalku w sali kolegium Ś-go Ludwika.

Po rozlicznych mowach, stósownych do okoliczności, muzyka zagrała marsza żałobnego. Wówczasto złamano pieczęcie, otworzono skrzynkę i wydobyto z niej drogie zwłoki. Pod spodem leżała tabliczka srebrna z napisem: *U D Delosr del P. Al D Christobal Colon-Des. t. j.: Część zwłok pierwszego admirała, don Krzysztofa Kolumba, wynalazcy.* Po drugiej stronie stał napis: *U Cristobal Colon.* Po dokładném rozpatrzeniu kości, zfotografowano je, poczem zamknięto skrzynkę i położono pieczęć.

Lubo całe miasto San-Domingo przekonane jest, że posiada zwłoki Kolumba, uczeni dotąd nie wyrzekli stanowczo o ich autentyczności. Szczegółowe sprawozdanie z odkrycia wkrótce zostanie ogłoszone drukiem. Tradycja miejscowa mówi, że w 1795 roku, po traktacie bazylejskim, zanim rząd hiszpański oddał Francji wschodnią część wyspy San-Domingo, wprzód jeszcze rozkazał przenieść zwłoki Kolumba do Hawanny. Wówczasto kanonik jeden w miejsce prochów sławnego Genuńczyka wydał zwłoki jego brata Don Dyego i te pomieszczone zostały w katedrze hawańskiej.

Tajemnicza ta sprawa przypomina zupełnie spór o zwłoki Ś-go Wojciecha, między Gnieznem a Pragą, wyjaśniony przez Szajnochę w dziełku o *Bolesławie Chrobrym*.

Francuzka Akademia nauk okryta dziś żałobą. W ciągu kilku ostatnich tygodni straciła trzech wielkich przedstawicieli swoich, których stawa wybiegła za obręb kraju i przyświecała w świecie. Mówimy tu o znakomitych fizykach, Becquerelu, Wiktorze Regnault i o wielkim fizyologu Claude Bernardzie.

Becquerel umarł w 90 roku życia. Mimo późnego wieku, czynny do ostatniej chwili, kilka miesięcy temu jeszcze, przedstawił Akademii wyniki ostatnich spostrzeżeń swoich o fenomenach elektryczności.

Zostawiamy specjalistom określenie prac Becquerela, zapisujemy tylko imię pracownika, który przez lat siedmdziesiąt służył bezprzerwanie Francji. Skończywszy nauki w szkole politechnicznej za pierwszego cesarstwa w r. 1808 rozpoczął służbę w Hiszpanii, jako inżynier wojskowy walczył pod Saragosa, Lerydą, Taragoną. Ranny w rękę przy oblężeniu fortu Francoli nie opuścił jednakże stanowiska. Otrzymał w nagrodę krzyż Legii honorowej.

W r. 1815 porzucił służbę wojskową, a oddał się wyłącznie badaniom naukowym; pierwszą pracę poświęcił geologii. Przez lat czterdzieści wykładał fizykę w muzeum historii naturalnej. Tradycja naukowa pozostała w rodzinie Becquerelów. Syn jego jest już od lat wielu członkiem Akademii Nauk, wnuk wykłada fizykę w szkole politechnicznej.

Wiktor Regnault młodszy znacznie od Becquerela równie zastąpił we Francji na drodze ścisłych nauk, już to wykładem w szkole górniczej i kolegium francuzkiem, już to zastosowaniem praw fizyki do przemysłu. Od lat dwudziestu był dyrektorem fabryki porcelany w Sévres. Sam, otoczony sławą, chlubił się niemniej sławnym synem Henrykiem, najgenialniejszym z malarzy współczesnych; kiedy w r. 1871 tenże syn poległ bohatercko pod Buzenwalem. Niedosyć jeszcze tego ciosu: wszystkie rękopisma Regnaulta, wszystkie cyfry pracowicie gromadzone przez lat 40, spłonęły w Sévres; zniszczył je pożar rozlony pruską ręką. Odtąd Regnault, złamany na duszy i na ciele, dogorywał powoli. Po siedmioletniem konaniu umarł 19 stycznia, w rocznicę bitwy pod Buzenwalem!

Ale największą klęską dla Francji i dla świata naukowego jest śmierć Claude-Bernarda. Był to, jak wiadomo najznakomitszy fizyolog tych czasów. J. B. Dumas, sekretarz Akademii nauk, tak określa geniusz zmarłego. „Po wielkich poprzednikach, jak Lavoisier, Laplace, Bichat, Magendie, którzy otworzyli mu drogę, Claude-Bernard wyczerpał siły na badaniu wielkich tajemnic życia, bez pretensji odkrycia jego początków. Astronom nie zna przyczyny atrakcji powszechnej, a przecież oblicza na pewno pochod gwiazd, utrzymywanych w przestrzeni i kierowanych jej siłą. Tak samo i Claude-Bernard osądził, że wolno fizyologowi tłumaczyć fenomena życia, za pomocą fizyki i chemii, które są działaczami, lubo życie i myśl kierujące działaniem pozostają dla niego niedościgłe.”

Rzeczpospolita uczciła zasługi uczonego, wyprawiając mu wspinały pogrzeb narodowy w obszernym kościele Ś-go Sulpicyusza.

Claude-Bernard był duszą Akademii Nauk. Akademia czterdziestu pomieściła go także w gronie swoim. Powiemy o nim obszerniej, kiedy następcą, wybrany przez to ciało naukowe, uczci wszechstronnie prace wielkiego poprzednika.

Flandrya francuzka obchodziła świeżo dwusetną rocznicę połączenia swego z Francją. Z tego to powodu p. Durieux Flamaniczek wydał ozdobne dzieło p. t. *Oblężenie miasta Cambray przez Ludwika XI V-go*. Jest to dyaryusz wypadków zaszłych w mieście, ułożony według urzędowych dokumentów: wytworne ryciny zdobną publikację.

Flandrya przyklasnęła z radością tryumfom oręża francuzkiego; czuła, że im zawdzięcza oswobodzenie swoje. Od dwustu lat nie nie zmąciło najściślejśzej jedności Flamanów z Francuzami. Krew wspólnie przelana w końcu zeszłego wieku, tém ściślej scymentowała ową

jedność. Obchód tegoroczny, bardzo wspaniały, jest oczywiście protestacją przeciwko pogadankom, jakoby centraliści niemieccy zamierzali przy zdarzonej sposobności przyłączyć Flandryą francuzką do Belgii.

Pozostało po Thiersie kilka ważnych rękopismów nieogłoszonych drukiem. Z tych jeden, wykończony zupełnie, obejmuje historią indemnizacji wojennej pięciu miliardów. Autor opisuje szczegółowo układy z państwem niemieckiem i tranzakcye, dotyczące się pożyczki. Inny rękopis zawiera oderwane ustępy z prezydencji Thiersa podczas pobytu w Bordeaux, a następnie w Wersalu za komuny. Trzeci zbiorem jest notat, dotyczących rozmaitych zdarzeń politycznych z czasów Ludwika Filipa. Ten rękopis znajduje się w Anglii. Pozostało nareszcie niewykończone dzieło o początku i przeznaczeniu człowieka.

Ważniejszym nad to wszystko pomnikiem historycznym jest niewątpliwie rozległa korespondencja Thiersa, dotycząca najrozmaitszych przedmiotów. Niewiadomo jeszcze, jak prędko ta korespondencja drukowaną zostanie. Może być, że względy na osoby żyjące dotąd, zatrzymają na czas jakiś jej ogłoszenie. Widzimy oto, że pamiętniki Meternicha wychodzą dziś dopiero w trzydzieści lat po skonie austriackiego męża stanu. Pamiętniki te zawarte będą w ośmiu tomach. Wielka część notat, które służyły do ich zredagowania, opuszczoną będzie zupełnie; Meternich bowiem kreślił je znakami własnego wymysłu. Kiedy też znajdzie się jakiś Champolion, do odczytania tych tajemniczych hieroglifów?

Jakkolwiek nie należy do nas sprawozdanie z literatury niemieckiej, trudno nam przemilczeć o noworocznej publikacji wiedeńskiej p. t.: *Dioscuren*, choćby dlatego tylko, że mieści w sobie śliczny przedkład *Dziadów* Mickiewicza wraz z obszernym studyum. Zbiorowe pismo *Dioscuren*, wydawane corocznie przez Towarzystwo austriacko-węgierskie, pod opieką barona Falke de Lilienstein, liczy już siódmy rok istnienia; dochód z niego przeznaczony na utworzenie wyższej instytucji naukowej dla pańien.

Publikacja ta zaleca się wielką rozmaitością. Najpierwsi autorowie, tak austriacy jak węgiercy biorą w niej stały udział. W tym roku wzięli za godło: *Kampf um's Recht*, walka za prawo! Rozbiera to godło p. Juliusz Sorger w filozoficznej rozprawie pełnej doniosłości. Pani Henryka Kühne Arkort podjęła pytania, tyczące kobiety w społeczeństwie; określa jej prawa i obowiązki. Zostawiamy innym ocenienie rozprawy, w której autorka rozdziela zbytecznie dwie połowy rodu ludzkiego, głosząc, iż dla mężczyzn wystarczy może wielka idea, głównym zaś celem kobiet spełnienie obowiązków. Pytamy tylko, jak można spełnić powinność w całym znaczeniu słowa, jeśli wielka idea nie stanie się pobudką czynu i nagrodą ofiary!

W zbiorze licznych poezyi, tak oryginalnych, jak przełożonych z włoskiego, madziarskiego i t. p., uderza szczególnie piękny ustęp z tragedyi bohaterkiej *Tasilo*, Ferdynanda Laer. Poemat osnuty na bajecznym cyklu Karola Wielkiego. Książę bawarski głównym tu bohaterem.

Obszerny dział zajmują rozprawy historyczne, z tych najznakomitsza rozprawa Blumenstocka o Mickiewiczu. Krytyk za główny jej przedmiot obrał poemat *Dziady*, przełożony niedawno pięknym wierszem przez Siegfryda Lipnera. Najcelniejsze ustępy, przytoczone w ciągu rozprawy bardzo ją ożywiają.

Znajdujemy inne studyum, poświęcone zmarłemu niedawno poecie kroackiemu Piotrowi Preradovic. Oddany od młodu poezyi, Preradovic wziął się zarówno do służby wojskowej, wcześniej doszedł stopnia kapitana. Umarł w r. 1872, mając zaledwie lat 54. Widzimy w *Dioskurach* liczne przekłady jego poetycznych utworów.

Dajemy tu ciekawe cyfry statystyczne, pokazujące stan dziennikarstwa, u wszystkich ludów europejskich. Poczta niemiecka rozwozi 6,819 dzienników; między tymi jest niemieckich 4,596, francuzkich 831, angielskich 704, włoskich 142, szwedzkich 89, norweskich 26, portugalskich 3, hiszpańskich 27, serbskich 5, czeskich 18, kroackich 3, duńskich 62, fiński 1, greckich 9, ormiańskich 2, hebrajskich 6, holenderskich 80, litewskich 2, perskich 2, polskich 62, romańskich 2, rumuńskich 32, rosyjskich 69, ruskich 2, słowacki 1, tureckich 4, węgierskich 28, flamandzkich 5, wendyjskich 6.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Obrazki geograficzne. Napisał L. Tatomir. Lwów, 1878 roku.
W 8-ce, str. 392. Nakładem K. Wilda.

Świeżo pod tym tytułem wyszła we Lwowie książeczka podająca wiadomości z geografii fizycznej w sposób przystępny i zajmujący, z utrzymaniem jednak odpowiedniego najnowszym postępom nauki stanowiska, jest dla ubogiej naszej literatury nauczającej pożądanym nabytkiem. Tego rodzaju prace powinniśmy witać z sympatją, tém większą w obecnym razie, że imię autora od lat kilkunastu znaném jest z poważnych opracowań, głównie w zakresie geografii kraju. I tak:

w roku 1863 wyszła jego *Geografia fizyczna Polski*. W r. 1876 ukazała się w drugim już wydaniu *Geografia Galicyi*, dzieło przez radę szkolną zalecone do użycia w szkołach galicyjskich. Obie te książki mają niezaprzeczenie wielkie zalety; obowiązkiem atoli rady szkolnej było zwrócić uwagę autora na pewne błędy językowe, których w książkach elementarnych dopuszczać w żadnym razie niepowinna; dotkliwy to, ale gwałtowną potrzebą położenia wywołany zarzut, większej części książek szkolnych galicyjskich sprawiedliwie się należy. Obok tych prac geograficznych podjął autor zadanie trudniejsze, opowiedzenia potocznie dziejów Polski, i tomik pierwszy doprowadzony do śmierci Kazimierza W., wyszedł jeszcze w r. 1866 (a jak z ogłoszeń księgarskich dowiadujemy się, wyszedł już i tomik drugi do zgonu Aleksandra Jagiellończyka). Po ukończeniu dzieło to znajdzie zapewne właściwego sędziego i sprawiedliwą ocenę, dziś odważę się tylko zrobić uwagę, że wykład dziejów dla umysłów i serc młodocianych inne wcale ma zadanie niż kompendyum dla młodzieży dorosłej, nie mogącej wprawdzie mieć jeszcze sądu dojrzałego, wyrabiającego się doświadczeniami życia i rozwagą własną, ale mającej już zasady wpojone, których nie zwichnie nawet przykry niekiedy krytycyzm.

Największa praca autora o której właśnie zamierzyłem tutaj zdać krótką sprawę, wraca znowu na pole studyów geograficznych. Jestto szereg obrazów natury, na łonie której człowiek wraz ze wszystkim co żyje znalazł przytułek, a od szczodroty lub srogości jej zależąc, musi jej właściwości najwięcej na warunki życia wpływające poznawać, i główne jej działanie rozumieć, aby wymódcz częstokroć na niej czego-by sama nie dała. W tej to zdolności właśnie polega tajemnica, że gdy zwierzęta dzikie w zamkniętych tylko zwykle obrębach są rozmieszczone na ziemi, człowiek zamieszkuje wszystkie części świata i wszystkie strefy klimatyczne. Tomik który mamy pod ręką niewyczerpuje wcale przedmiotu, jest jakby rozpoczęciem tylko prac, które, godzi się oczekiwać, dalej w tym kierunku prowadzone będą. Tu mamy podane trzy osobne ustępy niewiążące się z sobą treścią. Pierwszą część stanowi wykład o źródłach, w szczególności zaś o źródłach gorących, gajzerach i fumarolach. Drugą jeden tylko szczegół, ale obszernie obrobiony, jestto studyum o bursztynie, historia znajomości tej żywicy od czasów najdawniejszych i wiadomości o jej znajdowaniu, zwłaszcza w morzu Bałtyckim. Trzecią część najobszerniejszą stanowi traktat o klimatach pod względem wpływu na życie w ogólności i zależnej od tego fizyognomii świata ożywionego; jest tu objaśnienie stref na globie i dwa większe obrazy okolic niesprzyjających życiu organicznemu, tak zwanych pustyń: obraz pustyń przybiegunowych, tundry, lodowce; tudzież obraz pustyń spowodowanych brakiem wody, stepy i pustynie pasa gorącego.

Dar wykładu jasnego i umiejętność ożywienia przedmiotu podnoszą wysoko wartość tej książki. Traktat o źródłach chociaż wymaga od młodych czytelników odpowiedniego przygotowania naukowego, a mianowicie znajomości i rozumienia pewnych praw z fizyki, jeżeli

z pożytkiem mają go czytać, wynagradza ich zato podaniem wielu wiadomości przez najświeższych podróżników dostarczonych i naukowo ważnych, a ludziom nawet z pretensją do wyższego kształcenia mało znanych. Rzecz o bursztynie, tak napozór przystępna, a z powodu znajdowania go u nas wzbudzająca zajęcie, żałować należy że dla braku dotychczas wiadomości pewnych, nie mogła być uzupełnioną wskazaniem rozmieszczenia bursztynu kopalnego w kraju naszym, choćby też tylko na północno-wschodniem Mazowszu. Ogranicza się więc autor prawie wyłącznie do bursztynu morskiego, przyczém następcza mu się dotknięcie kwestyi naukowej dotąd nie dostatecznie wyjaśnionej, a mianowicie gdzie téż to rosły owe lasy drzewa bursztynowego, które taką masę żywicy téj wydały i po sobie zostawiły; czy pokrywały one miejsca dno Bałtyku obecnie stanowiące, czy téż dalszą jeszcze północ Skandynawii. Jaka wreszcie jest przyczyna, że tylko drobne szczątki samego drzewa są znane, wcale ilości produktu nie odpowiadające, nie dostateczne nawet do określenia dokładnego wymiarów drzewa.

Ustęp trzeci od obu poprzednich obszerniejszy, w obrazach krajów polarnych stawia przed oczy czytelnika widoki pełne prawdy i grozy, w scenach z życia stepowego i obrazie pustyń, ma miejsca słabsze, tam mianowicie gdzie z powodu niedostatecznego czasem materiału, zmuszony bywa autor wynagradzać ten brak wyobraźnią, a szerokie ramy obrazu zapełniać zbytecznymi niekiedy ozdobami stylowemi. Drobiazgowością może jest w obrazie rozległym, swobodnymi pociągami kreślonym, wymagać dokładności każdego szczegółu; kto jednak na obraz ten napatrzył się w naturze i w pamięci go zachował, nie dziw że chciałby na podstawie owéj znajomości przyczynić się do sprostowania chociaż drobnych tych niedokładności w szczegółach. (Uwagi do tego ściągające się znajdzie czytelnik na końcu artykułu wraz z uwagami nad usterkami językowemi podane).

Książce atoli przeznaczonej dla młodzieży, cięższy zarzut przynoszą usterki językowe, dla tych pobłażliwemi być nam się nie godzi. Język to już ostatnie jedności naszej narodowej znamię, szanować go tedy i chronić od skażenia świętym jest obowiązkiem, warunkiem życia. Dla sprawozdawcy najprzykrzejszém więc jest zadaniem wytknąć, że książka napisana z talentem, kompendyum pożyteczne, odznaczające się umiejętym wyborem źródeł i sumiennością w ich wskazaniu, książka któraby mogła oddać wielkie usługi sprawie wychowania zwłaszcza domowego, gdzie przy mniejszych pomocach przychodzi częstokroć o własnych siłach się kształcić, doznać musi sądu surowego za nieposzanowanie języka i niedostateczną jego znajomość. Nie mało w ujęciu wyrażen wadliwych lub dziwacznych, a książce naukowej nieodpowiednich, wyrazów niezrozumiałych lub wyszukanych, nawet błędów gramatycznych. (Wykaz tych usterek jako rzecz suchą a jednak potrzebną dołącza się na końcu). Gdzie leży przyczyna złego, czy w psuciu się języka upadającego pod różnemi nieprzyjaznemi w różnych częściach kraju wpływami, czy téż zjawisko to tylko przemijające jak moda? sądzę że to ostatnie. Pod-

bnych wyrażen niezwykłych i słów nieznanych używać lubił dość często już Pol, dla dosadności, dla podniesienia kolorytu miejscowego. Są to więc najczęściej prowincjonalizmy, w użyciu miejscowem powszednie i nikomu nie obce, które z ust ludu podsłuchane i powtórzone, odsłaniać mają czytelnikowi jedną ustron ziemi naszej po drugiej, z krańca przenosić na kraniec. Poetom wiele dozwolono, ale naśladować ich nie we wszystkim można. Otóż to co było osobistą fantazją poety, przerodziło się przez naśladownictwo w manierę, nauce ścisłej nieodpowiednią, estetycznie niesmaczną, dla języka w wysokim stopniu szkodliwą. Ze zaś język nie psuje się w ogólności, świadczą objawy obecne: w dziedzinie oto geografii, na której się tu ograniczamy, ukazała się współcześnie książeczka, skromna objętością, odmiennym wcale przemawiającą językiem. Listy z Peruwii i Boliwii, w dalekich tych stronach przebywającego inżyniera Klugera, odznaczają się wdziękiem opowiadania pełnym prostoty i powagi, bez żadnych jaskrawych ornamentacyi. Z drugiej strony maniera także tworzy szkołę piszących w zawodzie naukowym, za przykład posłuży niedawno we Lwowie wydana geografia dla szkół, z niemieckiego przełożona przez prof. Starkla. Też same w niej lub podobne wyrażenia i formy co u Tatomira. I u niego rzeki uchodzą, jeziora rozlały się, równiny rozkładają się, doliny rozparły się między górami, ludność szczupła, lecz zwiększa się ustawicznie (to jest nieliczna lecz ciągle wzrasta), ciepło wzrasta w miarę *czem* raz głębszego zapuszczania się we wnętrze ziemi, kraj ma tём więcej mieszkańców *czem* więcej ich wyżywić może. Mapy fizykalne, zatoka rygajska (tak samo jak na mapie Topolnickiego), zatoka obajaska, w Syberii wschodniej grzbiet stanowojski, rzeka Jenizej i miasto Jenizejsk. Z tej strony Obu, u źródeł Suchonu. Węgry *odszczególniają* się obfitością minerałów. (Kopalnie rossyjskie dostarczają wielkiej ilości cyny, stronica 240, to błąd nie językowy). Chiny mają wiele potężnych *strumieni*. W Sudanie jest wiele państw zwanych nazwiskiem *kaźdorazowego* władcy. Sahara, którą dotąd miano za pustynię, jest przeciwnie największą na ziemi *puszczą*, oczywiście większą od Białowieżkiéj. Wszystkiego wytykać tu nie miejsce, kilka tylko jeszcze przykładów odmian gramatycznych. We wstępie na pierwszej zaraz stronicy czytamy: twory wzajem na siebie oddziałują; dalej, Szwajcarya dorównuje niemieckim państwom.

Na takich to wzorach młodzież szkolna ma kształcić język. Co ma być za lat sto przewidzieć nie możemy, ale przed stu laty wiemy że komisya edukacyjna z inném nad książkami do wykładów w szkole przeznaczonemi, baczniem czuwała. Postępu ku lepszemu w tym względzie nie ma, oby tylko cofania się nie było. Śmiało jedynie wykazanie niebezpieczeństwa odwrócić je zdoła ¹⁾. A. Wałeckii.

¹⁾. a) Uwagi odnoszące się do treści.

Dwutygodnik Naukowy poświęcony archeologii, historii i lingwistyce. Numera: 1, 2, 3, 4, 5. Kraków. W drukarni Wł. L. Anczyca. 1878 r.

Pod tym tytułem rozpoczęło życie pismo, którego pięć zeszytów pierwszych mamy przed sobą. Niepodobna jest z tych początków wyrobić już sąd o doniosłości pisma; w dalszym biegu dopiero może ono złożyć dowody swęj żywotności. Nateraz możemy tylko zaznaczyć, iż nietylko nie napotyka się w wyszłych dotąd zeszytach nic takiego, coby obawę o przyszłość publikacyi obudzać lub zniechęcać do niej mogło, ale owszem tak główne artykuły, jak całość razem wzięta dobrą stanowią wróżbę.

we z wspólnego zasobu nazw zrozumiałych we wszystkich językach, niż bez potrzeby i korzyści tworzyć dla nich imiona rzekomo swojskie, które jak prawa do swojskości nie nadadzą rzeczom, tak same zwykle po cudacku wyglądają. Na téj zasadzie, pożytecznieję wiedzę czytelnika polskiego zaspokoją nazwy: Ignam (*Dioscorea*) niż Pochrzyn, lepsze są: Agawa niż Tęża, Pandan niż Pochutnik, rodzina Bromeliowych lub Ananasowych niż Zapylcowatych (poczerpnięte z Ukaziciela Nazwisk A. Wagi). Sam autor wolał użyć Pizang (*Banan*), Rawenala, Opuncya, Mangla, Baobab niżeli Błogosława, Pielgrzan, Żygadla, Srożypląt, Światogład i t. p.

Str. 163. Dolatuje nas *szczekanie* psów, o parę kart niżej (168 str.) psy rasy amerykańskiej nie umieją szczeakać (ujadanie, skomlenie, wycie).

Str. 183. Sto mil *morskich* dzieliło jeszcze wyprawę od bieguna... omyłka przez prostą nieuwagę, zamiast geograficznych (83° 20' sz. pn. dopełnienie więc $6\frac{2}{3}^{\circ} = 100$ m. g.).

Str. 220. (Obraz stepu). W powietrzu zawisł na rozpostartych skrzydłach krogulec... krogulec ptak krótkoskrzydły ma lot pracowity, chociaż bardzo zwrotny i szybki, nie zawiesza się jak sokoliki, a mianowicie pustulka, w stepach często spostrzegana, krogulec zaś trzyma się okolic leśnych, step mija tylko przelotem.

Str. 221. Gdy noc zapadnie... z komyszów wymykają się dropie żerować na łanach... o komyszach będzie niżej, tu tylko dwie rzeczy sprostować trzeba: dróp żyje w miejscach otwartych, polistych, nie chowa się nigdy w gęstwiny, podczas upału przypada do ziemi tak płasko przytulony, że o kilka kroków koło niego przejść można a niedostrzedz; powtóre nie żeruje w nocy lecz rankiem do upału i gdy skwar dzienny minie, do zachodu słońca.

Str. 223. Wędrują zbitą gromadą bobaki.. Bobaki (*Tarbagany*) żyją gromadnie, ale siedziby mają stałe w obszernych norach na pagórkach (*butanach*), nie wędrują nigdy; rankiem, zwłaszcza po rosie, oddalają się pojedynczo od siedzib swoich załodwie na pareset kroków; w dzień przebiegają niekiedy w odwiedziny blizkich sąsiadów; wydeptano przez nie ścieżki od jednej osady do drugiej lub zbiegające ku dolinie, bywają na stepie niekiedy bardzo wyraźnie.

Trzy mianowicie artykuły: jeden nieskończony jeszcze, pod napisem: *Kamienna karta dziejów*, archeologiczny; drugi: *Hipoteza o Haliżu Słowackim*, historyczny; trzeci: *Mennica bydgoska*, historyczno-numizmatyczny, trzy te artykuły, dobrze inaugurują główne działy, którym pismo jest poświęcone. Ostatni z tych artykułów ks. Polkowskiego, szacownie znanego uczonego, jest początkiem i zapowiedzią długiego szeregu badań, mających objąć całą działalność naszych mennis. Pierwszy zaś, t. j. karta naszych dziejów p. Teodora Ziemięckiego, jest bardzo starannem i umiejętnem zestawieniem najnowszych badań nad przedmiotem, który jest zarazem i ciekawy i nowy. Dział tylko lingwistyczny lub zapowiedziany, jako jeden z przedmiotów głównych, którym pismo jest poświęcane, wcale w tych pięciu pierwszych

Upał przesypiają w norach, tylko strażnik zostawiony u wchodu, stojąc słupkiem wykręca się na wszystkie strony i donośnym głosem od czasu do czasu daje znak czujności.

Str. 228. Pelikany odznaczające się mimo ciężkiego ciała lotem...

Pelikan, pomimo okazałej wielkości, jest zadziwiająco lekkim, jest jakby cały nadęty powietrzem; kto miał sposobność porównać ciężkość zabitej gęsi z pelikanem, uderzony być musiał tą osobliwszą ich ciężkości różnicą.

Str. 254. Nie spotyka karawana w tych pustkowiach żadnego innego stworzenia, tylko wrony i jastrzębie. Pierwsze i t. d. Poczernięte to bezwątpienia z podróży Przewalskiego, biegłego znawcy ptaków, sędzę jednak (choć nie sprawdziłem tego ustępu szczegółowo w źródle), że zaszła tu pewna niedokładność w tłómaczeniu pomienionych nazw; to co następuje dalej, zdaje się raczej odnosić do kawek (lub czarnowronów) i kań, niż do wron i jastrzębi. Naszej wrony siwej tam niema, jastrzęb tylko w przelocie, ostrożny trzyma się zawsze zdale od ludzi, kania bezczelna kradnie z pod ręki.

Str. 232—236. Cały ten ustęp z życia koczowniczego na stepie kirgizkim nie daje prawdziwego wyobrażenia o życiu nomadów pasterzy, wydaje się bowiem, jakby ciągłym pochodem karawany. Tak nie jest i nigdzie, jak się zdaje, tak być nie może. Na stepie mongolskim przynajmniej, Buryaty żyją wprawdzie w jurtach przenośnych z wołoków pilśniowych, ale o ile tylko możność pozwala na tych samych miejscach, przykuci niejako bliskością źródła lub rzeczki, zmieniając tylko naprzemian stanowisko letnie i stanowisko zimowe. Stratowanie lub spasienie otaczającej okolicy nie zmusza jeszcze Buryata do koczowania na inne miejsce; owca znajdzie zawsze jeszcze w bliskości czém się pożywić, bydło rogate z pastuchem na osiodlanym wole posyła się choćby o milę odległości, tak że na nocleg nawet do koszar nie wraca; stadnina nie potrzebuje pastucha, podzielona na *kościaki*, każdy po kilkanaście klaczy pod dozorem ogiera, jego kierownictwu i rządowi podlega, troskliwość właściciela, ogranicza się do objechania raz na tydzień stepu dla powzięcia wiadomości, gdzie się który obraca. Wielbłądy bląkają się także samopas. Dopiero zbliżająca się zima, brak wody albo zupełny brak śniegu w okolicy, wreszcie wzgląd na zacisniejsze od wiatru miejsce, zasłonięte skałą lub schowane w jurze, mogą skłonić nomadę do zwinięcia jurt, spakowania ich na grzbiety wielbłądów i przekoczowania na złą porę, a powrotu z wiosną na

zeszytach dotkniętym nie został. Jedna krótka wiadomość o wykopalisku w Jabłówku w Prusach Zachodnich, nie zdaje się wskazywać szeroko rozgałęzionych korespondencyjnych stosunków nowego pisma. Spodziewać się mamy prawo, że część ta z czasem rozwinięta zostanie. Skromnie również przedstawia się dział krytyczny, a byłoby bardzo do życzenia, aby pismo to choć w części zastąpić mogło Przegląd krytyczny, który jak słychać wychodzić przestaje. Wprowadzane przez redakcją działy: przegląd prac Towarzystw naukowych, wiadomości i bibliografii, mogą stanowić nader pożyteczną część pisma, jeżeli stale i systematycznie będą prowadzone.

Zyczymy z serca powodzenia nowym pracownikom na niwie naukowej. S.

stare ognisko. Każde takie przenosiny są niedogodne i uciążliwe, ciągle więc błąkanie się po stepie z miejsca na miejsce, jakby z opisu wyobrazać sobie można, nigdzie bezwątpienia praktykowaném nie bywa.

Str. 275. Kuropatwy... i żółte skowronki (*Malurus Saharæ*). Pierwsze nie są żadnym gatunkiem kuropatwy, lecz długoskrzydłe pteroklesy czyli kangie. Drugie nie mają nic wspólnego ze skowronkiem, należą do rodziny pokrzewek (*Sylviae*), wśród których odznaczają się szczupłym ogonkiem i wyższymi nogami. Właściwsze przytém dla tego ptaszka jest nazwisko *Drymoica Saharæ*, gdyż rodzaj *Malurus* obejmuje gatunki wyłącznie z Nowej Holandyi kształtem podobne, lecz stale różniące się świetném ubarwieniem (przeważnie niebieskie). Ptaszek, o którym tu mowa, malutki jest jak nasze wołowe oczko, którego przypomina jeszcze zwinnością ruchów i zadartym w górę ogonkiem, lecz nóżki ma znacznie wyższe i barwę jaśniejszą, tak zwaną pustyniową, płowo piaskową.

Str. 276. Rodzaj *Łodygi* (*Limoniastrum Guyonianum*) zdaje się, że rodzaj to blizki *Statice* u Kluka *zawciąg*.

Str. 279. Długouchy biały lis (*Canis Zerda*). Fennek jest płowo izabelowy, jak prawie wszystkie zwierzęta i ptaki pustyni.

Str. 287. Palma... dotknąwszy wody końcem serdecznego korzenia... Palmy, tak jak inne jednoliścienne rośliny, jak cebula, jak trawy, mają korzenie bardzo liczne, wyrastające wiązką, wszystkie równo cienkie i prawie niegałęziste, tworzą one jakby brodę lub kiść, korzenia serdecznego nie mają.

b) Błędy językowe: wyrażenia lub zwroty obce, wadliwa budowa zdań, nieusprawiedliwione potrzebę użycie wyrazów obcych.

Str. 26. Hierapolis w Małej Azji.... po niemiecku Klein Asien, po rosyjsku Malaja Azija, u nas Azja Mniejsza (Asia minor, Asie minore).

Str. 226. (Jeziora solne). Sól wylugowana przez wodę z pokładów solnych, złożonych na *ich* dnie, tworzy na *ich* powierzchni skorupę krystaliczną... niemczyzną tę poprawić łatwo przez wyrzucenie zbytecznych tu zaimek: z pokładów złożonych na dnie, tworzy na powierzchni wody skorupę.

Wykaz zabytków przedhistorycznych na ziemiach polskich.
Zeszyt I. *Porzecza Warty i Baryczy* zestawił I. N. Sadowski.
W Warszawie. 1877 r., (w 8-ce, str. 60).

Komisya archeologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie, zajmuje się zbieraniem materyałów przedhistorycznych na wszystkich porzeczach polskich. Celem nadania tym pracom powszechnego użytku, postanowiła ogłosić zebrane dotąd materyały, wychodząc z tej myśli, że prace tego rodzaju nigdy w zupełności dokonane być nie mogą, i że spisy zabytków przedhistorycznych, chociaż niekompletne, po-

Str. 282. (Arabowie) złożywszy w jeden stos wory z wodą i przykrywszy je jak można najlepiej, aby uchronić *ich* wodę od wyparowania... (zawartą w nich wodę...).

Str. 283. Wielbłąd *jego* upada wysilony, kubłak *jego* próżny. Próbuje iść, ale wnet okrywają się *jego* nogi pęcherzami... Towarzysze *jego*... (w czterech wierszach cztery *jego*, a o kilka wierszy niżej jeszcze raz: jawią się przed zacierwioném okiem *jego* złudne obrazy...).

Str. 124. Obfitość opadu atmosferycznego zależy w *piérszym* rzędzie od wiatrów (przedewszystkiém).

Str. 133. *Jak długo* ród ludzki był w dziecięctwie (dopóki, pokąd).

Str. 238. Pomimo niebezpieczeństw krążą z roku w rok karawany... (corocznie, każdego roku) inny wzgląd wyraża z dnia na dzień odkładać, z roku na rok sposobić lub oszczędzać.

Str. 255. Jak tylko *zelżą* mrozy... (zelżeją).

Str. 257. Karawany są cechującą *sztafażą* w obrazie Gobi... (oprawą, ozdobą, strojem, krasą).

Str. 261. Jak wielbłąd jest pomiędzy zwierzętami *ideałem* poprzestawania na najskromniejszym pożywieniu, tak palma daktylowa jest takim *ideałem* pomiędzy drzewami (chyba idealnym wzorem, godłem, symbolem).

Str. 9. Ciepło wytwarza się z działania przeróżnych czynników *fizycznych*... to nie latynizm już ale barbaryzm.

Str. 46. J. Müller *skonstruował* przyrząd... (zrobił, zbudował, wykonał).

Str. 126. Oceany przyrównikowe *fungują* jako kotły, podbiegunowe lądy jako kondensatory... (funkcjonują, a prościej: oceany służą za kotły, lądy za oziębiacze, odbieralniki, albo spełniają niejako czynność kotłów).

Str. 271. Atlas niéma takiej wysokości, aby mógł skondenzować parę... szpetnego zetowania wyrazów wziętych z łaciny (uniwerzytet, konsul), który to nałóg dłuższemu wpływowi edukacji niemieckiej, Lwów mianowicie zawdzięcza, należałoby zapomnieć i do tradycyjnego u nas wymawiania łaciny wrócić. Wyraz *kondensować* można tu bardzo dobrze zastąpić słowem *zgęścić* lub *skroplić*.—Bryzy morskie, duny piaszczyste (209, 298, 102, 108 i nast.) są to wprawdzie wyrazy obce, ale jako nazwania rzeczy także nam obcych,

dadzą zawsze sposobność archeologom do rozpatrzenia się w sposobie rozszerzania się niektórych zabytków, jak np. grodzisk, mogił, grobów kamiennych, niektórych rodzajów przedmiotów brązowych i t. p., podając zarazem badaczom sposobność do strzeżenia okolic pod względem rozkopywania cmentarzysk pogańskich bardziej od innych zaniedbanych, co może korzystnie wpłynąć do zajęcia się nimi.

Owocem tych prac był zbiór troskliwy materyałów, z których, niniejszy *wykaz*, jeden z poważnych członków komisji archeologicznej zredagował, i staraniem jej wydrukował.

mogłyby z pożytkiem zostać językowi przyswojone; należało jednak w książce popularnej znaczenie tych terminów, choćby jaknajkrócej, nawiasowo objaśnić (peryodyczny powiew chłodny od morza; wydmy, zasy pyłotnego piasku, posuwające się ciągle od brzegów morza w głąb' lądu).

Wyrazy nieznanne, wyrażenia niezwykle lub niezrozumiałe.

Str. 1. Dziko *nasztyrmane* skały... (sterczące, najeżone?).

Str. 3. Źródła *wywierzyska* i krynice... (moczary, bagna?).

Str. 58. Potoki w tysiącnych *szypotach* i wodospadach pędzą... Str. 67. Rzeka pieniać się i szumiąc w tysiącnych szypotach przebija się...

Str. 96. *Zachłanni* Krzyżacy uznali bursztyn za własność skarbu...

Str. 219. Ciągną się gęste *komysze* (zarośla) tarniny... (wyraz pochodzenia zapewne tatarskiego, w języku rosyjskim znaczy trzciny nie zarośla).

Str. 220. Kryje się wszelkie życie w *komysze* i *oczerety*... (oba znaczą jedno i to samo).—Wody deszczowe zbierają się w błotne *bałki* (kaluże)... (bałka, wyraz także tatarski, znaczy parów, jar, nie kaluże).

Str. 265. Sahara tam się zaczyna, gdzie niema już stałych deszczów, tylko *tucze* nawalne... (ulewy, nawałnice).

Rzeka uchodzi do morza lub innej rzeki: wyrażenia tego używał Pol, używa go téż i autor w całej książce; sądzę jednak, że lepijby było nie naśladować w tém zasłużonego i miłowanego pisarza, którego język, w wierszu zwykle poprawny, w prozie niekiedy dziwaczy. Mówimy: rzeka ma ujście, ale wpada do morza. Wyraz *ujście* niema żadnego związku organicznego z pierwiastkiem słów: *isć, ujść, uchodzić*, jota jest w nim późniejszą wstawką eufoniczną, jak w wyrazach: *ojciec, miejsce* i mnóstwie innych: *zajrzeć, ujrzyć, dojrzały, wiejski* i t. p., w dawniejszej formie językowej wstawki téj nie było: mówiło się i pisało *uście*: Uście, Uściewiczko nad Notecią, téż same nazwy nad Dniestrem, Uście solne nad Wisłą, Uściług nad Bugiem, Uściwierz i wiele innych. Starój téj formie odpowiadają toż samo znaczenie mające wyrazy w innych językach europejskich: łacińskie *os, ostium*; francuzkie: *bouche, embouchure*; niemieckie: *Mund, Münde, Mündung*. Ujście zaś w znaczeniu *ucieczki, wyjścia, exitus, fuga, effugium*, stosować można do rzeki wychodzącej za granice kraju: Wisła, przerznąwszy Mazowsze, uchodzi do Prus i tam wpada do Bałtyku.

Błędy w rodzajowaniu, w morfologii i w głosowni.

Krawędź, rzeczownik żeński, kładzie autor w téj książce wszędzie w rodzaju męzkim: str. 65. Wschodni krawędź północnej wyspy... Krawędziem

Publikacye zebranych materyałów odbywać się będą porzeciami, jak nam autor we wstępie swoim zapowiada; obecna zajmuje porzecze Warty z dopływnikami, i prawie porzecze Baryczy. Tym samym porządkiem, jakim zebrane dotąd materyały ogłoszone zostają, nastąpi też publikacya ich dopełnień.

Ażeby z wydawnictwa tego i zagraniczni archeologowie korzystać mogli, autor obok wymienionych miejsc, kładzie znaki oznaczające sameż zabytki, *znaki*, jakie przyjęte zostały na kongresie archeologicznym sztokolmskim. O genezie tych znaków znajdujemy zajmujące szczegóły.

południowym opiera się o podnóże gór (str. 146, 296, 297 i inne). Zamiast *krawędź* właściwszym byłby tu *kraniec*, i uniknęłoby się błędu gramatycznego. — Nazwy rzek niektórych zamiast żeńskiego, są w rodzaju męzkim: str. 145, nad Obem (zam. nad Obią), str. 148, za biegiem rzek Mezenia, Obu(i); str. 156, na brzegu Obu; str. 231, niegdyś Amu wlewał się do Kaspiku; str. 238, długą wstęgą wije się Amu. Jego wody (wody jój) zdają się bez ruchu... Jak Nil, tak Amu, którego woda ma być jeszcze smaczniejszą od nilowej... Przytém skrócenie to nazwiska do połowy Amu, zamiast Amu Darya (Oxus starożytnych), jest zaśmiałe. Str. 239, Syr Darya i *jego* górskie dopływy... (i górskie jój dopływy). Str. 170, 171. Podnosi rękę z harpuną do góry... *świ*snęła harpuna i ustrzegła. Str. 224. Zagony zasiane konopiem. Używamy powszechnie tej nazwy tylko w liczbie mnogiej: zasiane konopiami, tak nazywają tę roślinę Kluk, Jakób Waga we *Florze* i Antoni Waga w *Nomenklatorze*, gdybyśmy zresztą, idąc za Jundziłłem, użyli tej nazwy wbrew zwyczajowi w liczbie pojedynczej: ta konop' lub konopia, to i wtedy byłoby zasiane konopią nie konopiem.

Str. 265. Olbrzymia sfiga zagrzebana w piaskach (na mocy zwyczaju sfinks jest u nas rodzaju męskiego). — Ryna (w wielu miejscach zamiast rynna, str. 83, 187, 271, 276, 288)... urządzają wanny i sprowadzają do nich wodę rynami... woda powylizywała ryny... za pomocą gipsowej ryny sprowadza wodę na grzędę. Że skrócenie to jest błędne, widocznie się okaże w wyrazach pochodnych: rynienka, wanienka, panienka, od rynna, wanna, panna, wyrazy zaś mające jedno *n*, jak lina, glina, dają zdrobniałe: linka, glinka, i tak we wszystkich: rana, żona, ranka, żonka; od ryna przeto musiałoby być rynka nie rynienka. — Pustyńny (w ciągu książki często zamiast pustynny, str. 1, 31, 80, 240, 252 i wiele innych). Zbieg ten spółgłosek, po *ń* miękkim *n* twarde, jest dla ucha niemily, a do wymówienia nieskładny; unikamy go też wszędzie w mowie naszej przez upodobnienie do siebie obu spółgłosek, i tak: od rzeczowników zakończonych na *ń* miękkie, jak: koń, broń, woń, tworzymy przymiotniki z *n* twardem: konny, obronny, wonny, płomień, promień, kamień, płomienny... sanie, sanna, pani, panna; dopiero rozdzielenie samogłoską zwraca miękkość pierwotną: panienka. Rzeczowniki na *nia* i *ni*, jak świątynia, bogini, przymiotników tej postaci (na *ny*) w ogóle nie dają, gdyby jednak dla rzeczownika *pustynia* zrobić w tym względzie ustępstwo, to utworzony przymiotnik musiałby być pustynny nie pustyńny. — Ochłodzony (zam. ochło-

Pierwotna myśl zaprowadzenia międzynarodowych znaków na zabytki przedhistoryczne powstała jeszcze w byłém Towarzystwie naukowem krakowskim, a mianowicie w jego komisji archeologicznej. Po długich obradach w jój łonie, i na podstawie zapadłych na jój posiedzeniach uchwał, Aleksander hr. Przeczdziecki przedstawił w roku 1871, zgromadzonym na kongresie Bonońskim uczonym projekt zaprowadzenia powszechnie uznanych znaków do map archeologicznych, za pomocą których możnaby w graficzny sposób, jakby wspólnym międzynarodowym językiem, udzielać wiadomości o zabytkach jakiegokolwiek kraju uczonym wszelkich innych narodowości. Nie poprzestał jednak wnioskodawca na samym projekcie, ale przedłożył rzecz gotową i opracowaną już w łonie osobnej w wydziale archeologicznym

dzony). Str. 80, woda ochłodzona. Str. 135, prąd równikowy ochłodzony. Chłód ma ó ściśnione z powodu końcowej w sylabie spółgłoski słabiej, która przechodząc do sylaby następnej, usuwa przyczynę ściśnienia, przeto: chłodu, chłodzić, chłodny, ochłodzony, podobnie od głód, głodu, ogłodzony; od grób grobu, grobowy; od wróg, wroga, wrogie żywiły.—Rozprószony: str. 108, rozprószone osady rybackie. Str. 156, z Aleutami rozprószonymi po wyspach. Str. 201, zamiast się rozprószyć, zbija się... Str. 233, trzoda przepusza się po szerokim stepie. Samogłoska pierwiastku ulega często przemianie, ale dowolności w tém niema: brać, biorę, bierze, zbiór; więcej jeszcze zmian daje nieść, nosić, niosę, niesiesz, niósł, przemaszam; z pierwiastku proch mamy: popruszyć śniegiem, rozproszyć nieprzyjaciół, rozpraszać mienie, imiesłowy są też: popruszony, rozproszony, rozpraszany. Ścieli się (zam. ściele się) często, np. str. 141, 203, 220, 251 i inne. Wprawdzie słowo *spać* ma *spi* nie idzie za tém jednak, aby formy takie nieprawidłowe, a zwyczajowi przeciwne, mnożyć. Prócz tego, słowo *ściele się* ma pewien w znaczeniu odcień, różniący je od słów: rozpościera się, rozprzestrzenia, rozlega, wyraża bowiem jakąś podległość, zależność: śnieg pada, sanna się ściele, zielona smuga ściele się kobiercem u podnóża skały, ale obszerne łąny w kraju równym rozlegają się jak oko sięgnie. Wyrażenie zatém, jak na str. 203: „Aż do krańców widnokregu ścieli się płaszczyna szara, gładka,“ malując przestrzeń równą, bezbrzeżną, wcale nicodpowiada owemu powyżej wskazanemu względowi.

Str. 95. Zwidził bursztyne wybrzeża. Str. 167. głód nawidza często tych biédaków. Str. 182. Oficerowie odwidzili grób Halla (i tak wszędzie). Inny rodowód ma słowo: nienawidzieć, nienawidził, znenawidzony, w znaczeniu: niecierpieć, nieznosić widoku, mieć nienawiść, inny zaś mają słowa: nawiedzić, zwiadzić, odwiedzić, wywiedzić się, ze znaczeniem powzięcia w różny sposób wiadomości, nawiedzenie, zwiady.

Niezajmującym bezwątpienia jest ten suchy wykaz usterek językowych, usprawiedliwić go wszakże powinna potrzeba ostrzeżenia używających téj zresztą bardzo pożytecznej książki, tudzież pragnienie ujrzenia następnych wydań uwolnionemi od wszelkiego zarzutu.

A. W.

Towarzystwa naukowego wybranęj *ad hoc* komisji, której sam w jej pracach przewodniczył.

Komisja ta wychodząc z zasady, jaka na kongresie Bonońskim powszechne zyskała uznanie, że znaki te powinny być jak najprostsze, że różnica między jednym znakiem a drugim, powinna być jak najwidoczniejszą, że kształt ich powinien przypominać oznaczony przedmiot: zestawiała szereg znaków *mnemonicznych* wszystkim tym warunkom odpowiadających. Aleksander hr. Przeddziecki przełożył te znaki kongresowi bonońskiemu, wnosząc o powszechne ich przyjęcie.

Oceniając należyście niezaprzeczoną ważność tego wniosku, zgromadzeni uczeni wezwali wydział dyrygujący, (tak zwane biuro kongresowe) ażeby wyznaczył komisję do zbadania referatu, na podstawie którego projekt wnioskodawcy jak najspieszniej w życie wprowadzonymby mógł zostać. Komisja złożona z panów Cartailhac, C. Marinoni, F. da Salva, H. Hildebrand, A. hr. Przeddzieckiego, Waldemara Schmidt i hr. Wurmbrand.

Śmierć, która niedługo potem, tak przedwcześnie wydarła krajowi i nauce A. hr. Przeddzieckiego, tak wielce zasłużonego męża, przerwała czynności tej komisji, która powoławszy wnioskodawcę na przewodniczącego, tém samém możność zwołania posiedzeń i wybór czasu obrad w jego ręce złożyła.

Widząc że się rzecz zdrowo pomyślana, a nader dla nauki pożądana, nad miarę przewleka, podniósł ją ponownie pan Ernest Chantre na kongresie sztokolmskim. Przyznając w swęj przemowie z wielkiem uznaniem inicjatywę w tej sprawie Towarzystwu naukowemu krakowskiemu i Al. hr. Przeddzieckiemu, jako wykonawcy uchwał pomienionego Towarzystwa, zastosował się p. Chantre jak najściślej do zasad wypowiedzianych przez ostatniego na kongresie bonońskim. Pragnie i on także, aby znaki używane przy układaniu map archeologicznych były *mnemonicznemi* i zyskać mogły przeto zastosowanie międzynarodowe, stara się jednak posunąć tę zasadę do ostatnich konsekwencji i wyzyskać wszelkie wyniknąć ztąd mogące korzyści. W szeregu znaków przez hr. Przeddzieckiego podanych, znajdują się niektóre, będące wyraźnym wizerunkiem rzeczy, są przez to samo za mało *znakami*; znajduje przytęm brak znaków na niektóre zabytki przedhistoryczne, znajdujące się w stronach zachodniej Europy, a że nad to wszystko jeszcze w terminologii archeologicznej znajdują się i nazwy obejmujące całe klasy przedmiotów i nazwy narzeczy, które do poddziałów pierwszych zaliczyć wypada: pragnie więc bardzo słusznie, ażeby i znaki odpowiadając naturze oznaczonych rzeczy, były tak samo ułożone, to jest: ażeby przyjąć jeden szereg znaków na najogólniejsze wyobrażenia archeologiczne, drugi na poddziałowe, trzeci na oznaczenie epok, a obmyślić i ułożyć je tak, żeby się z łatwością z sobą kombinować dały, i używać zespolenia ich tam, gdzie rzecz się sama różnorodną i skombinowaną okaże.

W ten sposób trzymając się w gruncie rzeczy zasady znaków mnemonicznych, wprowadzonej przez hr. Przędzieckiego, zyskuje pan Chantre w dalszym postępie rozwoju pierwotnego pomysłu, poniekąd międzynarodowy symboliczny *alfabet*, którym najbardziej nawet skomplikowane przedmioty, w sposób dla wszystkich narodowości równie zrozumiały, nie tylko oznaczać ale nieomal opisywać można.

Znaki archeologiczne dzieli on, skutkiem rozwiniętej w ten sposób zasady, na: 1) pierwiastkowe, 2) pochodne, 3) uzupełniające, 4) epokowe.

Pan I. N. Sadowski przyjmuje te znaki, podając spis miejscowości w których znaleziono zabytki przedhistoryczne, kładzie zaraz przy każdej znaki mnemoniczne, które wymownie objaśniają rodzaje tych wykopalisk. Autor rozpoczyna swój opis od dorzecza Warty, a najprzód od lewego brzegu porzecza Warty, między górną Wartą a Prosną. Dalej przechodzi na prawy brzeg porzecza Warty między korytem górnej Warty a Nerem. Następnie idzie dorzecze Noteci, lewy brzeg Noteci i prawy jej brzeg, wskazując zarazem gdzie tego rodzaju zabytki są przechowane.

Rzecz swą zamyka alfabetycznym spisem miejsc w których odkryto zabytki przedhistoryczne. W końcu dołączonych jest VI tablic litograficznych, przedstawiających ważniejsze z tego okresu zabytki przechowane w Krakowie czy w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, czy w Muzeum Akademii Umiejętności.

Wielkiej doniosłości w gałęzi archeologicznej jest ta praca pana I. N. Sadowskiego; żałować przychodzi że szanowny autor nie dołączył nam mapy opisywanych porzeczy, i nie objaśnił nam zabytków na przyłączonych tablicach podanych.

R.

Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg. Serya XI. W. Księstwo Poznańskie. Część trzecia. Kraków 1877 r. (w 8 ce str. 246).

Mija już ćwierć wieku, jak Kolberg poświęciwszy się badaniom etnograficznym, oddał na tém polu nieocenione zasługi. Serya niniejsza (trzecia z porządku) ma na celu przedstawienie właściwości etnograficzne ludu, zamieszkującego północne okolice Wielkopolski, znane w większej części pod nazwą: Krainy, Pałuk i Kujaw.

Mnóstwo tu rozsianych, tak jak wszędzie, podań i legend, do których należą podania o kościołach i zamkach wraz z bezbożnym ludem, pochłoniętych przez wody jezior, z głębi których słychać dźwięki dzwonów i szepty pacierzy.

Badacz, po krótkim wstępie, opisuje nam okolicę wschodnio-północną W. Księstwa Poznańskiego, poszczególne powiaty: gnieźnieński, mogilnicki, szubiński, bydgoski i inowrocławski (Kujawy). Następnie malując nam lud tych powiatów, podaje charakterystykę, cechy fizyczne i moralne, żywność, wieś, chatę, pracę, rolę. Poczém opisuje jego zwyczaje, w ciągu roku obchodzone obrzędy, gry i zabawy.

W takim samym sposobie przechodzi do okolicy zachodnio-północnej, obejmując powiaty: Wągrowiecki (Pałuki), Wyrzyski (Kraina), Chodzieski i Czarnkowski. Dołącza do tego pieśni ludowe i przemowy obszerne weselne wierszem, godne uwagi z tego względu, że tego rodzaju przemowy u nas w Królestwie przechowały się tylko pomiędzy szlachtą zagonową, u ludu zaś prawie zaginęły. Jestto naśladowanie dawnych ziemian polskich, pomiędzy którymi w czasie obrzędu weselnego tak wielkie miejsce zajmowała wymowa, mniej go zostawiając dla pieśni.

W seryi, o której mówimy, *drużba* z towarzyszem chodząc od domu do domu, zaprasza na akt weselny przemową wierszowaną długą, którą się napamięć wyucza. Tego rodzaju, dłuższe w rozmiarach nawet, znajdujemy mowy przy wychodzeniu do kościoła, po błogosławieństwie rodziców i t. p. Utwory te wierszowane a oryginalnie ludowe, od wieków w pierwotnej czystości przechowują się dotąd; podamy tu z nich chociaż małe ustępy dla bliższego ich poznania.

Początek prośby na akt weselny.

„Jak Bóg nawiedzał wasze domy,
 Tak my téż nawiedzamy,
 Dobry wieczór powiadamy.
 Winszujemy wam dnia dzisiejszego,
 Jako to wieczornego;
 Boć my tu nie przyśli z umysłu swojego,
 Jeno my tu zesłani od Boga i Matki Najświętszej;
 Od pana ojca, od pani matki, od państwa młodego!
 A my was téż prosimy,
 Sławetnych gospodarzy, sławetne gospodynie,
 Żebyście téż niewymowni byli:
 Temu państwu młodemu na weselu posłużyli.”

W dalszym ciągu wymienia deklamujący *drużba* szczegółowo o co prosi: o młodych z chaty towarzyszków, godowo przybranych, aby pistolety ponabijali, gdyż przed kościołem ognia dać potrzeba; zaprasza i młode panienki, ażeby z wieńcami pośpieszały na obchód tak uroczysty. W końcu, opowiada, jak suto zastawione stoły, oczekują swych gości, wylicza wszystkie potrawy i huczną muzykę:

„Bo tam będą grały szalamaje, dudy,
 Będą się trzęsły starym, młodym udy.”

Kończy rzecz swą po staremu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.”

Inaczéj się zaczyna i innéj treści jest mowa przy wychodzeniu z kościoła:

„Sławetni goście, proszę o ucieszenie!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Śliczny kwiat, jak lelia

Żegnał Pan Jezus, żegnam i ja:

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen.

Jak wielka intencya Boga Wszechmocnego,

Zdało mi się zdało dnia dzisiejszego

Widzieć, iż dwoje ludzi, przed ołtarzem klęczyć będzie.

Kapłan ich wiązać będzie,

Družba koło nich uwijać się będzie.”

W końcu prosi o błogosławieństwo dla państwa młodych.

Tego rodzaju mowy, tradycją przechowane, dotychczas wraz z pieśniami weselnymi na godach się przechowały.

Serya ta, do której wydania przyszła z pomocą Akademia Umiejętności w Krakowie, niemało stron nowych w charakterze ludu polskiego wyjaśnia.

Bezwątpienia, że wiele do wizerunku typów ludowych, rysunki dopomagają, ale dla znacznych kosztów nasz etnograf dopełnić tego nie zdołał; zapowiada nam, że postara się, ażeby w osobnej zebrane kolekcyci, uzupełniły jego publikacją. Tu tylko dołączył jedną tablicę kilku postaci mężczyzn i kobiet we właściwych kostiumach z okolic Wrześni i Srody, podług rysunku B. Hoffa. W.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Biała Chotunica, gub. Wiatka, w marca 1878 r.

Ks. biskup Krasieński wykończył *Słownik synonimów polskich*. Praca to obszerna, rękopism bowiem składa się z 260 arkuszy; owoc długoletniej pracy, wielkiej wartości naukowej.

Zadaniem czcigodnego autora było: jak najściślejsze określenie znaczenia każdego wyrazu. Określenie poparte jest przykładami, a przykłady ułożone są w chronologicznym porządku od Biblii królowej Zofii do epoki Mickiewicza włącznie. Jeżeli ten sam wyraz znajduje się w staro-słowiańskim języku, rosyjskim i czeskim, to i te języki są przytoczone.

Nie studyum zatém pisał ks. biskup o *synonimach*, jak o tém wzmiankował *Wędrowiec*, a za nim *Kuryer Warszawski*, gdyż studia takie i nie trudne do napisania i już istnieją: przysługa zatém dla literatury nie byłaby wielka; gdy tymczasem powyższy Słownik, obszernością swoją wyczerpujący przedmiot najzupełniej, wypełni brak w literaturze. Wielka szkoda, że ks. biskup nie decyduje się dotąd na wydrukowanie tego Słownika. Ci bowiem, którym się udało widzieć i czytać powyższe dzieło, ubolewają bardzo, że praca takiej doniosłości pozostaje dotąd w ukryciu. Najpewniejszą rękojmią wartości dzieła jest samo imię autora: jako filologa, poety i historyka; a jeżeli dodamy, że ks. biskup wielką przywiązuje wagę do tego dzieła, i uważa je za najlepsze ze wszystkich dzieł swoich,—to winniśmy, licząc się ze skromnością autora, być przekonani, że praca ta jest pierwszorzędnej wartości.

Dr. Józef Bielński.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Komisyja archeologiczna Akademii Umiejętności, w skutek wniosku prof. dr. J. Szujskiego, przyjętego na jój posiedzeniu z dnia 15-go lipca 1875 r., wznowiła myśl (której urzeczywistnieniem już przed laty 18-tu zajmował się prof. dr. Majer, ówczesny prezes Tow. Nauk. Krak.), postanowiwszy upraszać Przewielebne Konsystorze o nadesłanie napisów, będących na pomnikach w kościołach i klasztorach dyecezyi galicyjskich wszystkich obrządków.

Chodzi o odpisy epigrafów z nagrobków z czasów najdawniejszych, po koniec wieku XVIII.

Ufamy, że Przewielebne Konsystorze raczą nam pomódz w zebraniu tych napisów przez pośrednictwo dekanatów w dyecezyach swoich.

Odpisujący wyrazi na wstępie relacji nazwisko miasta lub wsi, oraz dekanatu i obwodu. Napis poprzedzi objaśnieniem, gdzie się znajduje: czy wewnątrz, czy zewnątrz kościoła, w kaplicy, w kruchcie, na korytarzach, w ścianie, w posadzce, na kamieniu, marmurze, bronzie, etc.,—jaki jest cały pomnik, który epigraf objaśnia. W przepisywaniu należy zachować ten sam porządek wierszy, w jakim są umieszczone na nagrobku, tę samą pisownią, nie poprawiając błędów lub pomyłek. Napisy trudniejsze do odczytania raczy odpisujący albo wiernie piórem skopiować, albo odcisnąć na bibule zmoczonej wodą z rozpuszczoną w niej gumą. Bibułę taką nie wprzód zdjąć należy z pomnika, aż zaschnie.

Pragnęlibyśmy, aby Przewielebni JXX. Dziekani dokładność zebranych epigrafów podpisami swojemi zatwierdzić raczyli. Po odebraniu, ogłosimy w dziennikach, że je otrzymaliśmy ¹⁾.

¹⁾ W skutku pierwotnej odezwy, znajdują się już w Archiwum Aka-
Tom II. Kwiecień 1878.

Wiemy, że w tym kierunku wiele już zrobiono, począwszy od 1655 r., gdy Starowolski wydał swoje *Monumenta*, a skończywszy na licznych monografiach miast, wsi, kościołów i klasztorów, w ostatnich czasach wydanych; przecież nowy odpis nietylko wtedy będzie użyteczny, gdy błąd poprawi, ale i wówczas, gdy autentyczność dawniejszego odczytu potwierdzi.

Nie naszym dziełem, ale pracą Przewielebnego Duchowieństwa wszystkich obrządków będzie zbiór epigrafów z kościołów galicyjskich, jeśli odpisane i nam nadesłane zostaną. Urzeczywistnienie zaś tego zadania, o ile jest koniecznym dla studyów i badań historii ojczyściej, o tyle pilne z powodu niszczenia się owych zabytków.

W Krakowie, dnia 15 stycznia 1878 r.

Prezes Akademii Umiejętności

Dr. Majer.

Przewodniczący Komisji Archeologicznej

Łepkowski.

Sekretarz

Piotr Umiński.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Marzec 1878 r.—Z drogiej spuścizny, jaką nam pozostawił zmarły z powszechnym żalem ś. p. Julian Bartoszewicz, mamy wydaną w zbiorowej publikacji: *Historią literatury polskiej potocznym sposobem opowiedzianą* w dwóch tomach. O dziele tém przy pierwszym jego pojawieniu się podała Biblioteka Warszawska obszernie rozbiory piór: Michała Balińskiego, Józefa Łukaszewicza i Aleksandra Tyszyńskiego.

demii Umiejętności odpisy epigrafów z kościołów: w Andrychowcie, Berwałdzie, Biesiadkach, Biezanowie, Biskupicach, Bołchowicach, Chełmie (pod Bochnią), Choczni, Czudcu (pod Rzeszowem), Domoślavicach (pod Melsztynem), Frydrychowicach, Gdowie, Giebułtowcie, Gnojniku, Grabiu, Gręboszowie, Grojcu, Husiatynie, Hussowie, Jagielnicy, Inwałdzie, Jazłowcu, Konkolnikach (w Brzeżańskim), Liczkowcach, Łańcucie, Łazanach, Maniowach, Modlnicy, Niepołomicach, Olesku, Paleśnikach, Pilźnie, Pisarzowicach, Podkamieniu, Pogwizdowie, Ruszczy, z Rzeszowa (z kościoła pijarskiego), z Śnieżnej, ze Skąły, Sromowiec, Starój-wsi, Strzyżowa, Tłuczani, Tyczyna, Wadowie, Willamowie, Wieliczki i Złotój. Teraz prof. Łepkowski obiecał oddać Akademii do publikacji sporządzony przez siebie odpis wszystkich epigrafów z nagrobków, będących w kościołach miasta Krakowa.

Obecnie mamy zapowiedź nieznaney pracy niez mordowanego badacza: *Początkowych dziejów Polski*, w której występuje zmarły historyk z całą potęgą erudycyi i swych poglądów na przeszłość, oparty na pierwotnych źródłach. Ś. p. J. Bartoszewicz przywiązywał do tych studyów wysoką wartość i najpiękniejsze chwile życia swego im poświęcił. Publikacya cała godna jaknajsilniejszego poparcia ze strony naszej społeczności.

— Ogłosili prospekt pp. Antoni Pilecki i Stanisław Kowalski, na dzieło: *Prawo i Sądy*, wskazówki praktyczne dla nieprawników, wychodzące zeszytami. O użyteczności tego wydawnictwa w obecnym ustroju sądownictwa naszego, nie potrzebujemy nadmienić. Dzieło to stać się musi podręcznikiem domowym dla każdej rodziny.

— Redakcya *Gazety sądowej warszawskiej*, istniejącej od lat pięciu, ogłosiła oddzielnym zawiadomieniem o wychodzeniu swoim dalszém.

— Mamy nadesłany także prospekt w języku francuzkim, na mający wychodzić od 1 maja *Revue Slave*, podpisany przez redaktora p. A. de Fontaine i wydawcę A. von Spitzbarth (*L'administrateur*).

— Z wydania jubileuszowego, wyboru pism Kraszewskiego, ukazał się tom pierwszy na korzyść jubilata, drukiem Józefa Ungra i obejmuje: *Rzym za Nerona*, *Obrazy historyczne* i powieść: *Pamiętnik Mroczka*. Wydanie staranne pod względem typograficznym. Na czele mieści się piękne w stalorycie popiersie J. I. Kraszewskiego, wielce podobne (Warszawa 1878 r. w małej 8-ce, str. 413).

— *Echo*, w odcinku swoim podaje nadzwyczaj zajmujące studyum p. n.: *Sękowski w korespondencji z Lelewelem*, na tle listów oryentalisty osnute, opracowane przez znanego badacza A. Jabłonowskiego. W nich znajdujemy ciekawy następny opis zgromadzeń literackich u T. Bułharyna i Mikołaja Malinowskiego, które ostatni w pamiętnikach swoich po łacinie pisanych, zachował o nich szczegółowe wspomnienia.

„Mickiewicz porywał tu współbiesiadników swemi natchnionemi improwizacyami, Sękowski bawił ich do rozpuku lub drażnił bezdusznie. Raz opowiadał on o koleżeńskim swém kole profesorów uniwersytetu, wśród których znanym był wtedy Bogolubow prof. prawa krajowego. Ten miał szczęśliwą okoliczność dania następnego dowodu swój uczoneści. Oto minister oświaty poleca uniwersytetowi rozpatrzenie pewnych dzieł, które mogłyby być użyte jako podręczniki naukowe dla szkół. Pomiedzy innemi były tam dwie chrestomatye (wypisy), jedna grecka Jacobsa, druga zaś niemiecka Gedickego. Bogolubow spojrzawszy na tytuł, rozumiejąc, iż treść tych dzieł traktuje o Matce Chrystusa Pana, zawnioskował, ażeby odesłano je do św. Synodu na rozejrzenie i nie chciał słuchać żadnego tłómaczenia.

„Z Mickiewiczem zapalał się zawsze spór od pierwszego spotkania.

„Na obiedzie u Malinowskiego (18 grudnia) zwarli się oni z sobą żartko o Kontryma. O co tam chodziło właściwie nie mamy podanego;

ale bodaj czy nie zwrócił się już był nasz orientalista, w zgorzkniałej swjej duszy, nawet przeciw temu zacnemu mężowi, któremu tyle był wi-niem. Potém szły inne spory, w których o ile Sękowski walczył sarkazmem, o tyle Mickiewicz potężną siłą swjej dyalektyki. Po obiedzie uderzył na poetę nasz sceptyk, jako orientalista. Dotknął on krytycznie jego niedawno wydanych *Sonetów krymskich*, zarzucał mu, iż wiele pobłądził, że chciał oddać w swych wierszach metafory i sposoby mówienia wschodnich ludów, nie znając ani ich języków, ani literatur. Dotykał niemniej téż pojedynczych wierszy; on tyle wyćwiczony w cenzurowaniu (Z przekąsem notuje to gospodarz pamiętnikarz, dodając, że wyznać przysięm należy, iż po większej przecie części robił zarzuty ostre, dowcipne, a słuszne).

Za to wkrótce na obiedzie u Bułharyna (27 grudnia) uderzył Mickiewicz na Sękowskiego. Byli tam wśród gości: Malinowski, Malewski, Orłowski malarz, Linowski, Chodźko, Łęski, Jelski, Sapieha. Wśród rozmów wesołych i żwawych dysput, wspomniano Wilno; Mickiewicz z Malewskim występował żartko przeciw Sękowskiemu. Ten im zarzucił, że nie mają prawa wydawać sądu o ludziach wileńskich z przed lat dziesięciu, gdyż sami byli wtedy bardzo młodzi. Ależ, korzystając ze zrzętności, powetował mu Malinowski za dawne czasy, robiąc uwagę, że przecież i on sam nie był o wiele starszym wtedy, kiedy na Wołyniaków i Podolan oszczerstwa rzucał, przypominając mu przez to ton jego pierwszych korespondencyi z podróży. Co téż zostało przez wszystkich pochwaloném jednogłośnie. Ale dopiero po obiedzie, po licznych szklanicach wina, zwarł się z nim potężniej poeta, gdy podniesioną została tyle drażliwa kwestya Collectaneow naszego orientalisty. Mickiewicz zarzucał mu, że wiele fałszów umyślnie w dziele tém podał. Sękowski dotknięty tém do żywego, niebo i piekło poruszył, powiada Malinowski, żeby prawdy swych twierdzeń tam dowieść. Próżno nastawano nań, aby się przyznał do winy, iż w dziele tém porobił pewne własne dodatki. Nie mógł on przekonać swych przeciwników, ale bronił się jednak zrzętnie i wykrętnie bardzo. Przyciśnięty wszakże do muru i do najwyższego stopnia rozdrażniony, wybuchnął gniewem. Wszczęła się tedy po prostu kłótnia między nim a Mickiewiczem, która za ledwie usiłowaniem Jelskiego i Orłowskiego, oraz wdaniem się gospodarza Bułharyna, uciszoną została. Ale pod koniec wieczoru za to, tenże sam Sękowski podsunął poecie, na temat do improwizacyi, wyprawę znakomitego wtedy żeglarza Parry do bieguna północnego.

Tak oto spędzało wybrane kółko ziomeków koniec roku 1827 w stolicy północnej. Sękowski nie mógł się rozstać z tém towarzyszstwem, chociaż najczęściej występował jeden przeciw wszystkim.

— P. A. de Fontaine, redaktor nowego pisma, o którym powyżej wspomnieliśmy, rozesłał do redakcyi wszystkich pism naszych nastę-pne ogłoszenie:

„*Revue Slave* nie jest pismem politycznym, jest ono li tylko tłumaczem wszystkiego, co może się przyczynić do poznania ruchu umysłowego krajów słowiańskich na polu literatury, wiedzy i sztuk pięknych, a to w języku francuzkim, jako najwięcej rozpowszechnionym. Redakcja *Revue Slave* najuprzejmiej uprasza osoby poświęcające się studjom przedmiotów w prospekcie wymienionych, aby przykładały się do powodzenia tego pisma, bądź przez współpracownictwo, bądź przez zakomunikowanie ważniejszych dzieł słowiańskich, kwalifikujących się do ich rozpowszechnienia za pośrednictwem tego pisma. Redakcja posiada już grono uczonych i literatów, jednakże prace niektórych muszą być tłumaczone, i dlatego osoby mogące tłumaczyć z jednego z języków słowiańskich na francuzki, raczą się do mnie zgłosić, dla przyjęcia tego rodzaju pracy za odpowiedniemi wynagrodzeniem.

„W końcu nadmieniam, że *Revue Slave* będzie książką najodpowiedniejszą do czytania dla rodziny i ozdobą każdej biblioteki, a jako zawierająca najważniejsze i najświetniejsze dokumenta dziejów słowiańskich, przedstawia także jeden ze zbiorów najwięcej nauczających dla młodzieży. — Z uszanowaniem.—Redaktor, A. de Fontaine, ul. Hoża, 3.

— Pisaliśny już w naszym piśmie o przygotowaniach co do *Książki jubileuszowej* dla J. I. Kraszewskiego. Redakcja takowej przygotowała dla objaśnienia zaproszonych literatów do współdziałania w pracy następny program, który rozesała, i ten dla wiadomości o treści samego dzieła, w całości podajemy.

„Grono literatów i publicystów warszawskich powzięło na zgromadzeniu r. z. zamiar upamiętnienia 50-jej rocznicy zawodu literackiego J. I. Kraszewskiego, wydaniem książki zbiorowej, na którą złoży się mają prace rozmaitych pisarzy polskich, a z której dochód całkowity ma pójść na korzyść jubilata. Osoby wybrane przez owo zgromadzenie do zajęcia się planem i redakcją wydawnictwa pamiątkowego, zatrzymały się na myśli rzuconej przez T. T. Jeża, by książka, poświęcona uczczeniu Kraszewskiego, złożyła się wyłącznie z prac o Kraszewskim i jego różnostronnej działalności. Jakoż, myśl tę, z pewnemi niezbędnymi zmianami w szczegółach, Redakcja *Książki jubileuszowej* ostatecznie przyjęła, i skutkiem tego postanowiono zamieścić w *Książce zbiorowej*:

- A. Życiorys znakomitego jubilata
- B. Ocenę jego działalności literackiej.
- C. Artykuły odosobnione ze stosunków z Kraszewskim.
- D. Bibliografią dzieł jego.

Skreślenie życiorysu, do którego bogate materyały Redakcja ma zapewnione, a spodziewa się jeszcze więcej pozyskać od osób związanych stosunkami z Kraszewskim, nie nastęrczy nadzwyczajnych trudności. Znacznie trudniejsza sprawa z ocenieniem sturamiennój działalności pisarskiej jubilata.

Wykonanie tego, jedyne w swoim rodzaju, wdzięcznego, i jak mamy nadzieję, pożytecznego przedsięwzięcia, okazało się niełatwym,

najprzód z powodu natury pracy zbiorowej, powtóre, z powodu niewyczerpanej twórczości Kraszewskiego. Z jednej bowiem strony, w pracy składowej jest prawie niepodobieństwem dojść do mety zgodności wątku i sądu; z drugiej, niema zaiste tak pilnego czytelnika, któryby przeczytał wszystko, co napisał Kraszewski, a cóż dopiero mówić o wertowaniu dzieł, niezbędnem dla piszącego o ich osnowie. Jakkolwiek tedy Redakcja nie wątpiła, że studyum prawdziwie organiczne, spójne jednością zapatrywania się i wykładu, mogłoby wyjść tylko od osoby pojedynczej; musiała jednak w tym wyjątkowym wypadku uznać zbiorową ocenę prac znakomitego pisarza za jedynie praktyczną i wykonaną.

Sam też rozkład działalności pisarskiej na pewne odnogi i grupy, musiał nastroczać rozliczne uwagi; trudno bowiem członkować to, co samo z siebie jest żywym organizmem duchowym, w nader wielorakich, ale zawsze podobnych sobie przejawach. Zgodzono się w tym względzie, iż za przykładem przyrodników, należycie rozumiejących niepodzielność organizmu, a jednak dzielących go na części składowe i traktujących o każdej z nich osobno, należy ogromną pracę pisarską Kraszewskiego podzielić według rodzajów przyjmowanych zwykle w literaturze, z uwzględnieniem okoliczności, sprzyjających lub mogących zawadzać wykonaniu rzeczy. Tym sposobem cały zbiór utworów niespracowanego pisarza postanowiono uszykować w następujące szeregi:

- I. Powieści.
- II. Pisma wierszem: liryczne i epickie.
- III. Dramata.
- IV. Filozofia.
- V. Dziejopisarstwo.
- VI. Podróże.
- VII. Krytyka literacka.
- VIII. Prace z dziedziny artystycznej i archeologii.
- IX. Publicystyka.
- X. Wydawnictwa literackie.
- XI. Drukarstwo i edytorstwo.

Atoli i ten podział, lubo dość szczegółowy, okazał się jeszcze za ogólnym, zwłaszcza co do powieści, których liczba, bezprzykładna w dziejach piśmiennictwa europejskiego, układa się w setki tomów, napisanych, jak wiadomo, własnoręcznie przez autora. Konieczność zatem zmuszała uciec się do nowych podziałów przynajmniej grup najliczniejszych. Stało się tedy na tém, że niektóre powyższe szeregi utworzą po kilka lub więcej osobnych odnóg, stanowiących o ile można zgodną całość. Tym sposobem zupełny podział oceny zawodu pisarskiego jubilata ułożył się jak następuje:

I. Powieści.

1. Powieść obyczajowa ogólna w okresach:

a) od roku 1831 do 1839;

- b) od roku 1840 do 1849;
 - c) " " 1850 " 1855;
 - d) " " 1856 " 1860;
 - e) " " 1861 " 1871;
 - f) " " 1872 " 1878.
2. Powieść ludowa—jedno osobne opracowanie.
 3. Powieść historyczna:
 - a) cykl dzieł obecnie wychodzących nakładem Spółki księgarzy warszawskich;
 - b) dzieła na tle wieku XVI i XVII;
 - c) dzieła z epoki Sasów;
 - d) dzieła z epoki Stanisławowskiej;
 - e) utwory z dziejów Rzymu.
 - II. Utwory poetyckie liryczne i epickie—jedno opracowanie.
 - III. Dramata—jedno opracowanie.
 - IV. Filozofia—jedno opracowanie.
 - V. Dziejopisarstwo:
 - a) Dzieje Wilna;
 - b) Dzieje całej Litwy;
 - c) Inne późniejsze prace historyczne.
 - VI. Podróże—jedno opracowanie.
 - VII. Krytyka literacka—jedno opracowanie.
 - VIII. Prace z dziedziny artystycznej i archeologicznej—jedno opracowanie.
 - IX. Publicystyka:
 - a) Redakcja *Atheneum*;
 - b) redakcja *Gazety Codziennój (Polskiej)*;
 - c) redakcja innych pism i współpracownictwo.
 - X. Wydawnictwo literackie (pamiętniki, podróże i t. p.)—jedno opracowanie.
 - XI. Drukarstwo i edytorstwo (w Dreźnie) jedno opracowanie.
- Całkowitą więc działalność pisarską Kraszewskiego wypadło rozdzielić przeszło na dwadzieścia pięć grup osobnych, z których pomimo tego większa część po kilkanaście i kilkadziesiąt dzieł obejmuje, co zmuszać będzie piszących o niektórych dziełach do ograniczenia się na utworach typowych, by się utrzymać w obrębie artykułowi zakreślonym. Przeciwno niedogodnościom koniecznego rozdrobnienia pracy, znajdzie się niewątpliwie środek w jedności myśli i uczuć wszystkich piszących o Kraszewskim i uroczystym dla niego roku—w wyborze rozmaitych punktów wyjścia pracy, mianowicie między piszącymi o powieściach obyczajowych—nareszcie w upoważnieniu Redakcyi, którego autorowie zapewne jej nie odmówią, do czynienia niezbędnych zmian przy wiązaniu odosobnionych rozdziałów.
- Rozdział pracy w wyborze punktu wyjścia pomiędzy piszącymi o powieściach, rozumiemy w tém znaczeniu, że przy ocenianiu całości każdej grupy, piszący nie będzie spuszczał z oczu rzeczy najważniej-

szój, to jest stosunku osnowy dzieła do myśli krążących w społeczeństwie, tudzież zgody formy artystycznej z treścią; ale zarazem może według wyboru, w porozumieniu z innymi piszącymi, więcej zwracać uwagi na dane punkta szczegółowe. Dorywcze w takim razie wybieganie wstecz i naprzód poza okres obrany, jedynie dla porównań i rozszerzenia wywodów, może być niezbyteczne, zwłaszcza przy pożądanem unikaniu ogólników i rozpraszania się, zawsze towarzyszącego ogarnianiu zbyt różnorodnych szczegółów. Porozumienie się we względzie takiego rozkładu tematów między pracującymi, Redakcja najtroskliwiej ułatwić się postara, skoro każdy życzenie jój swoje objawić zechce.

Co do prawa czynienia niejakich zmian w artykułach, prawie zbytecznie jest powiadać, iż Redakcja w interesie jedności dzieła, korzystać będzie z upoważnienia jak najoszczędniej i tylko wrazie nieuniknionej potrzeby. Jedność w jój oczach nie wyłącza rozmaitości.

Nareszcie co do wspólności uczuć i myśli piszących, nie rozumiemy pod temi wyrazami jałowego panegiryzmu, lecz jedynie wykazywanie doniosłości utworów, branych pod ocenienie, oraz sąd ściśle obiektywny, w formie spokojnej i właściwej przedmiotowi. Wyrażenie starożytne o Platonie i Prawdzie bodaj czy nie było zbyt samochwalcze; my nie chybimy celu, gdy i Platona i Prawdę *równą* miłością kochać będziemy.

Te ostatnie wyrazy kładziemy tóż na sercu osobom pragnącym zasilić wydawnictwo luźnemi ustępami, czy to o stosunkach z Kraszewskim, czy tóż o pewnej stronie jego zawodu publicznego, jak np. wspomnienia z czasów szkolnych i uniwersyteckich, pobyt w Gródku i Hubinie, kuratorstwo gimnazjum i dyrekcyja teatru w Żytomierzu, zwyczajnie w domu Kraszewskiego zachowywane, strona zewnętrzna jego wyjątkowej działalności pisarskiej, typy wyprowadzone przezeń w powieściach i dramatach i t. p. Kto niema zamiaru sam skreślić pewnego epizodu, a posiada potrzebne ku temu materyały, tego Redakcja najuprzejmiej uprasza o użyczenie jój owych materyałów dla zrobienia odpowiedniego użytku, czy to w życiorysie, czy w artykule osobnym, stosownie do osnowy. Jeżeli temi materyałami będą listy lub inne dokumenta, jest rzeczą nader upragnioną dla Redakcyi otrzymać je w oryginale, przyczém zwrot ich zapewnia się najuroczyściej. W razie niemożności wysłania oryginałów, upraszamy o kopie wierzytelne, które tóż z wdzięcznością będą przyjęte.

Do bibliografii prac Kraszewskiego pożądane są szczególnie wiadomości o utworach rozproszonych po czasopismach, wychodzących w różnych okolicach i w różnych czasach. Dokonać tego, w stosunkowo krótkim czasie, można jedynie siłami zbiorowemi.

Objętość książki ma wynosić około 40 arkuszy druku wielkiej ósemki, wskutek czego na pojedynczy artykuł jedynie wyjątkowo przypadać może około 2-u arkuszy, w ogóle zaś muszą być krótsze.

Termin nadesłania artykułów oznaczony został na dzień 1-szy grudnia 1878 r.; atoli wcześniejsze nadesłanie jest nader pożądane i z wdzięcznością przez redakcyę będzie przyjęte.

Adres Redakcyi: *Antoni Pietkiewicz, w Warszawie, Nowy Świat nr. 39.*

— Synowie S. Orgelbranda ogłaszają w pismach codziennych prenumeratę na nowe stereotypowe wydanie w XII tomach *Encyklopedyi Powszechnej* mniejszej, wraz z bezpłatnym suplementem. Przypomnieć téj firmie wydawniczej należy, że powinna pomyśleć o suplemencie do wielkiej *Encyklopedyi* w XXVIII tomach, przez ich ojca wydaney, na który oddawna posiadacze jęj z utęsknieniem oczekują.

— Otrzymujemy z Krakowa następną wiadomość:

„Aleksandra hr. Przeddzieckiego *Zupełne wydanie dzieł Długosza* obejmować miało tomów 14. Z tych wyszło dotąd tomów 13, a mianowicie: 5 tomów *Dziejów* (II, III, IV, V, VI wedle liczenia porządkowego całej edycyi) *polskiego przekładu*, dokonanego przez dra Karola Mecherzyńskiego, prof. Uniw. Jagiell., 3 tomy *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis* (po łacinie, VII, VIII, IX) oraz 5 tomów tekstu łacińskiego *Dziejów* (*Historia Polonica* X, XI, XII, XIII, XIV), poprawnego wedle rękopismów współczesnych przez Ignacego Żegotę Paulego, urzędnika Bibl. Uniw. Jagiellońskiego.

Obecnie pozostaje do wydania jeszcze jeden tom (I) rozpoczynający edycyą, w którym się pomieszczają: *Żywoty ŚŚ. biskupów, Clenodia, Banderia, listy, mowy i żywot Długosza.*

Indeks do tekstu łacińskiego *Dziejów* (zrobiony przez dra Żebrowskiego członka Akademii Umiejętności), który miał być dołączony do tomu V (ogólnego zbioru XIV), z powodu swojej obszerności wyjdzie jako tom XV dodatkowy, programem wydawnictwa nie objęty. Prenumeratorowie, którzy przedpłatę uiścili całkowicie, płacąc ją z góry, odbiorą ten tom bezpłatnie, inni mogą go nabywać po cenie na kupno pojedynczych tomów naznaczonej.

Wydanie całości (15 tomów) ukończonóm zostanie przed zamierzonym obchodem 400-letniego jubileuszu Długoszewego.

Tomy zawierają w przecięciu po 620 stronic wielkiej ósemki. Do chwili ukończenia druku sprzedaje się każdy po 5 fl. w. a.=3 rtr.=9 marek=4 rsr. Cena księgarska jest wyższą, gdyż wydawnictwo z téj ceny tomów nie ustępuje rabatu. Zarówno tekst łaciński, jako i polski, można nabywać osobno. Egzemplarze na papierze luksusowym (których odbito tylko 25) sprzedają się (całe wydanie) po 140 fl. w. a.=84 rtr.=252 marek=100 rsr., z czego wydawnictwo pragnie zyskać fundusz na wybite pamiątkowego medalu na jubileusz Długoszowy.

Adres wydawnictwa w Krakowie: Dr. J. Łepkowski, prof. Uniw. Jagiellońskiego; w Warszawie: Konstanty i Gustaw hr. Przeddzieccy.

— Henryk Siemiradzki, twórca *Pochodni Nerona*, wybrany został na członka Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie.

— Towarzystwo lekarskie krakowskie mianowało członkiem swym d-ra medycyny Ludwika Kadlera z Warszawy.

— We Lwowie w antykwarni Łukowicza wystawiony jest obraz Jana Matejki, malowany przed 23 laty, gdy wielki mistrz był jeszcze prawie dzieckiem. Obraz ten przedstawia Wita-Stwosza, jako kilkoletnią dziecinę z nożykiem w ręku, przed nim kilka kawałków drzewa. Należałoby, ażeby utwór ten został troskliwie przechowany w jakim muzeum krajowem, gdyż jest dowodem, jak ten geniusz potężny na polu sztuki rozwinał się dorazu.

— Pan Wiktor Każyński, członek komisji koncertów międzynarodowych na Wystawie powszechniej paryzkiej, nadesłał do pism naszych pod datą 2 marca r. b. następne wezwanie. „Komisya koncertów międzynarodowych na przyszłej paryzkiej Wystawie powszechniej oświadczyła najszczerze życzenie mieć w programach swoich utalentowanych organistów polskich. Jeżeliby zatem znaleźli się pomiędzy panami organistami warszawskimi tacy, którzyby zechcieli dać się słyszeć w czasie wystawy, to wielki organ w wielkiej sali Trocadero (miejsce wystawy) będzie ofiarowany do ich dyspozycyi w chwilach kiedy sala będzie niezajęta koncertami międzynarodowymi. Życzeniem komisji jest dać możność poznania całemu zebranemu na wystawę światu przeważnie oryginalnych kompozycyi polskich na organ. Wystawa rozpocznie się officyalnym koncertem francuzkim 1 czerwca, i ku tej epoce właśnie zapraszają się panowie organiści. Programy ich mają być złożone komisji na parę tygodni przed wykonaniem; wszelako mają najzupełniejszą swobodę zmienienia ich w razie, gdyby znaleźli ku temu potrzebę, ale nieinaczej, tylko z poprzedniem zawiadomieniem o tém komisji. Jeżeliby interesowani żądali jeszcze jakich szczegółów w tym względzie, to upraszam o łaskawe zwracanie się do mnie pod adresem: Rue de Clichy, 15—Paris.“

— W Paryżu wyszła zajmująca korespondencya Saint-Beuvèa, od r. 1822—1865. W zbiorze tym znajdujemy dwa listy, wystosowane do Adama Mickiewicza. W pierwszym liście z d. 28 listopada 1838 r., donosi Adamowi o postanowieniu Akademii w Lozannie. „Akademia — pisze Sainte-Beuve — postanowiła jednomyślnie i z radosnym okrzykiem zażądać u rady stanu, by Ciebie wezwała na kurs tymczasowy, pod najlepszymi warunkami i za najwyższem wynagrodzeniem. Widzisz pan z tego, że promień poezyi przenika, chociaż zapóźno. Radzę Ci przyjąć tę propozycyą. Lozanna jest wspaniałą krainą, iż znajdziesz w niej ojczyznę... Młodzież pełna moralności, poświęcenia i patryotyzmu, otoczy Ciebie miłością. Przed innemi, zalecam Tobie, jako skarb poezyi, czułości i wszelkich cnót, dom Olivier'ów, naszych drogich przyjaciół. Nigdzie nie znajdziesz silniejszego poparcia. Gdyby pani Mickiewiczowa zechciała Tobie towarzyszyć, ze strony Olivier'ów doznasz wszelkiej pomocy i ulgi. Nareszcie, mocno życzę dla Ciebie Panie i dla Lozanny, byś zamieszkał w tém mieście. Daj więc ry-

chłą odpowiedź panu Monnardowi, rektorowi Akademii, albo Oliwier'owi, który mieszka przy ulicy Marteray, jak Ci wiadomo.“

Drugi list Sainte-Beuve'a do Mickiewicza z d. 21 grudnia 1838 r., brzmi jak następuje:

„Panie, odbieram list od p. Oliviera, który mi donosi, że urzędowa odezwa z Lozanny została do Ciebie wystosowana. Ale p. Olivier wątpi, aby doszła rąk Twoich, bo, jak się zdaje, zaniedbałeś wskazać adres dokładny. Sądzi, iż koniecznie wypada odpowiedzieć natychmiast i przesłać program. Pan Monnard także pisze do mnie, zawiadamiając, iż rada publicznego wychowania oczekuje od Ciebie przyjęcia propozycji i programu. Otwarcie Akademii nastąpi 8 stycznia 1839 r. Przyjaciele Twoi, których masz tam niemało, meco pragną Cię widzieć na téj uroczystości.

„Z pośpiechem donosząc o tym stanie rzeczy, zaledwo mam chwilę czasu, życzyć dobrego zdrowia dla pani Mickiewiczowej i wynurzyć Tobie moje najgłębsze uczucia.“

Sainte-Beuve był profesorem w Lozannie. W roku 1837—1838 miewał odczyty o pracach zakonników z opactwa Port-Royal. Został w ścisłej zażyłości z Vinet'em, który, podobnie jak Mickiewicz, należał do grona tak zwanych katolików liberalnych. Znany pisarz i profesor Uniwersytetu paryzkiego, Saint-René Taillandier, ogłosił w *Revue des deux Mondes* z r. 1865 artykuł o Vincie, pod napisem: *Le christianisme libéral*. Autor popełnił wiele błędów. Sainte-Beuve, w liście z dnia 13 kwietnia 1865 r. do Taillandier'a, prostuje te błędy, a między innymi powiada: „Mickiewicz przybył do Lozanny i nauczał tam po mnie. Wykładał język łaciński, nie zaś literaturę.“



Dnia 15 marca r. b. w Mokotowie pod Warszawą umarł **Leon Rogalski**, jeden z najpracowitszych literatów polskich, który prawie przez pół wieku oddał piśmiennictwu naszemu niemałe usługi. Wychowaniec Uniwersytetu Wileńskiego, pracownik na polu dziennikarskim z okresu działalności Joachima Lelewela w Wilnie, już wspomagał piórem *Dziennik* i *Tygodnik Wileński*, oraz wytkómaczył dzieł kilka w gałęzi historii. Od r. 1835 osiadłszy w Warszawie, nieustawał w pracy w obranym zawodzie. Wszystkie pisma peryodyczne zasilał swemi artykułami. Był redaktorem *Magazynu Powszechnego*, oraz głównym współpracownikiem i kierownikiem pierwszej Encyklopedyi Glücksbergów (rozpoczętej w r. 1835—1839, a nieukończonój dotąd).

Kiedy S. Orgelbrand rozpoczął wydawnictwo wielkiej *Encyklopedyi Powszechnój*, objął w niej dział teologii i Słowiańszczyzny, i liczne jego artykuły są drukowane w tomach XXVIII tego pomnikowego dzieła.

Do ważniejszych prac zmarłego należą: *Dzieje Krzyżaków* w 2-u tomach, *Dzieje panowania Jana Sobieskiego*, *Piotr Wielki i jego wiek*, oraz przekłady wielkich dzieł: jak Thiersa *Historya zgromadzeń prawowitoczych*, *Historya Cezara Cantu*, które wyszły nakładem S. Orgelbranda i wielu innych. Prace ś. p. L. Rogalskiego tak oryginalne, jak tkómaczone z obcych języków, zebrane razem do stu tomów wynoszą. Starzec podupadły na siłach i sparaliżowany, umarł w niedostatku.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.